

EMMA von RHODEN
DAR MIAST,

Ojczulku, Diana ma szczeniątka! — wykrzyknęła wysmukła, piętnastoletnia dziewczyna, wpadając do pokoju, w którym oprócz jej rodziców i miejscowego proboszcza, znajdowali się goście z sąsiedztwa, pan Szaeffler z żoną i dorosłym synem.

Zaśmieli się wszyscy i wszystkie oczy zwróciły się na podlotka. liza zdawała się tego nie widzieć: podbiegła do ojca, ażeby mu dokładną zdać sprawę z tego pełnego wagi wydarzenia.

— Jest ich czworo, ojczulku — mówiła żywo — wszystkie brunatne, podobniuteńkie do Diany. Chodź je zobaczyć, ojczusiu! Prześliczne zwierzątka! Przednie łapki mają białe zakończone; wyglądają jak w pończoszkach. Zaraz przyniosłam im kosz, posłałam go moją poduszką, żeby malutkim było ciepło i miękko spać.

Pan Macket jedną ręką objął swoją pieszczochę, drugą usuwał z rozpalonej twarzyczki włosy, spadające w gęstych kędziorach i patrzył na nią wzrokiem pełnym miłości i pobłażania.

Pobłażliwość ta wydawała się nawet nieco dziwna, gdyż liza hałaśliwie wpadła do pokoju i w ubraniu niemożliwym, w tej chwili przynajmniej, kiedy oczy obcych ciekawie były na nią zwrócone. Wyblakła, z granatowego perkalu bluza, ujęta w pasie skórzanym paskiem, była może wygodna, ale zdobić nie mogła, a liczne plamy dokoła i wyrwy w paru miejscach nie podnosiły jej elegancji. Wysokie, niezgrabne skórzane buty, wyglądające spod zbyt krótkiej sukienki, były tak zakurzone, że wy-

5

dawały się raczej szare niż czarne. Ale pan Macket widział tylko promieniejące radością ciemne oczy swej córki — strój jej nie obchodził go wcale.

Zamierzał już podnieść się, gdy uprzedziła go żona, osoba pełna godności i powagi, o wyrazie twarzy łagodnym, ale rozumnym, stanowczym. Wstała i podeszła do lizy.

— Moje dziecko — rzekła, ujmując jej rękę — chodź na chwilę do mego pokoju, chcę ci coś powiedzieć.

Słowa te wymówione były głosem przyjaznym, spokojnym, liza czuła jednak, że opór byłby tu daremny. Niechętnie, pod przymusem, poszła za matką na drugą stronę domu.

— Co chcesz mi powiedzieć, mamó? — zapytała, przekornie spoglądając na panią Macket.

— Nic więcej, dziecko, tylko żebyś zaraz poszła do swego pokoju i zmieniła ubranie. Zapewne nie wiedziałaś, że mamy gości.

— Owszem, wiedziałam, ale ja tam nic sobie z tego nie robię! — odparła liza.

— Ale ja sobie z tego wiele robię! lizo, ja nie mogę pozwolić na to, żebyś się w podobnym kostiumie obcym pokazywała. Nie jesteś już dzieckiem, masz lat piętnaście; pamiętaj, że w święta wielkanocne byłaś już konfirmowa-na, a dorastająca panna powinna się zachowywać przyzwoicie. Co pomyśli o tobie młody Szaeffler? On cię wyśmiewa, wyszydzi!

— Taki głupiec! — wykrzyknęła liza. — Czy on mnie wyśmiewa, czy wyszydza, to mi wszystko jedno! Ja także śmieję się z niego! Udaje dorosłego pana, a chodzi jeszcze do szkoły!

— Proszę cię, bądź rozsądna i przebierz się, moje dziecko.

— Nie, nie włożę innej sukienki! Ja nie chcę się stroić!

6

— Jak ci się podoba, ale w takim razie proszę cię, a nawet życzę sobie tego stanowczo, żebyś pozostała w swoim pokoju i tam jadła kolację — odrzekła spokojnie pani Macket.

liza przygryzła wargę, tupnęła nogą, ale nic nie odpowiedziała. Jak wicher wybiegła z pokoju, trzasnęła drzwiami i zwróciła się ku schodom. Na górze, w swoim pokoju, rzuciła się na krzesło, oparła łokcie na oknie i wybuchnęła płaczem.

— O, jakże to okropnie teraz! — mówiła wśród łkań. — I po co ojciec znów się ożenił! — O ileż to było lepiej, kiedyśmy byli sobie tylko oboje! Cały dzień wysłuchiwać muszę sążnistych kazań o skromności, o przyzwoitości, a przecież ja nie będę damą, ja nie chcę być damą, nie, choćby mi to

dziesięć razy powtórzyła!

Gdy sama była z ojcem, istotnie miała życie daleko swobodniejsze i weselsze. Nikt żadnych nie dawał jej rozkazów, nikt nie śmiał zganić przeróżnych wybryków, cokolwiek zrobiła, wszystko uchodziło za doskonałe. Nauka uważana była tylko za nudny dodatek, a nauczycielki albo stosować się musiały do woli uczennicy, albo opuszczać miejsce. Niekiedy poskarżyła się która ojcu, wówczas pan Macket postanawiał sobie święcie użyć swojej powagi, ująć nieco w karby rozpuszczone dziecko, ale nigdy nie udało mu się tego wykonać. Skoro tylko liza zobaczyła marsa na czole ojca, natychmiast rzuciła mu się na szyję, nazywała go swoim „jedynym, malutkim ojczulkiem” pomimo, że był to mężczyzna wysoki i barczysty; całowała go i pieściła. Jeżeli pomimo to wystąpił z poważnymi uwagami, zamykała mu usta ręką.

— Ależ ja wiem, ojczulku, co mi chcesz powiedzieć! Poprawię się, poprawię się z pewnością największą!

Tymi i podobnymi słowami pocieszała zwykle ojca, a ojciec tak łatwo dawał się pocieszyć! Nie mógł się gniewać, na to swoje dziecko! Ona mu była wszystkim!

7

Matka lizy, umierając, złożyła w jego objęcia maluch-ną, słabą istotkę. Odziedziczyła ona piękne, wesole oczy przedwcześnie zgasłej, a za każdym jej spojrzeniem zdawało mu się, że to żona, którą tak bardzo ukochał, uśmiecha się do niego. Przez długie lata pozostał samotny — żył tylko dla dziecka. Niedawno poznał panią Annę i poślubił, ujęty jej głębokim rozsądkiem, dobrocią i łagodnością.

Pani Anna weszła do domu swego męża z najszczerzym życzeniem, żeby dla jego córki być najlepszą, naj-tkliwszą matką, żeby zastąpić tę, którą tak wcześniej utraciła, ale każde jej serdeczne zbliżenie rozbijało się o przekorną niechęć lizy. Rok już blisko upływał, a usiłowania jej były próżne; nie pozyskała dotąd przywiązania lizy.

Goście zostali na kolacji w Moosdorfie (tak nazywała się wieś pana Macketa). Gdy wszyscy zasiedli do stołu, pan Macket zapytał, dlaczego nie ma lizy. Pani Anna wstała, zadzwoniła na służącą i kazała poprosić panienkę.

Uza wciąż jeszcze siedziała przy oknie w tej samej postawie. Zamknęła się na klucz i służąca długo musiała wołać i stukać, nim jej otworzyła.

— Panienka musi zejść na dół, mama kazała — rzekła Katarzyna, kładąc osobliwy nacisk na wyrazy: musi i kazała.

— Ja muszę!? — zawołała liza, prostując się gwałtownie. — Otóż nie zejść, bo nie chcę! Powiedz to łaskawej pani mamie!

— Dobrze, panienko, powiem.

Odpowiedź tę Katarzyna uważała za bardzo słuszną, bo i ona była zdania, że przybycie pani do domu było co najmniej zbyteczne, i jej wolność i swoboda znacznie na tym ucierpiały. Wiecznie słuchać rozkazów, kiedy jest się już w tym wieku, że się ich nie potrzebuje! I jeszcze rozkazy od kogoś obcego!

Zeszła na dół i dosłownie powtórzyła odpowiedź lizy.

8

Pan Macket, niespokojny, spoglądał na żonę; nie wiedział, co ma znaczyć ta odpowiedź.

Zrozumiała nieme jego pytanie i nie okazując przykrości, rzekła swobodnie na pozór:

— liza jest jakaś nieswoja, skarżyła się na ból głowy. Katarzyna jej nie rozumiała.

Wszyscy widzieli, że pani Anna chciała zrećcznie załagodzić nieprzyjemne zapewne zajście z przybraną córką, tylko pan Macket uwierzył jej dobrodusznie.

— Może byśmy posłali po doktora? — powiedział zaniepokojony.

Odpowiedź na to dała mu sama córka, przekonał się naocznie, że jej nawet palec nie zabołał. Z krzykiem i śmiechem rzuciła koło po trawniku. Pies gończy, Tyras, gonił je, a kiedy prawie uchwycił koło łapami, utrzymać go nie mógł, szczekał i wył gniewnie, liza zaś wybuchała głośnym śmiechem.

9

Pan Macket rozjaśnił czoło na ten widok. Wstał i podszedł ku drzwiom, ażeby zawołać Uzę, ale

powstrzymała go żona.

— Nie rób tego, proszę cię — powiedziała widocznie podrażniona, a zwróciwszy się do gości, z lekkim rumieńcem na twarzy, dodała: — Przykro mi całą prawdę wyjawić wobec wszystkich, ale postępowanie lizy zmusza mnie do tego.

I opowiedziała całą przygodę, jak mogła najogólniej. Śmieli się wszyscy, pan Szaeffler utrzymywał, że mała ma temperament, szkoda, że to nie chłopiec. Żona jego, osoba bardzo wykształcona, nie była tego zdania, a kiedy wracali do domu wyraziła się nawet, że dziewczyna jest okropna, że to prawdziwe enfant terrible !*

Goście odjechali — pozostał jeszcze proboszcz. Był to człowiek niezmiernie zacny, pobłażliwy, a lizę kochał jak ojciec. On ją chrzczył, w oczach jego rosła, a od niedawna, kiedy odeszła ostatnia nauczycielka, kierował nawet jej nauką.

Zapanowało chwilowe, przykre nieco milczenie. Wszyscy mieli coś na sercu, a nikt nie chciał powiedzieć pierwszego słowa. Państwo Macket siedzieli przy stole, on palił fajkę, ona pilnie zajęta była robótką. Proboszcz Wollert wzdłuż i wszerz przemierzał pokój; minę miał poważną, uroczystą. Wreszcie zatrzymał się przed panem Macketem.

— Nie ma rady, drogi przyjacielu — zaczął — muszę wypowiedzieć to, co myślę. Tak dalej być nie może, dziewczyna zanadto rozpuszczona, my jej nie zmożemy, ona wszystkich nas już opanowała.

Pan Macket zdumiony popatrzył na księdza.

— Co takiego? — zapytał. — Nie rozumiem.

* Enfant terrible (fr.) — dosł. okropne dziecko; osoba nietaktowna, stwarzająca sytuacje kłopotliwe dla otoczenia.

10

— Powiem panu wyraźnie, bez owijania myśli w bawełnę, że dziewczynę trzeba usunąć z domu, trzeba ją oddać na pensję.

— lizę? Na pensję? Ależ za co? Cóż ona takiego zrobiła!? — zawołał przerażony pan Macket. Proboszcz uśmiechając się, odrzekł. — Przeszłości, chwała Bogu, nie popełniła żadnego, ale czyż dziecko aż przestępstwo popełnić musi, żeby być oddane na pensję? Pensja nie jest przecież zakładem karnym. Posłuchaj mnie uważnie, drogi przyjacielu — mówił dalej głosem spokojnym, łagodnym, kładąc rękę na ramieniu pana Macket, który znów gotów był wybuchnąć. — Wiadomo panu, jak ja kocham lizę, więc uwierzy mi pan, że pragnę jedynie jej dobra; otóż, rozważywszy wszystko, doszedłem do przekonania, że ani pan, ani żona pańska, ani ja nie mamy dosyć siły i energii, ażeby ją wychowywać. Nic sobie z nas nie robi. I do czegoż to doprowadzi? Przed chwilą dała jawny i głośny dowód zuchwalstwa i przekory.

Pan Macket bębnił palcami po stole.

— Niegrzeczna była i będzie za to ukarana — wykrzyknął w końcu. — Nie widzę w tym znów nic tak bardzo złego. Mój Boże, przecież to dziecko jeszcze, młodość musi się wyszumieć. I po cóż dziecku wrzucemu życiem takie więzy nakładać i w te pędy wypychać je z domu! Cóż to wielkiego, że raz okazała się samowolna? Rozumu przybywa z latami! — Co mówisz na to, Anno? — zwrócił się do żony — wszak zgadzasz się ze mną, prawda?

— Myślałam tak samo, jak ty, przed rokiem, gdy weszłam do tego domu. Dziś sądzę inaczej, dziś słuszność przyznać muszę proboszczowi. liza trudna jest do kierowania, pomimo całej jej dobroci. Ja nie mogę sobie z nią poradzić, pomimo wszelkich usiłowań. Zawsze robi mi na przekór. Jeżeli jej każę uczyć się lekcji, to albo udaje, jL mnie nie rozumie, albo z niechęcią bierze książki, rzuć

11

na stół, siada przy nich niedbale i... zajmuje się czym innym, naprędce wynajduje sobie jakąś zabawę. Po kilkunastu minutach wstaje i wybiega. Nic tu nie pomaga ani łagodność, ani surowość, na wszystko ma jedną odpowiedź: „Nie chcę!” Zapytaj się proboszcza, jaki chaos, jaka niedokładność panuje w jej nauce, zdarza jej się nawet zrobić jeszcze błąd ortograficzny.

— Czy nie przesadzacie? — zapytał pan Macket, zrywając się z krzesła. — Nie musi być uczoną; jak potrafi napisać list i nauczy się tabliczki mnożenia, to dla niej aż nadto!

Proboszcz uśmiechnął się.

— Pan nie mówi tego na serio. Sądzę, że nie byłoby panu przyjemnie, gdyby o córce pana mówiono, że jest głupia, że nic nie umie! liza jest zdolna, trzeba tylko jej umysł poddać jakiejś dyscyplinie i obudzić w niej chęć do nabycia wiadomości. Stać się to może, kiedy się znajdzie pośród dziewcząt w swoim wieku. Na widok pracy i wysiłków koleżanek obudzi się w niej ambicja. Cała prawda, dopiero w tej chwili stanęła jasno przed oczami pana Macketa, ale myśl o rozstaniu z córką była dla niego straszna. Nie móc jej widzieć i słyszeć co dzień! To tak, jakby słońce nagle musiało zagasnąć — to tak, jakby mu zabrano światło i życie.

Pani Anna czuła co się działo w sercu męża, zbliżyła się do niego i z czułością ujęła jego rękę.

— Ryszardzie, nie posądzaj mnie o brak serca, dlatego że przychyliam się do projektu naszego przyjaciela. liza stoi pomiędzy wiekiem dziecięcym a młodzieńczym, może jeszcze wynagrodzić choć w części to, co zaniedbała, powściągnąć cokolwiek swoją niepohamowaną naturę. Jeżeli nie skorzystamy z tego krótkiego już czasu, to dziecko nasze zatraci w sobie to, co stanowi najsilniejszy urok niewieści:

obietność. Czyż to nie straszne? stwanprawie nie słuchał tego, co mówiła.

12

— Chcecie ją zamknąć — powiedział wzruszony. — Ależ ona tego nie wytrzyma! Poczekajcie, aż będzie nieco starsza, wtenczas dopiero oddamy ją z domu, na to czas zawsze.

Proboszcz i pani Anna zaprotestowali stanowczo.

— Słyszałem o jednym pensjonacie w Dreźnie — mówił proboszcz. — Przełożona jest nawet moją dobrą znajomą. Bardzo zacna osoba. Do jej instytutu uczęszczają także i przyjezdne uczennice; zakład z roku na rok ogromnie się powiększa. liza miałaby tam, obok starannej nauki, niezmiernie rozumne ukierunkowanie moralne. A ileż korzyści z uroczego położenia tej miejscowości! Góry dokoła, powietrze precudne.

— Tak, tak — przerwał mu pan Macket silnie zaniepokojony i stając niejako w pozycji obronnej:

— wierzę temu wszystkiemu! Ale zostawcie mi trochę czasu, nie nacierajcie na mnie tak gwałtownie. Takie ważne postanowienie, choćby najpotrzebniejsze było, potrzebuje namysłu.

Namysł ten dojrzał wcześniej, aniżeli się pan Macket tego spodziewał. Nazajutrz rano zobaczył córkę gotową do jazdy na łąkę, ażeby pomagać w zbieraniu siana. Panna liza kazała się fernalowi wsadzić na jednego z koni, zaprzęgniętych do wozu drabiniastego; fernal stał już na wozie z biczem w jednej ręce, lejcami w drugiej.

— Dzień dobry, ojczulku — zawołała z daleka, jak go tylko zobaczyła. — Jedziemy na łąkę, siano trzeba sprzątnąć; rządca powiada, że w południe będziemy mieli burzę. Ja będę pomagała nakładać. W tej chwili córeczka nie bardzo jakoś ojcu się podobała. Przyszły mu na myśl wczorajsze słowa żony. liza mało miała w sobie „kobiecości” — wyglądała raczej na dzikiego chłopaka. I siedziała na koniu jak chłopak. Krótka, granatowa sukienka nie zakrywała dostatecznie nóg, widać było wysokie, niezgrabne buty i kawał kolorowej pończochy. Wyglądała wcale niepowabnie.

13

— Nie pojedziesz, lizo — powiedział pan Macket, przybliżywszy się, ażeby jej pomóc zsiąść z konia. — Nie będziesz zbierała siana, rozumiesz, tylko wrócisz do domu uczyć się lekcji.

Pierwszy to raz w życiu ojciec z taką stanowczością do niej przemówił. Popatrzyła na niego zdumiona, wcale jednak nie objawiała chęci, żeby go usłuchać. Założyła ręce i śmiać się zaczęła serdecznie.

— Cha, cha, cha! Ja mam się uczyć. Mój maluchny, prześliczny ojczusiu, skąd ci przyszedł taki komiczny pomysł? Tylko się tak nie chmurz! Wiesz, jak teraz wyglądasz? Zupelnie jak mademoiselle, ta ostatnia z wielu, ojczulku, kiedy się gniewała. „Panno lizo, proszę iść do swego pokoju, mais tout de suite!” Czy ona mnie rozumiała?” Czoło namarszczyła, oczy wytrzeszczyła, ot tak. O, to było cudowne, niebiańskie! Do widzenia, tatusiu, wrócę na śniadanie.

Posłała mu ręką pocałunek, uśmiechnęła się figlarnie i pełnym kłusem popędzili na łąkę.

Pan Macket pokiwał głową; naraz opanowała go jakaś obawa o przyszłość lizy.

Myśl oddania jej na pensję wydała mu się mniej przerażająca. Miał świeży dowód, że i jemu nawet stawia opór. Tak, musiał przyznać, że on sam doprowadził do tego swoją pobłażliwością.

Poszedł do jadalnego pokoju, stamtąd zwrócił się na werandę, która otaczała front domu, otulona

winną latoroślą. Przy nakrytym stole żona czekała ze śniadaniem. Wbrew swojemu zwyczajowi był milczący, małowówny.

— Czy miałaś jaką nieprzyjemność? — zapytała pani Anna, podając mu kawę.

— Nie — odpowiedział krótko. Zamilkł, jak gdyby zbierał wszystkie siły; po chwili zaczął sam: — Muszę ci

* Mais tout de suite! (fr.) — Ale natychmiast!

14

się zwierzyć z mojej myśli, a raczej chcę ci oznajmić moje postanowienie. Pierwszego lipca liza będzie odwieziona na pensję.

— Żartujesz — odrzekła pani Anna i popatrzyła na niego badawczo.

— Mówię serio. Czy będziesz mogła w ciągu tego czasu przygotować wszystko do odjazdu lizy? Mamy dziś dwunasty czerwca.

— Mogłabym. Ale, Ryszardzie, twoje postanowienie takie jakieś nagłe! Czy nie będziesz tego żałował? Pozwól lizie użyć jeszcze tych pięknych letnich miesięcy; oddaj ją dopiero jesienią. Nie tak ciężkie będzie dla niej wówczas rozstanie się z domem rodzinnym.

— Nie, żadnej zmiany. — Nie dowierzał sobie, lękał się, czy się nie zachwieje, odwołując wykonanie swego postanowienia. — Nie będzie inaczej, pierwszego lipca odwiezę ją na pensję. Po kilku godzinach liza przybiegła na drugie śniadanie, wesół, zadowolona, z rozpaloną twarzą, obsypana sianem.

— Otóż jestem! — zawołała. — Czy długo tam zabawiłam? Powiadam ci, ojczulku, siano jest przepyszne! Nie spadła na nie ani kropelka deszczu. Z przyjemnością je zobaczysz. Rządca powiada, że takiego siana nie mieliśmy już od wielu lat.

— Sianem się nie zajmuj, lizo — odrzekł pan Macket — posłuchaj lepiej, co ci powiem.

Głos jego był trochę niepewny; niełatwo mówić mu przyszło o powziętym planie. Dziewczyna nic nie przeczuwała, nie zauważyła nawet usposobienia ojca. Wzrok jej kierował się skwapliwie na zastawę stołu; była bardzo głodna po przejażdżce.

— Chcesz, żebym ci co ukroiła? — łagodnie zapytała pani Anna. liza przecząco poruszyła głową.

— Ja sama sobie ukroję — powiedziała. Pochwyciła

15

nóż i ukroiła kawał razowego chleba, grubo na palec posmarowała go masłem, wzięła z talerza spory kawałek grubej kielbasy i zajadała z apetytem, gryząc już to kęs chleba, już to kęs kielbasy, którą trzymała w ręce. Bez ceremonii rozparła się w fotelu, założywszy nogę na nogę. Smakowało jej niesłychanie.

— Miałaś mi coś powiedzieć, ojczulku — wybełkotała,

bo usta miała zapchane. — No, wystrzel, bo jestem bardzo ciekawa.

Ojciec nie spieszył się z odpowiedzią; jeszcze ma czas, jeszcze może się cofnąć — myślał chwilę — niewiele brakowało, żeby to zrobił rzeczywiście, ale słabość ta przeminęła i najspokojniej, jak tylko mógł, zawiadomił lizę o swoim postanowieniu.

Przygotowany był, że dziewczyna wystąpi z gwałtowną opozycją — omylił się jednak. Wprawdzie kęs chleba uwiązał jej w gardle, przerażenie odmalowało się na twarzy, ale okiem rzuciła na matkę, i zdusiła w sobie burzę. Nie chciała za nic w świecie, żeby ona widziała, jak jej okropnie rozstawać się z domem rodzinnym, z ojcem przede wszystkim, ona, ta kobieta, która jest sprawczynią jej nieszczęścia, bo ojciec — nie! On by jej nigdy od siebie nie oddalił!

— I cóż? Milczysz? — zapytał pan Macket. — Zapewne sama już spostrzegłaś, że jest to konieczność, że jeszcze porządnie uczyć się musisz, że w wiadomościach twoich wszędzie są jeszcze ogromne luki, nieprawdaż?

— Nic nie spostrzegłam! — wybuchnęła liza. — Ileż to razy mówiłeś ojczu, że dziewczyna nie powinna uczyć się dużo, że głupieje, jak się za dużo uczy! Tak, ojczulku, mówiłeś to, a teraz naraz coś innego! Teraz mam się wynosić z domu, mam siedzieć na ławce szkolnej między innymi dziewczętami, mam się uczyć, uczyć, żeby mi aż głowa pękła! Dobrze! Pojadę, cieszę się nawet z tego! Żeby już jak najprędzej przyszedł ten pierwszy lipca.

16

Zerwała się, rzuciła na stół resztę śniadania, pobiegła na górę do swego pokoju i tutaj dopiero uderzyła w płacz, który z trudnością dotąd powstrzymywała.

Pani Anna czuła, co się dzieje w tym młodym sercu, chętnie byłaby za nią poszła, ale wiedziała, że liza odepchnie jej słowa pociechy. Pozostała więc. Trzeba było czekać, dopóki liza nie przyjdzie do rozumu i nie oceni właściwie jej serdecznej, macierzyńskiej miłości.

Iygodnie do wyjazdu upłynęły szybko. Pani Anna miała dużo pracy, nim garderobę lizy przyprowadziła do porządku. Przełożona pensji, zapytana listownie przez pana Macketa, zgadzała się przyjąć jego córkę. Przy tym nadesłała spis rzeczy, które mieć była obowiązana każda pensjonarka, przyjmowana do jej zakładu.

liza śmiała się szyderczo, patrząc na wszystkie te niepotrzebne gałgany; szczególnie fartuszki wydawały się jej komiczne. Ona, jak żyje, nie nosiła fartuchów!

— Ani myślę nosić te głupie gałgany — mówiła, gdy pakowano jej rzeczy. — Niech mama nie kładzie tego do kufra!

— Musisz się, moje dziecko, zastosować do tamtejszego zwyczaju — odrzekła matka. — I dlaczego nie miałabyś tego zrobić? Patrz, ten fartuszek w białe i niebieskie paski, obszyty koroneczką, czyż to nie ładny strój dla panienki, która chce pomagać w gospodarstwie?

— Ale ja nie myślę pomagać w gospodarstwie! — wykrzyknęła liza opryskliwie. — Tego by jeszcze brakowało! Myślicie pewnie, że ja tam będę gotować albo sprzątać pokoje! Nie będę nosiła fartuchów, otóż nie będę!

— Niedorzeczności mówisz, lizo — odrzekła pani Anna. — Dobrze wiesz, że tego wymagać tam od ciebie nie będą. Jeżeli już taki wstręt masz do fartuszków, przedstaw to przełożonej; może ona uwzględni twoją prośbę.

— Nie potrzebuję jej o to pytać, jej nic do tego! — odparła liza niegrzecznie.

Odeszła z gniewem i żalem w sercu. Elegancka bielizna, śliczne sukienki, w jakie zaopatrzyła ją pani Anna z prawdziwie macierzyńską troskliwością, nic nie znalazło łaski w jej oczach, nie interesowało jej to wcale.

Ojcu oznajmiła, że sama mały kuferek sobie zapakuje. Nikt nie ma jej w tym pomagać, - nikt nie będzie wiedział, jakie ona skarby zabiera ze sobą.

— To pyszna myśl, Ilziu — przytakiwał pan Macket — bierz wszystko, co ci może zrobić przyjemność.

I zaraz przyniósł swojej pieszczotce śliczny kufeczek. Kiedy liza uradowana rzuciła mu się na szyję, kiedy go znów nazwała „malutkim swoim tatusiem”, tak miękko zrobiło mu się na sercu, że musiał się odwrócić, ażeby ukryć wzruszenie. W przeddzień wyjazdu liza zamknęła się w swoim pokoju i rozpoczęło się pakowanie. Ale co to było za pakowanie! Szło jedno na drugie, co jej podpadło pod rękę. Naprzód i przede wszystkim na dno kufereka rzuciła ulubioną bluzę i pasek skórzany; nie męczyła się składaniem sukienki, przygniotła ją tylko trochę rękami; potem wysokie buty skórzane, tak jak były, z błotem i kurzem, następnie stara harmonijka, z której zaledwie już parę tonów wydobyć było można, nowa obróżka dla psa, z długą tasiemką, wypchany kanarek, a w końcu, kiedy już wszystkie owe cenne przedmioty znalazły się w kufrze, sięgnęła po szklankę, w której siedziała uwieczniona, zielona żabka. I to musiała zabrać. Ona tak się przywiązała do zwierzątko! Wzięła z komody nowiuteńką haftowaną chusteczkę, rozłożyła na niej kawałek papieru, obwiązała tym szklankę, powycinała dziurki, i wpuściła przez nie kilka much.

— Tak — powiedziała, najzupelniej zadowolona ze

18

swego dzieła — dobrze jesteś zaopatrzona, kochaneczko, nie umrzesz z głodu podczas tej dalekiej podróży.

Niełatwą było sprawą wpakować szklankę w kufeczek; jednak udało jej się to, wprawdzie po wielu trudach.

19

Zamknęła wreszcie kuferek, co także siłą tylko dokonać się dało, wyjęła kluczyk, przeciągnęła przez uszko czarny sznureczek i zawiesiła go sobie na szyi.

Po wieczerzy, gdy rodzice pozostali jeszcze przy stole, liza wybiegła na dziedziniec, obeszła wszystkie stajnie, obory i chlewiki. Żegnała kury, gołąbki, krowy i konie. Tylu miała pośród nich ulubieńców! Jutro zmuszona będzie opuścić ich na tak długo! Najboleśniej przyszło jej żegnać się z psami; wszak to jej serdeczni przyjaciele! Na widok szczeniątek, które już podrosły i z taką radością zawsze ją witały, oczy jej napełniły się łzami głębokiej boleści.

Obok niej stał Jan. Znał on panienkę od urodzenia i kochał ją bałwochwalczo. Gdy zobaczył jej łzy, i jemu kilka kropel spłynęło po twarzy.

— Gdy panienka wróci — mówił, obcierając oczy dłonią — to już będzie panienka wielką panią. Tak, tak, panno Ilziu, wszystko już przepadło! A psy jak będą tęskniły za panienką! Ludzki rozum mają te głupie zwierzęta! Jak to się przypochlebia, ci mali akrobaci, to tak, jakby wiedziały, że nasza panienka jutro już odjedzie! — Nie mógł dalej mówić, taka żałość go ogarnęła.

— Janie — szeptała liza, szlochając — pamiętaj o psach. A jeżeli chcesz mi zrobić wielką przyjemność, to — obejrzała się wokoło, czy nie ma kogo w pobliżu — weź Boba — tak się nazywał mały synek Diany — z sobą na kozioł, jak jutro będziesz mnie odwoził na kolej, ale potajemnie, żeby nikt o tym nie wiedział. Ja go zabiorę ze sobą. Obrózkę na pasku już zapakowałam. Ale, słuchaj Janie, tajemnica! Pamiętaj.

Stangret uszczęśliwiony był z tego polecenia. Swojej kochanej panience mógł jeszcze oddać przysługę! Uśmiechnął się filuternie i obiecał ukryć Boba tak dobrze, że go żadne ludzkie oko nie dostrzeże.

Nazajutrz rano zajechał powóz, który miał powieźć

20

lizę. Odwoził ją pan Macket; chciał sam oddać swoją jedynaczkę w ręce przełożonej, panny Rajmar, sam osobiście przekonać się, gdzie i jak ukochane jego dziecko będzie umieszczone. Pani Anna w ostatniej chwili zbliżyła się, ażeby serdecznie pożegnać swoją przybraną córkę, ale liza nachmurzyła się i z wyrazem niechęci szybko usunęła się z objęcia matki.

— Bywaj zdrowa, mamó — powiedziała krótko i wskoczyła do powozu. Za nic w świecie nie chciała pokazać matce, jak bolesne było rozstanie z domem.

Gdy powóz ruszył, a Diana czas jakiś biegła za nim szczekając, wychyliła się jeszcze i ze łzami w oczach kiwnęła jej parę razy głową. Dobrze, że ojciec nie widział tych łez, może byłby kazał zawrócić.

Na dworcu, gdy już wszystko było gotowe i liza z ojcem weszli do wagonu, zjawił się Jan z Bobem pod pachą, z czapką w ręce.

— Niech panienka będzie zdrowa, panno Ilziu, a niech nam panienka wraca — mówił nieco zakłopotany. — O psach to już ja będę pamiętał, niech się panienka nie boi. A tego oto niech panienka weźmie ze sobą; zawsze to przyjemniej, że panienka nie taka sama będzie na pensji. liza krzyknęła radośnie. Pochwyciła pieska, głaskała go i pieściła; po chwili podała rękę Janowi.

— Bądź zdrow — rzekła — i dziękuję ci. O jakże się cieszę, że pieska ze sobą zabrać mogę.

— Ależ lizo, to nie uchodzi — przemówił wreszcie oniemiały ze zdumienia pan Macket. — Nie możesz przywozić ze sobą psa do instytutu. Bądź rozsądna i oddaj Boba Janowi.

Ale o tym nie było co myśleć; żadne wywody nie były zdolne lizy do tego nakłonić.

— Tatusiu, dozwól mi tej jedynej pociechy! Chcesz mnie zostawić zupełnie samą, samiuteńką pośród obcych? Będę miała przynajmniej przyjaciela, gdy Bob ze mną

21

zostanie. Bobusiu, nieprawdaż, ty nie chcesz mnie porzucić? — pytała pieska, który wygodnie ułożył się już na jej kolanach. — Ty zostaniesz ze mną?

Pan Macket nie miał siły wydać stanowczego rozkazu. Najbardziej przekonywała go myśl, że psina będzie dla jego małej taką wielką pociechą w obcym domu.

Podróż była długa i nudna pośród rozległych płaszczyn, przy końcu dopiero zjawiły się góry. Dla lizy otwierał się nowy świat — nigdy jeszcze tak dalekiej nie odbywała drogi. Na każdej stacji wyglądała ciekawie, bawiła ją każda budka dróżnika. Ból rozstania ustąpił na drugi plan przed nowymi wrażeniami.

O godzinie dziesiątej wieczorem stanęli w Dreźnie. Przenocowali w hotelu, a na drugi dzień rano

miała być zaprowadzona do zakładu.

Nazajutrz, już o dziewiątej liza gotowa stała przed ojcem. Ładnie i przyzwoicie wyglądała w szarej sukience podróżnej i zgrabnych skórkowych bucikach. Gęste pukle ciemnych włosów wymykały się spod jasnego, słomkowego kapelusza, przybranego tylko polnym bukiecikiem i aksamitną wstążką. Śliczne, wielkie oczy nie patrzyły dziś tak wesoło jak zwykle, malował się w nich wyraz lękliwego niepokoju, a usta ściągnięte były nerwowo.

— Co ci jest, lizo? — pytał pan Macket, niespokojnie patrząc na swą jedynaczkę. — Taka jesteś blada, czy źle spałaś?

To serdeczne pytanie ojca przerwało od razu nienaturalną siłę woli dziewczynki; rzuciła mu się na szyję i lzy, dotąd powstrzymywane, popłynęły teraz gwałtownie.

— Ależ dziecko, dziecko — mówił pan Macket sam do głębi wzruszony — przecież nie na długo rozłączasz się z nami. Rok minie tak prędko, a na Boże Narodzenie przyjedziesz do domu. Chodź, malcze, obetrzyj lzy. Nie dodawaj sobie smutku. Często będziesz do nas pisywać,

22

a ja albo mama zawiadamiać cię będziemy również o wszystkim interesującym w Moosdorfie.

Wyjął chustkę i ocierał lzy wciąż jeszcze płynące z oczu dziewczyny.

Pan Macket w nieweselszym był usposobieniu, niełatwo przyszło mu więc pocieszać, gdyż on sam potrzebował pociechy. Nie wyobrażał sobie, że rozłąka z córką przyjdzie mu tak trudno; inaczej kto wie, czy byłby się zgodził na to. Teraz stało się, trzeba było poddać się konieczności.

Pogładził jej włosy, włożył kapelusz, który spadł jej z głowy.

— Chodź — powiedział — trzeba już iść. Bądź rozsądną dziewczeczką.

— Mama niech do mnie nie pisze! — zawołała liza pośród łkań. — Tylko ty pisz do mnie, ojczulku. Moich listów ona niech także nie czyta.

— lizo! — napominał pan Macket — nie powinnaś tak mówić! Mama ciebie kocha i pragnie tylko twego dobra.

— Pragnie mego dobra! — powtórzyła w gniewie dziecięcym. — Gdyby tak było, to by mnie nie wypędziła!

— Wypędziła! Ależ bredzisz, lizo! Jak będziesz starsza, wówczas dopiero poznasz niesprawiedliwość, jaką wyrządzasz matce, i pożałujesz swoich słów!

— To nie matka moja, to macocha!

— Dziecinną jesteś! — odrzekł pan Macket. — Ale pamiętaj, że nigdy nie chcę z twoich ust słyszeć czegoś podobnego. Martwisz mnie.

liza spuściła oczy. Nie mogła sobie wytłumaczyć, jak to mogło być, że ojciec jej nie rozumie. Przecież musiał widzieć jej krzywdę.

— Chodź — przemówił łagodnym głosem — pójdziemy już, dziecko.

Pochwyciła pieska, wzięła go na ręce i gotowa była do drogi.

23

— Zostaw go — nakazał ojciec — zapytamy naprzód przełożonej, czy pozwoli go przynieść. liza uparła się.

— To i ja nie pójdę — oświadczyła stanowczo. — Bez Boba za nic nie zostanę na pensji!

Pan Macket przyzwolił milcząco — lękał się, żeby znów nie wywołać potoków łez. Ale ten upór lizy był mu przykry nad wyraz. Co pomyśli sobie panna Rajmar?

W kwadrans potem ojciec i córka stanęli przed okazałym dwupiętrowym budynkiem, wznoszącym się na uboczu miasta, wśród zieleni; był to zakład naukowy panny Rajmar.

Pan Macket był zachwycony.

— Patrz, lizo, jaki wspaniały dom! — zawołał z zadowoleniem. — A ten widok na pobliskie góry jaki uroczy!

Co ją obchodziły góry! Czuła się tak zgnębiona, że cały świat wydawał jej się prawdziwym padołem płaczu.

— Jak może ci się ten dom podobać, ojczy — odrzekła. — Wygląda jak więzienie.

Pan Macket roześmiał się.

— Dziecko, popatrz tylko na te wysokie i szerokie okna. Czy myślisz, że takie są okna w więzieniu? Biedni więźniowie siedzą za małymi, brudnymi szybami, opatrzonymi prócz tego żelazną kratą.

— Ja także będę teraz więźniem, ojcze, a ty sam dostawiasz mnie do więzienia.

— Jesteś mały głuptasek — zaśmiał się pan Macket i przerwał rozmowę, która zaczynała już być niebezpieczna.

Wszedł na szerokie kamienne schody i zadzwonił. liza, która szła za nim powoli, zadrżała, gdy usłyszała dźwięk dzwonka rozlegający się wewnątrz domu.

Po chwili służąca otworzyła drzwi i zameldowawszy przybyłych, wróciła, aby ich wprowadzić do gabinetu przełożonej.

24

Przechodzili przez sień i długi korytarz, z którego dwa wyjścia prowadziły na piękny, duży dziedziniec.

Trwała właśnie przerwa po śniadaniu, zatem gromadki dziewcząt większych i mniejszych stały dokoła, śmiejąc się i gawędząc. Zamilkły, gdy ujrzały nową pensjonarkę, o której wiedziały, że miała przybyć, i wszystkie oczy zwróciły się na lizę. liza jakoś dziwnie się zmieszała; zdawało jej się, że słyszy przytłumiony chichot za sobą, i była bardzo rada, gdy drzwi gabinetu zamknęły się za nią. W gabinecie nie było jeszcze nikogo. Rozejrzała się dokoła. Salon był piękny, wspaniały, urządzone z artyzmem i wykwintem. Naraz ogarnęło ją jakieś trwożne uczucie; Bob, nie wiedzieć dlaczego, wydał jej się tu zbyt czyny — żałowała nawet, że nie usłuchała ojca. Gdyby mogła go w tej chwili uczynić niewidzialnym, zrobiłaby to natychmiast. W dodatku, niegrzeczny, koniecznie wydzierał się na podłogę, a przecież ona nie mogła spełnić jego życzenia, bo jakżeby śmiała puścić go na kosztowny kobierzec, szeroko rozłożony na posadzce.

Otworzyły się drzwi, weszła panna Rajmar. Powitała pana Macketa z uprzejmą godnością, potem rzuciła wzrokiem na lizę. Oczy jej, koloru stali, miały wyraz ostry, surowy, a jednak pociągający. liza przysunęła się do ojca i chwyciła go za rękę.

— Witam cię, moje dziecko. — Tymi słowami przełożona powitała lizę i podała jej rękę. — Sądzę, że niedługo będziesz się tu czuła jak u siebie. — Zobaczywszy pieska zapytała: — Piesek odprowadził cię aż tutaj?

liza rozpaczliwie spojrzała na ojca, a ten pospieszył za nią odpowiedzieć.

— Nie mogła się z nim rozstać — mówił z pewnym zakłopotaniem — myślała, że pani będzie tak dobra i przyjmie razem z nią jej małego towarzysza.

Panna Rajmar uśmiechnęła się. Pierwszy raz robiono jej podobną propozycję.

25

— Przykro mi — odrzekła — że na pierwsze życzenie lizy odpowiedzieć muszę odmownie. Jako rozsądna dziewczynka zrozumie jednak sama, że inaczej postąpić nie mogę. Pomyśl sobie, moje dziecko, że każda z moich pensjonarek mogłaby mieć podobną zachciankę, wówczas w moim zakładzie znajdowałyby się dwadzieścia dwa psy. Tożby dopiero był hałas! Jeżeli tak pragniesz często widywać to zwierzątko, mogę ci podać na to sposób. Mój brat, tutejszy burmistrz, przyjmie z pewnością twego pieska, skoro go o to poproszę, co dzień więc będziesz mogła nacieszyć się swoim ulu-bieńcem.

liza zaczerwieniła się, wielkie krople łez zabłyśły w jej oczach. Ta pani, siedząca przed nią, miała w sobie tyle godności, taka jakaś była nieprzystępna. Wyglądała jak księżna, pomimo gładkiej szarej sukni, której stojący kołnierzyk spięty był złotą broszką. liza spuściła oczy i milczała.

Pan Macket śmiał się.

— Ma pani zupełną słuszność — powiedział — powinniśmy się byli sami nad tym zastanowić. Łaskawą propozycję pani, co do umieszczenia pieska u jej brata, liza przyjmie z wdzięcznością, nieprawdaż?

Wstrząsnęła głową.

— Obcym ludziom nie oddam Boba, zabierzesz go, ojcze, z powrotem do Moosdorfu.

Pan Macket wstydził się za tę odpowiedź swej córki, ale panna Rajmar wyprowadziła go z ręcznie z tego przykrego położenia. Nauczona doświadczeniem długoletnim, poznała od razu, że ma przed

sobą dzikuskę, przekorę. Udała, że nie zauważyła niegrzecznej odpowiedzi lizy.

— Masz słuszość — mówiła przyjaźnie — tak będzie najlepiej, ojciec zabierze pieska z powrotem do domu. Za wiele może byś o nim myślała i byłabyś zbyt roztargniona.

26

Czy służąca ma zanieść go do hotelu, w którym pan mieszka, panie Macket?

— Ja sama go zaniosę, prawda, ojczulku? — zapytała liza, przyciskając Boba do siebie.

— Tego ja sobie nie życzę, kochana lizo — podchwyciła panna Rajmar. — Zostaniesz na obiedzie, żebym cię mogła przedstawić innym pensjonarkom. Nie uważam tego za dobre — mówiła dalej, zwracając się do pana Macketa — żeby dziecko, oddane mojej opiece, raz jeszcze wracało z rodzicami do hotelu. To utrudnia mu tylko rozstanie.

— Nie, nie! — zakrzyknęła liza drżąc ze wzruszenia. — Ja tu nie zostanę! Ja chcę być z ojcem, dopóki nie odjedzie. Weźmiesz mnie z sobą, ojczusiu, nieprawdaż?

Pan Macket był niewypowiedzianie zmieszany tą nie-grzecznością córki. Robiło mu się zimno i gorąco. Leczył i tym razem panna Rajmar wydosłała go z kłopotliwego położenia.

— Życzenie twoje — powiedziała spokojnie — bardzo jest naturalne i łatwe do pojęcia, postaram się więc uczynić mu zadość. Czy mogę pana prosić, panie Macket, żeby pan został dziś u mnie na obiedzie? Zrobiłby mi pan wielką przyjemność.

liza rzuciła na ojca błagające spojrzenie, które mówiło: „Nie zostawaj tu, zabierz mnie ze sobą! Ja nie chcę tu zostać z tą złą panią, która jak najgorzej będzie się ze mną obchodziła!” Niestety, ojciec inaczej wzrok ten sobie wytłumaczył, wziął go za niemą prośbę, żeby nie odmawiał; przyjął przeto zaproszenie.

Przełożona wstała i pociągnęła za sznurek od dzwonka. Służącej, która nadbiegła, kazała poprosić pannę Giissow. Wezwana zjawiała się niebawem.

Panna Giissow była pierwszą nauczycielką w tym zakładzie. Znacznie młodsza od przełożonej, liczyła bowiem dopiero lat dwadzieścia sześć, odznaczała się nie-

27

zmiernie miłą powierzchownością. Wszystkie uczennice przyjezdne i miejscowe uwielbiały ją; rozsądkiem i dobrocią umiała sobie zjednywać młode serca.

Przełożona zaznajomiła swoich gości z młodą nauczycielką.

— Pani będzie łaskawa — rzekła do niej następnie — umieścić lizę w jej pokoju. Niech się tam rozgości.

— Chętnie. — I zbliżyła się do lizy. — Chodź — powiedziała z przyjazną poufałością — pokażę ci, gdzie będziesz mieszkać. Będziesz miała ładny, duży pokój, ale nie sama go zajmiesz. Mieszka tam już Ellinora Grey, twoja przyszła towarzyszka. Kochane to dziewczątko. Rada byś ją zaraz poznać, prawda?

liza nie słyszała pytania. Przestraszony, badawczy wzrok utkwiała w twarzy ojca i zapytała:

— Wszak nie odejdiesz, ojczulku?

Ojciec uspokoił ją, posła więc z panną Gussow.

— Ale psa nie weźmiesz ze sobą na górę — powiedziała panna Rajmar. — Możesz go oddać służącej; niech go przez ten czas zatrzyma przy sobie.

Panna Gussow ze współczuciem popatrzyła na dziewczynkę.

— Kochasz go bardzo? — zapytała, gdy przechodzili przez korytarz.

— O, tak — zawołała liza — bardzo, bardzo kocham Boba! A nie wolno mi go tu zatrzymać.

— Nie dręcz się tym, dziecko — pocieszała ją panna Gussow — to nie takie znów wielkie nieszczęście. Znajdziesz tu coś nierównie lepszego. Nie spostrzeżesz się nawet, jak prędko zapomnisz o Bobie. Mamy tu dwadzieścia dwie pensjonarki, znajdziesz między nimi niejedną przyjaciółkę. Czy masz rodzeństwo?

— Nie — odparła liza, która jakoś nabierała zaufania do panny Gussow — jestem jedynaczką.

28

- Jedynaczka! Rozumiem teraz twoją miłość do zwierzątka, nie miałas towarzyszek zabawy. Możesz zupełnie spokojnie oddać ojcu pieska; nie będziesz za nim tęskniła.

Ze schodów weszły na obszerny korytarz, wzdłuż którego ciągnęły się dwa rzędy drzwi. Nauczycielka otworzyła jedno z nich i znalazły się w dosyć dużym pokoju. Rozłożyste konary wysokiej jabłoni zaglądały w otwarte okna.

Urządzenie dalekie było od elegancji, w pokoju znajdowały się tylko niezbędne sprzęty: dwa łóżka, dwie komody, dwie szafy, umywalka i kilka krzesłek.

Gdy panna Gussow z lizą przestąpiły próg, podniosła się panienka, mogąca mieć około siedemnastu lat, która z książką w rękach siedziała przy oknie. Była drobna, szczupła, o jasnych włosach, zwiniętych w węzeł na tyle głowy; żywe niebieskie oczy i filuterne dołeczki na policzkach, ilekroć się uśmiechnęła, wiele dodawały jej wdzięku. Panna Gussow przedstawiła ją nowo przybyłej jako El-linorę Grey, Angielkę.

— Przeprowadzam ci Nelly, Uzę Macket. Mam nadzieję, że będziesz zadowolona z nowej swej towarzyszki.

— O, będę ją kochała — odrzekła Nelly, podając rękę gościowi.

Nelly mówiąc po niemiecku, robiła komiczne błędy, a minkę miała tak filuterną, że liza od razu poczuła do niej sympatię. Chętnie byłaby z nią dłużej została, ale musiała iść z nauczycielką, która chciała jej pokazać szkołę. Naprzód uchyliła drzwi do sali muzycznej, następnie poszły do sali rysunków, w końcu do tak zwanego dużego salonu. Młoda nauczycielka opowiadała jej, że w salonie odbywają się zwykle egzaminy, a niekiedy i bale. liza słuchała jednym uchem; przez otwarte drzwi dostrzegła właśnie jedną z klas, z długim czarnym stołem, otoczonym

29

ławkami. Tam więc odtąd będzie siedzieć zamknięta, nie wolno jej będzie wstać, kiedy jej się podoba. O, to straszne! Dreszcz zimny ją przeszedł.

— Jak ci się zdaje, do której klasy będziesz zapisana? — spytała panna Gussow. — Sądząc po latach, po-

30

winna byś iść do pierwszej. Czy przywiozłaś ze sobą książki i zeszyty? Jak zaawansowana jesteś w językach? Po francusku i po angielsku mówisz zapewne płynnie, gdyż ojciec twój pisał, że ciągle miałaś guwernantki — Francuzki i Angielki.

Z dołu rozległ się dźwięk dzwonu, który zwrócił w inną stronę uwagę nauczycielki. liza lżej odetchnęła. Okropne było dla niej to egzaminowanie. Powiedziała tylko krótko, że nie wie co umie, że po francusku, zdaje się, mówi niezłe.

— Dobrze, moje dziecko — odparła pospiesznie panna Gussow — dziś nie myślmy jeszcze o nauce, przy jutrzejszym egzaminie przekonamy się, czy należysz do dziewcząt uczonych.

Zejdziemy teraz na dół do sali jadalnej; dzwonek zwoływał na obiad.

W jadalni znajdowała się już przełożona z panem Macketem. Przy jedzeniu panna Rajmar wtajemniczała swego gościa w zwyczaje zakładu. Na przykład, iż nowo przybyła pensjonarka zajmuje miejsce przy stole obok przełożonej; dalej, że każdego tygodnia po dwie panienki muszą podczas obiadu nakrywać do stołu, baczyć, aby niczego nie brakowało, aby nakrycie było porządne i czyste. Najmłodsza z uczennic odmawia zwykle modlitwę przed jedzeniem i po jedzeniu.

Panu Macketowi podobało się to wszystko niezmiernie. Dziewczynki, które zasiadły dokoła stołu, wyglądały zdrowo i wesoło.

Uza spoglądała dokoła, ale cała jej uwaga skupiała się na fartuszkach. Wszystkie dziewczynki miały na sobie ten pogardzany przez nią ubiór, a panna Rajmar nie wyglądała na osobę, która pozwala na jakieś wyjątki.

Po modlitwie wniesiono wagę. Podawane potrawy były smaczne i pożywne, więc pan Macket uspokoił się i pod tym względem; widział, że dziecku jego krzywda dzieć się nie będzie.

31

Po obiedzie pożegnał się, a lizie pozwolono wyjść z ojcem. Na tę wiadomość Nelly jak wicher skoczyła na schody i zbiegła w minutę, niosąc kapelusz i rękawiczki lizy.

liza dziękowała, a pan Macket serdecznie uścisnął rękę

Nelly.

— Żegnaj panią — mówił głosem pełnym przyjaznej życzliwości, gdyż małą tą przysługą dziewczyna ujęła go sobie zupełnie — a proszę, miej pani cierpliwość dla mojej małej dzikuski.

— Niech pan będzie spokojny — odrzekła Nelly — już ja się nią zajmę.

— I cóż, lizo, jakże ci się podoba pensja? — spytał pan Macket, kiedy oboje byli już na ulicy. — Przyznam ci się, że ja odjeżdżam stąd bardzo spokojny, widzę, że zostawiam cię w dobrych rękach.

— Mnie wcale się tu nie podoba! — zawołała liza w najwyższym rozdrażnieniu. — Takie mi tu wszystko obce, nieprzyjemne, a ta szara pani z przylizanymi blond włosami budzi we mnie strach. Taka ostra, taki w niej brak uprzejmości! Zobaczysz tatusiu, że ona będzie dla mnie niedobra! Dlaczego nie pozwala mi zatrzymać

Boba?

— Słyszałaś dlaczego i, proszę cię, nie wznawiaj uporczywie tego żądania — upomniał ją lekko.

— To już i ty, ojczy, zaczynasz mnie łąać! Nigdy nie mówiłeś do mnie takim złym głosem! — wykrzyknęła boleśnie obrażona. I ta myśl, że wszyscy jej nie cierpią, nawet ojciec, tak ją zgębiła, że nie zważając na swój wzrost, na ulicy głośno prawie zaczęła płakać.

Pan Macket wziął ją pod rękę. Łzy dziecka poruszały go do głębi.

— Ależ, maleńka moja — mówił z czułością, próbując obrócić to wszystko w żart — co ty robisz? Chcesz, żeby

32

cię ludzie wyśmieli, widząc że taka duża dziewczyna płacze na środku ulicy?

Zaszli do hotelu i zastali tam już Boba. Głośnym szczekaniem powitał lizę, a ona pochwyciła go na ręce i pieściła, płacząc i łkając.

O godzinie piątej pan Macket odjeżdżał do domu. Te parę godzin przeszło prędko, choć w rozdrażnieniu. Im bardziej zbliżało się ostateczne pożegnanie, tym gwałtowniej wzruszona była liza, a pan Macket potrzebował całej siły woli, żeby nie spełnić jej natarczywej prośby i nie zabrać jej z powrotem do Moos-dorfu.

— Bądźże rozsądna! Miejsze rozum! — prosił, gdy ona w namiętnym żalu posuwała się nawet do grózb:

— Ja stąd ucieknę! — albo: — Będę tak niegrzeczna, tak niesforna, że mnie ta zła pani sama czym prędzej odeśle!

Ze tego nie robi, o tym wiedział, ale bolesne mu było widzieć swoją pieszczotkę tak zrozpaczoną. Chciała go przynajmniej na kolej odprowadzić, ale i na to pan Macket nie przystał.

— Odwiozę cię z powrotem na pensję i sam pojedę na kolej. Tak będzie najlepiej.

— No chodź, Ilziuchno — mówił, gdy powóz zajechał. Z niewymowną miłością przycisnął ją do piersi. — Przrzeknij mi, że będziesz dobrym, posłusznym dzieckiem. Zobaczysz, jak prędko się tam przyzwyczaisz.

Zarzuciła mu ręce na szyję — nie mogła się z nim rozstać. Naraz strasznym ciężarem padła jej na serce myśl, że w ostatnich godzinach tak okrutnie dręczyła swego ojczusia.

— Przebac mi, nie gniewaj się na mnie, mój kochany, najdroższy ojczusiu! Wszak na świecie całym tylko ty jeden mnie kochasz!

Kiedy powóz zatrzymał się przed zakładem, liza roz-

3 — Przekora

33

stała się z ojcem, płacząc głośno. Patrzyła za mm, gdy odjeżdżał, i zdawało jej się, że ją zostawiła samą jedną na pustej, bezludnej wyspie, że czeka ją śmierć.

Stała chwilę przed zamkniętą furką, nie miała odwagi zadzwonić. Naraz drzwi się otworzyły i stanęła w nich panna Gussow. Z okna górnego piętra widziała zajeżdżający powóz i zbiegła, aby przyjąć lizę.

— Teraz już należysz do nas, drogie dziecko — powiedziała z serdecznym uczuciem. Objęła ją i przytuliła do siebie. — Nie płacz już, nie płacz! My cię wszyscy będziemy

kochać.

liza nic nie odpowiadała. Czuła się tak nieszczęśliwa, że nawet to serdeczne przyjęcie nie znalazło odgłosu w jej sercu.

— Chcesz może pójść do swego pokoju?

liza w milczeniu skinęła głową. Wciąż jeszcze trzymała chustkę przy oczach.

— Nelly — zawołała panna Gussow — idź z lizą na górę i pomóż jej rozpakować rzeczy. Pewnie chcesz mieć już swoje rzeczy w porządku, lizo?

Dobrze wiedziała, że liza w tej chwili o tym nie myśli, ale wiedziała i to, że praca, zajęcie są najlepszym lekarstwem na smutek i zbolące serce.

Dziewczęta poszły do swego pokoju. liza w kapeluszu usiadła na krześle i wzrok nieruchomy utkwiała w okno. Ani myślała rozpakowywać rzeczy, oburzona była nawet, że wymagano od niej roboty, która właściwie należy do służących. Nelly w milczeniu otworzyła szafę, powyciągała szuflady komody i popatrzyła na lizę, czy się nie podniesie.

— Daj mi klucz — rzekła po chwili — otworzę twój kufer; musimy go rozpakować.

34

liza wstała niechętnie i, mając potrzebę wyładowania na czymś swojego gniewu, zerwała z głowy kapelusz i rzuciła go na środek pokoju.

— Po co mam wszystko rozpakowywać? — wykrzyknęła. — Ja nie wiem, czy tu zostanę! Mnie się tu wcale nie podoba!

Nelly podniosła kapelusz i położyła go na łóżku.

— Przyzwyczaj się — powiedziała łagodnie. — Nam wszystkim tak było, jak tobie, gdyśmy przyjechały. Tylko nie zwieszaj głowy. No, daj klucz, otworzę ci kufer.

Żadna broń nie pobiła tak skutecznie przekornego gniewu lizy, jak łagodność Nelly. Dała klucz Nelly, która otworzyła kufer i zaczęła wybierać z niego rzeczy. liza stała, przypatrując się temu.

— Musisz sobie sama pochować rzeczy do komody — powiedziała Nelly. — Ja będę ci tylko podawała.

liza nie miała do tego chęci. O porządku coś tam zaledwie słyszała. Chwytała pęki bielizny, elegancko związane pasowymi wstążeczkami i beładnie rzucała je do szuflad. Wszystko jej było jedno, jak się to tam układało.

Nelly przez chwilę patrzyła na tę robotę; nagle wybuchnęła śmiechem.

— Co ty wyrabiasz! — zawołała. — Ależ ty nie masz pojęcia, jak się układa! Chusteczki, kołnierzyki, fartuszki, wszystko razem zmieszane. To dopiero chaos! Trzeba układać porządnie, jedno koło drugiego, tak — i wyciągała jedną szufladę po drugiej w swojej komodzie, i pokazywała lizie, jak tam było czyściutko i składnie.

— Ja tak nie umiem — odparła liza. — Zresztą ani myślę tyle sobie zadawać trudu z głupimi gałganami!

— Głupie gałgany! — powtórzyła Nelly. — lizo, jak możesz tak mówić! Te cieniutkie chusteczki do nosa, tak pięknie znaczone, o, a te śliczne fartuszki! I rzuciłaś na

35

nie ciężkie książki! Daj już spokój — zawołała zgorszona, gdy liza cisnęła na bieliznę pantofle i buciki — pozwól, ja to zrobię sama, ty nic nie umiesz!

liza nie dała sobie tego powtórzyć dwa razy. Patrzyła spokojnie, jak Nelly wzięła obuwie i ustawiła je na dole w szafie, jak każdy przedmiot kładła na właściwym miejscu.

— Jakaż to ładna książka! — wykrzyknęła naraz Nelly, wyjmując z kufra książkę ozdobnie oprawioną w brązowy aksamit, zamkniętą na srebrną klamerkę.

Na okładce, również srebrnymi głoskami, wyryty był napis: Dzienniczek lizy.

liza wzięła dziennik z rąk Nelly i przyglądała mu się zdziwiona. Co to za książka? Nic o tym nie wiedziała. W zameczku tkwił kluczyk, otworzyła i w tej chwili jakaś zapisana kartka upadła na podłogę. Podniosła ją i przeczytała:

Moje drogie dziecko,

oby ten dziennik był ci wiernym druhem w obcym domu! Gdy ciężar poczujesz na sercu, uciekaj się do niego, powierz mu wszystko, co cię uciska. On będzie dyskretny, nie nadużyje nigdy twojego zaufania.

Pomyśl niekiedy o swojej
Matce

Milcząc, liza położyła książkę. Niespodzianka ta nie sprawiła jej najmniejszej uciechy. Pełne miłości słowa matki żadnego nie zrobiły na niej wrażenia.

— Nie uradowała cię ta książka? — spytała Nelly, zdziwiona taką obojętnością.

liza potrząsnęła głową przecząco.

— Co mi po niej? — odparła i wydeła pogardliwie swoje ładne usteczka. — Miałabym jeszcze coś tam zapisywać! Zadowolona będę, jak odrobię swoje zadania. Na jakieś tam długie, niepotrzebne historie nie mam ani czasu, ani chęci.

36

— Jak bym ja się cieszyła, gdybym miała matkę, która by tak o mnie myślała — mówiła Nelly, a smutek dźwięczał w jej głosie.

— Czy twoja matka umarła? — zapytała liza ze współczuciem.

— O, już dawno, dawno umarła — odrzekła Nelly. — Byłam jeszcze malutka. Ojca także już straciłam, jestem sama — sierota. Ani jednej duszy nie ma na szerokim bożym świecie, która by mnie kochała.

— Biedna Nelly! — liza ujęła jej rękę. — Ale masz rodzeństwo?

— Nie mam ani brata, ani siostry, jestem sama, zupełnie sama! Stary wuj oddał mnie na pensję, a jak skończę nauki, mam być guwernantką.

— Guwernantką! — zakrzyknęła liza zdumiona. — Ależ ty jesteś na to za młoda! Przecież to tylko stare panny są guwernantkami!

Nelly śmiała się serdecznie z tego naiwnego poglądu. Smutek pierzchnął od razu i jak promień słońca spoza chmur, zajaśniała jej wrodzona wesołość. Tylko na duszy lizy to sieroctwo, osamotnienie Nelly głębokie zrobiło wrażenie.

— Pozwól mi być twoją przyjaciółką — poprosiła w zwykły sobie, dziecinny sposób. — Ja bardzo będę cię kochać.

— Och, jak to dobrze, że będziesz moją przyjaciółką! — zawołała Nelly, rzucając się jej na szyję.

— Tyś mi się od razu bardzo spodobała.

Duży kufer został już wypróżniony, Nelly zabrała się do małego. Zaczęła odpinać rzemienie, gdy liza szorstko wyrwała go jej z ręki.

— Nie otwieraj! — krzyknęła. — Nie potrzebuję, żebyś wiedziała, co w nim jest!

— Ojej! Jakie straszne oczy! — zawołała Nelly, udając przestraszoną. — Cóż ty za tajemnice masz w tym kufrze? Pewnie ciasta i kiełbasę.

37

Nelly miała taką zabawną minę, że liza się zaśmiała. Żałowała już nawet swojej porywczosci.

— Niegrzeczna byłam, Nelly, nie gniewaj się na mnie — prosiła. — Jeżeli mnie nie zdradzisz, to ci pokażę, co tam jest; ale daj mi rękę, że milczeć będziesz.

Nelly położyła palec na ustach i, podając jej rękę, zaprzysięgła wieczne milczenie.

liza zdjęła z szyi kluczyk zawieszony na czarnej tasiemce i już miała otworzyć kuferek, gdy zadzwoniono na
wieczerzę.

— O, jaka szkoda! — powiedziała Nelly, którą paliła ciekawość. — Musimy już zejść na dół; rozpakujemy go dopiero, jak pójdziemy spać.

— Jak pójdziemy spać? — spytała liza zdziwiona. — To przecież będziemy w łóżku.

— Cicho bądź! — odrzekła Nelly, kładąc znów palec na ustach. — To moja tajemnica!

lizie wskazano miejsce obok przełożonej. Przy niej siedziała młoda Polka, Aleksandra Wojska, wysoka, szykowna, elegancka; ciemne włosy, splecione w gruby warkocz, spadały jej do pasa, błękitne oczy patrzyły rozumnie i poczciwie. Miała lat siedemnaście, ale wyglądała na więcej, co dodawało jej pewnego rodzaju powagi wśród towarzyszek. liza chciałaby siedzieć przy Nelly, z

którą w ciągu tych paru godzin tak się już zżyła, ale miejsce Nelly było daleko. W tej chwili nawet jeszcze nie siedziała, z drugą dziewczynką stała przy bocznym stole i pomagała gospodyni nalewać i rozdawać herbatę.

Przyjemnie było patrzeć na te dziewczątka w czystych fartuszkach, zajęte gospodarowaniem. Zręcznie obchodziły stół dokoła i podawały filiżanki.

Chleb z masłem, na nim plasterki pieczeni i kielbasy, rozstawiony był wzdłuż stołu na kilku półmiskach.

Panna Rajmar sięgnęła po najbliższy półmisek i podała go lizie.

38

— Weź sobie — powiedziała — i podaj sąsiadce.

liza była głodna. Przy obiedzie ani jednego kawałka przełknąć nie mogła, teraz jednak natura domagała się swoich praw. Od razu wzięła sobie cztery kromki, złożyła po dwie, jedna na drugą i pochłonęła cały ten zapas w trzech czy czterech kęsach. Prawda, że usta miała zapchane, policzki wyduły się z obydwóch stron, jak napuchnięte, ale to nie obchodziło jej wcale; tak zawsze robiła w domu, pakowała ogromne kawały chleba wiejskiego z masłem, a na takie cieniutkie kromki, jak tu, nawet nie patrzyła. Filiżankę niosła do ust obydwoma rękami, oparłszy łokcie na stole.

Panna Rajmar w pierwszej chwili nic nie dostrzegła, dopiero tłumiony cichy śmiech w pobliżu, zwrócił jej uwagę. Melania i Greta Szwarz, dwie siostry z Frankfurtu nad Menem, siedząc naprzeciwko lizy, bawiły się przepysznie jej swobodną prostotą, potracaly nieznacznie łokciami

39

swoje sąsiadki i na migi wskazywały na nowo przybyłą, która niczego się nie domyślała.

Surowe spojrzenie przełożonej uspokoiło dziewczynki. Nie lubiła naśmiewania się z cudzych wad i ułomności, lizie nie zrobiła żadnej uwagi, że się nieprzyzwoicie zachowuje przy stole; nie chciała jej zawstydzać wobec wszystkich współtowarzyszek; napomnienia tego rodzaju odbywały się zwykle w cztery oczy.

— Może jeszcze jesteś głodna, lizo? — zwróciła się do niej.

liza zamiast odpowiedzieć, przytaknęła głową. Ona dopiero zaczęła jeść. Podano jej znów półmisek, nałożyła sobie drugą taką porcję i zjadła w taki sam sposób jak pierwszą.

— A to żarłok — szepnęła piętnastoletnia Greta do ucha siostry o dwa lata starszej od siebie. — Patrz, znów

pakuje.

Melania ręką zamknęła sobie usta, żeby nie roześmiać się głośno.

O pół do ósmej skończyła się kolacja; do dziewiątej pensjonarki miały czas wolny, każda mogła robić, co jej się podobało. O dziewiątej udawano się na spoczynek.

Nelly przybiegła do lizy.

— Chodź, pójdziemy do ogrodu. Ale nie złożyłaś swojej serwety i nie wciągnęłaś jej w kółko.

Trzeba to zrobić.

— To nie należy do mnie — odparła liza. — A od czegoż służące? W domu nigdy nie robiłam nic podobnego!

— To nic nie znaczy, moje lube dziecko, tutaj musisz robić takie rzeczy; my wszystkie to robimy. W istocie wszystkie serwetki leżały porządnie zwinięte — ona jedna tylko tego nie zrobiła.

Niecierpliwie wzięła serwetę, zwinęła zgniecioną i wpakowała w kółko.

— Ależ nie tak — powiedziała Nelly — tak niezgrabnie!

40

Wyciągnęła serwetkę, wygładziła o ile się dało, i szybko, zręcznie i porządnie zwinęła ją swymi drobnymi rączkami.

Młoda Angielka wszystko robiła zgrabnie i z osobliwym wdziękiem.

— Teraz prędko do ogrodu! — Wzięła lizę pod rękę. Pobiegły.

Ogród był duży i ładny. Wprawdzie nie taki wielki, jak w Moosdorfie, ale starannie utrzymany. Piękne, wielkie drzewa pięły się w górę, ciągnęły się także i cieniste aleje, a zewsząd otwarty widok na góry porośnięte lasem.

— Czy tu nie jest ładnie? — spytała Nelly. — Czy i u was są takie piękne góry?

— Nie, gór nie ma — odrzekła liza — a jednak mnie u nas lepiej się podoba. Taka swobodna przestrzeń, oko bieży gdzieś w dal niezmierną, całe pole przejrzyć mogę dookoła. Nie ma także muru dookoła parku, otacza go tylko zielony płot, co o wiele ładniej wygląda.

Nelly pokazała jej ulubione miejsca, na których się wszystkie zbierały, zaprowadziła ją do huśtawki, na plac gimnastyki, a w końcu pod starą lipę, której rozłożyste konary i gałęzie ocieniały sporą przestrzeń.

— Jak tu przyjemnie! Prawda? — pytała z zachwytem, wznosząc błyszczące oczy na zielony dach ponad głową. — Tu odpoczywamy w południe. To stare drzewo mogłoby dużo opowiedzieć, gdyby umiało mówić. Ile zna ono tajemnic!

Czas przechodził szybko, Nelly swoim miłym gwarzeniem potrafiła go uprzyjemnić. liza, która tego rana czuła się tak nieszczęśliwa, która po obiedzie myślała, że nie przeżyje rozłąki z ojcem, już kilka razy śmiała się serdecznie, gdy Nelly komicznie charakteryzowała każdą z pensjonarek.

— Jak się nazywa ta panienka, która koło mnie siedziała przy obiedzie? — zapytała liza.

— Ta z ciemnymi włosami i błękitnymi oczami? To

41

Ola Wojska. O, ona bardzo mądra! My wszystkie boimy się jej po trosze, bo wszystkim prawdę mówi w oczy.

— To bardzo ładnie — stwierdziła liza.

— Tak, jeżeli ta prawda jest przyjemna, ale prawda niekiedy boli i wtedy nikt nie lubi jej słuchać. Gdybym ja jej tak powiedziała: „Ola, niedbała jesteś i rozrzutna, a rodziców masz niezbyt bogatych!”, toby jej nie było bardzo przyjemnie, a jednak powiedziałabym prawdę. O, bo widziałam raz, jak nową prawie suknię rozerwała w ogrodzie i żeby jej nie naprawiać, darowała ją tajemnie kucharce. A ile ona wydaje pieniędzy na niepotrzebne rzeczy!

Zbliżyły się teraz do płaczącej wierzby, której konary dotykały ziemi. Nelly rozchyliła parę gałęzi.

— lizo, przedstawiam ci naszą poetkę — rzekła głosem pełnym namaszczenia.

liza spojrzała. Na ławeczce siedziała dziewczyna, blondynka o bladej twarzy, gęsto pokrytej piegami. Na kolanie oparła gruby zeszyt w niebieskiej okładce i pisała coś bardzo pilnie.

Ciekawie i z pewną nieśmiałością patrzyła na nią liza. Dziwne jej się to wydawało, żeby szesnastoletnia dziewczyna pisała wiersze.

— Ona pisze romanse — powiedziała Nelly — ale jakie! Zawsze występują tam rozbite serca.

Floro, popsujesz sobie oczy, za ciemno ci do pisania romansów!

Dotąd Flora Hopfstange nie przerywała pracy — teraz jednak rozgniewała się.

— Proszę cię, Nelly, zostaw mnie w spokoju! — zawołała i podniosła na nią bladoniebieskie, rozmarzone oczy. — Miałam właśnie precudną myśl i w tej chwili zgubiłam ją!

— O, ja jej poszukam — mówiła Nelly, klękając na ziemi, jakby tam myśl ową znaleźć chciała.

— Nieznośna jesteś! — wybuchnęła Flora. — Jakie ty możesz mieć pojęcie o mojej poezji, kiedy nawet mówić nie umiesz po niemiecku!

42

- To prawda — przyznała Nelly, śmiejąc się i odeszła z lizą od ciężko obrażonej poetki.

Na drugim końcu alei ukazały się Melania i Greta. W środku pomiędzy nimi szła jeszcze jakaś panienka o bardzo miłej powierzchowności. Zdawała się być w wieku Melanii. Czarne włosy miała przedzielone równo i uczesane gładko, gładziuteńko. Mile uśmiechnęła się do lizy i Nelly, podczas gdy siostry, przechodząc, zmierzyły szyderczym wzrokiem obie nowo przybyłe.

— Te dwie siostry znasz — zauważyła Nelly — siedzą przy stole naprzeciwko ciebie, ale o naszej „grzecznej” jeszcze nic nie wiesz. Oj, powiadam ci lizo, ona jest taka grzeczna jak dobrze wychowane dziecko. Zawsze pierwsza na lekcji, nigdy żadnego nie robi głupstwa, jednym słowem Rózia Muller jest wzorowym dzieckiem.

— Co ty tam opowiadasz o naszym wzorowym dziecku — zabrzmiał nagle wesoły głos

dziewczęcy. — Nelly, Nelly, twój złośliwy języczek obrabia nas wszystkie!

— Mylisz się, kochana synogarliczko, nie obmawiam nikogo, tylko zaznajamiam lizę ze wszystkimi.

— Kto to był? — zapytała liza, gdy mała, okrągła figurka przeszła oparta na ramieniu Oli.

— To Annemia von Bosse, zwana synogarlicą. Śmieje się bardzo często, właściwie ciągle i nigdy przestać nie może. Śmiech jej jest zaraźliwy, wszystkie muszą się z nią śmiać. No, zaprezentowałam ci już koleżanki w naszym wieku. Inne są dużo młodsze. Albo Angielki, a o tych niewiele mam ci do powiedzenia; nudne są, a po niemiecku mówią gorzej niż ja.

O dziewiątej wszystkie pensjonarki znajdowały się już w mieszkaniu. Był zwyczaj, że przed udaniem się na spoczynek szły do pokoju przełożonej powiedzieć jej „dobranoc”. Przełożona każdą całowała w czoło. Niekiedy upomniwała, pochwaliła lub zgañała tę i ową, stosownie do

43

tego, jak się zachowywały w ciągu dnia, ale wszystko to wypowiedziane było głosem przychylnym, jak matka do swoich dzieci.

— Chciałabym z tobą jeszcze pomówić, lizo — rzekła panna Rajmar, gdy z kolei liza stanęła przed nią. — Zostań na chwilę.

Gdy dziewczynki już wyszły, zwróciła jej uwagę, że przy stole nie zachowuje się według przyjętych form.

— Nie można trzymać filiżanki obydwoma rękami i łokciami rozpierać się na stole; nie wyobrażasz sobie, jak to nieładnie wygląda. Zwróć uwagę na swoje towarzyszki, przekonasz się sama, że żadna tego nie robi. Ponadto nie kładź w usta takich wielkich kawałów. Niektóre tylko małe dzieci tak jedzą, a i te noszą zwykle miano łakomych, nienasyconych.

liza spąsowiała z gniewu na to niespodziewane upomnienie. Zagryzła usta i zdusiła w sobie niegrzeczną odpowiedź.

— Idź już do siebie, dziecko, i śpij spokojnie.

Chciała pocałować lizę w czoło, ale dziewczyna gwałtownym ruchem uchyliła głowę. Było dla niej niepodobieństwem dać się pocałować przełożonej, którą nienawidziła w tej chwili.

Panna Rajmar odwróciła się niechętnie od przekory, a liza wyszła z pokoju.

Wbiegła na schody i bez tchu wpadła do sypialni. Ze złością zatrzaskała drzwi i zasunęła od wewnątrz zasuwę, co na pensji było surowo wzbronione.

— Nie zasuwaj! — wołała Nelly — tego nam robić nie wolno. Kiedy jesteśmy już w łózkach, panna Giissow przychodzi jeszcze wszystko obejrzeć.

Naturalnie liza ani się poruszyła, Nelly więc sama poszła odsunąć. liza rzuciła się twarzą w poduszki i wybuchnęła płaczem.

- Co ci to? — badała przestraszona Nelly.

44

- Ja tu za nic nie zostanę! Odjeżdżam stąd jutro! Gdyby to mój ojciec wiedział, jak ona się ze mną obeszła! Po wielu natarczywych pytaniach Nelly wydobyła z przyjaciółki, co powiedziała jej panna Rajmar.

— Jem niezgrabnie, za wielkie gryzę kawały, jestem łakomczucha! W domu jadłam ile i jak mi się podobało! Nie chcę tu być! Jutro odjeżdżam!

— Nie martw się o takie drobnostki! — łagodnie przemawiała Nelly, pieszczotliwie gładząc bujne kędziory lizy. — Panna Rajmar jest bardzo sprawiedliwa, mówiła ci to dla twego dobra, a nie po to, żeby cię obrazić. Tak samo postępuje wobec nas wszystkich. Wszak jesteśmy młode i głupie, dopiero się uczymy. No, kładźmy się teraz przedziutko, a jak panna Giissow odbędzie już swój przegląd, wstaniemy cicho jak myszki i rozpakujemy twój kufeczek.

Ale z lizą była niełatwa sprawa.

— Nie! — krzyknęła, zrywając się jak oparzona. — Nie będziemy otwierały kufereka! Ja odjeżdżam jutro!

Gwałtownie ściągała z siebie ubranie, ciskała wszystko zgniecione, jedno na drugie i łkając rzuciła się na łóżko. Nelly w milczeniu pozbierała rozrzucone rzeczy, ładną sukienkę powiesiła na gwoździu, resztę ułożyła porządnie na krzeselku i dopiero wówczas zaczęła się rozbierać.

Nim się położyła, uklękła przy łóżku, złożyła ręce i cicho odmówiła krótką modlitwę.

— Dobranoc, lizo — powiedziała jeszcze, całując ją serdecznie. — Już nie płacz! Każdy początek jest trudny.

Ale liza płakała długo. Myśli jej pobiegły za ojcem i towarzyszyły mu w drodze powrotnej. Niedługo już dojedzie do domu. Ach, gdyby wiedział, jak traktowane było tutaj jedyne jego dziecko! Tak bezgranicznie czuła się nieszczęśliwa w tej niewoli! Usnęła z płaczem, jak dziecko, ale przykre sny straszyły ją kilkakrotnie. Już to trzymała w jednej ręce ogromną filiżankę i upuściła ją, już to przełożona w szarej

45

sukni przytykała jej do ust olbrzymi kawał razowego chleba z masłem, a gdy chciała ugryźć, chleb zniknął.

Nazajutrz o godzinie szóstej trzeba było wstawać. Choćby się oczy bezwiednie jeszcze do snu zamykały, trzeba je było otwierać. Żadnej ulgi, żadnego wyjątku! liza wstawała w domu albo bardzo rano, albo bardzo późno, jak się jej podobało. Stałemu porządkowi, jak się tego matka nieraz domagała, nie poddała się nigdy. Ciężko jej więc było teraz wstawać tak na komendę, szczególnie dziś chętnie byłaby jeszcze pospała. Ale o tym nie było co myśleć. Nelly już się myła. Jak tylko wybiła szósta, wyskoczyła z łóżka jednym skokiem.

— Wstawaj, lizo — wołała — o pół do siódmej pijemy kawę.

— Już wstawać? — mówiła zaspana liza. — Ja jeszcze jestem taka zmęczona, taka śpiąca.

— Nic nie szkodzi; nie wolno ci już być śpiącą, liza ociągała się jeszcze. Nelly była ubrana, gdy ona

zaledwie się podniosła.

— lizo, śpiesz się, masz już tylko dziesięć minut! Prędzej, prędzej, ja ci pomogę! Gdzie grzebienie?

liza pokazała zwitek na oknie.

— Tam są, zawinięte w papier — odrzekła.

— To niezbyt porządnie, to mi się nie podoba — rzekła Nelly, kręcąc noskiem. — Musisz sobie uszyć woreczek z szarego płótna z czerwoną tasiemką, patrz, taki — i pokazała jej swój woreczek — to będzie praktycznie.

liza niewiele potrzebowała czasu na upięcie włosów. Przeczesała je parę razy, wyszczotkowała, a reszty dopełniła natura, zwijając gęste pukle dookoła głowy. Nelly przytrzymała je jasnoniebieską wstążką, wiążąc ją w kokardę na środku głowy.

— A teraz jeszcze fartuch — przypomniała, gdy liza była już gotowa. — Nie można bez fartucha. Śmiała się, gdy liza odpychała ten strój.

46

- Jesteś małe głupiątko — łajala przyjaciółkę i zawiązała jej fartuch, pomimo gwałtownego oporu.

— Cicho mi zaraz! Bez fartucha nie dostaniesz kawy!

Wesoła Nelly miała już przewagę nad małą przekorą; liza bezwiednie poddawała się jej woli.

— Otóż tak, bardzo ci w tym do twarzy. Ten niebieski haftowany fartuszek jest uroczy. Daj mi teraz buzi.

Dziewczynki zasiadły już przy długich stołach, Nelly z lizą przyszły ostatnie. Panna Rajmar nigdy nie pojawiała się rano, obowiązek ten wzięła na siebie panna Gussow. liza obok niej zajęła miejsce. Gdy podano jej kawę, ujęła filiżankę przyzwoicie za uszko, jadła również, jak się należy, nie pakując do ust takich kawałów jak wczoraj wieczorem. Ale pozostał jej jeszcze jeden zwyczaj nie do pochwały: wciągała napój tak głośno, że ta szczególna muzyka przy stole budziła ogólną wesołość.

liza nic nie wiedziała, że to z niej się śmieją, dopiero Ola ją ostrzegła.

— Ależ ty dajesz prawdziwy koncert — powiedziała. — Czy zawsze tak pijesz? Żeby ta muzyka przy stole miała być piękna, tego nie powiem.

lizę ciężko dotknęła ta przymówka. Z gniewem postawiła filiżankę, wstała od stołu i wyszła.

— Nie powinnaś była tak jej zawstydząć wobec wszystkich, Olu, to bardzo boli — odezwała się panna Gussow i wstała również, żeby wyjść za lizą.

liza dążyła ku ogrodowi, gdy zawołała na nią nauczycielka.

— Dokąd idziesz, Uzo? — zapytała. — U nas, moje dziecko, nie wolno każdej z osobna wstawać od stołu. Wróć i dokończ śniadanie.

— Śniadania nie chcę — odparła liza — i już nie wrócę! Wszystkie wyśmiewały się ze mnie, a Ola powiedziała mi niegrzeczność. Nikomu nic do tego, jak ja jem

47

i piję, robię to tak, jak mi się podoba! Przepisów dyktować sobie nie pozwolę, nie!

- Nim dalej będę mówić z tobą, proszę cię kochana lizo uspokój się i bądź rozsądna. Na to pozwolić me mogę, żebyś się odzywała do mnie w sposób tak niegrzeczny.

Panna Gussow powiedziała to z powagą i naciskiem; jednak w napomnieniu tym dźwięczała nuta miłości. Jej melodyjny, miękki głos docierał się zawsze do serca, poczuła to w tej chwili liza.

Spuściła oczy i zawstydziła się nieco.

Nauczycielka czytała w wyrazistych rysach lizy i widziała, co się dzieje w jej duszy.

— Daj mi rękę, ty mały huraganie — rzekła z uśmiechem - i przyrzeknij mi, że nigdy nie będziesz tak gwałtowna i że nie pozwolisz brać nad sobą góry gniewowi, wtenczas nawet, kiedy sądzić będziesz, że jesteś na prawie. Dziś nie miałaś słuszności, piłaś rzeczywiście nieapetyczne. Ola myślała, że dobrze robi, mówiąc ci o tym. Nie chciała ci dokuczyć, nie gniewaj się więc na nią. Taką zasłużoną nauczkę każda z was przy sposobności przyjąć powinna. Lepiej przecież być napomnianą jako dziecko za swoje wady i złe nawyki, niż potem, jako dorosła, zostać wyśmianą i wyszydzoną w towarzystwie.

W domu, liza nie chciała słuchać kiedy jej mówiono, że jest już dorastającą panienką, tu znów nie-

48

przyjemne robiło na niej wrażenie, że ją wciąż zaliczano do dzieci.

— Przyznajesz mi słuszność, lizo? — zapytała nauczycielka.

W duszy może się z nią zgadzała, ale słowem nie wypowiedziałaby tego za nic w świecie. Panna Gussow poprzestała na jej milczeniu, biorąc je za potwierdzenie. Wiedziała z doświadczenia, że z taką naturą jak lizy nic przemocą zrobić nie można.

— Wróćmy do jadalni — rzekła po chwili, a Uza nie śmiała stawić oporu.

Szła za panną Gussow ze spuszczoneymi oczami — lękała się tylu przykrych spojrzeń, które na nią się skierują. Weszły, lecz w jadalni nie było już nikogo. liza odetchnęła swobodniej.

— Jeszcze jedno muszę ci powiedzieć, lizo. Panna Rajmar życzy sobie przejrzeć wszystkie twoje zeszyty, a także i ustnie będziesz dziś egzaminowana. Za godzinę bądź w sali egzaminacyjnej.

Poznasz tam częściowo przyszłych swoich nauczycieli i nauczycielki.

— Czy oni wszyscy będą mnie egzaminowali? — zapytała liza, trochę zakłopotana.

— Nie, ale słuchać będą twoich odpowiedzi na pytania zadawane ci przez pannę Rajmar. Dowiesz się następnie, do której pójdziesz klasy, a jutro weźmiesz już udział w lekcjach.

liza poszła do swego pokoju pozbierać zeszyty. W nie najlepszym znajdowały się stanie.

Szpecially z niemieckimi ćwiczeniami-nie przynosił jej zaszczytu. Zdobiły go przeróżnych kształtów plamy atramentowe, a nawet i tłuszcz szeroko rozsiadł się w paru miejscach. Francuskie ćwiczenia także źle potraktowała: wyrwała kilka okropnie zamazanych kartek, przez co wyleciały wszystkie inne; niepodobna więc było pokazać zeszyt w takim stanie.

Nelly, która właśnie miała wolną godzinę, zdziwiona przyglądała się poczynaniom lizy.

4—Przekora

49

— Co ty wyrabiasz? — powiedziała. — Takie zeszyty pokażesz pannie Rajmar? Ależ tak nie można! Więc twój pan pastor pozwalał ci na takie rzeczy? Pozwól, ja ci je pokładam niebieskim papierem, będzie to wyglądać ładnie i zakryje te straszne kleksy.

— Oddawaj! — krzyknęła liza podrażniona. — Takie są dobre! Wszystko mi jedno, czy panna Rajmar widzieć będzie kleksy, czy nie!

— Nie złość się tak, panno lizo! Jesteś nieporządną młodą osobą! Byłoby ci przyjemnie, gdyby panna Rajmar wzięła twój zeszyt, ot tak, za rożek w dwa palce i pokazała go nauczycielom? Chyba nie byłoby ci wszystko jedno? Szczególnie gdyby doktor Althoff, nasz nauczyciel niemieckiego, ze znanym swoim filuternym uśmiechem, popatrzył na ciebie tak z boku i zapytał: „Ile panna ma lat?” Pomimo że liza się niecierpliwiła, pomimo że wciąż powtarzała, że głupie zeszyty niewarte są takiej pracy, Nelly przeprowadziła swoją wolę.

— Teraz możesz iść — rzekła, gdy ostatni już obłożyła zeszyt. — Podziękuj mi, że tyle zadałam sobie trudu.

— Ty naprawdę jesteś dobra, Nelly — mówiła liza zmiękczona. — Jak możesz być zawsze tak łagodna i cierpliwa? Dla mnie jest to niepodobieństwem!

— O, nauczysz się tego, dziecko. I ty jeszcze będziesz oswojonym ptaszkiem.

O godzinie jedenastej liza zeszła do sali egzaminacyjnej. Gdy weszła, zastała już kilku nauczycieli i parę nauczycielek. Siedzieli wokoło dużego stołu; panna Rajmar na pierwszym miejscu.

— Przybliź się, lizo — powiedziała i w kilku przyjaznych słowach zaznajomiła nową uczennicę ze składem nauczycielskim. Następnie kazała sobie podać zeszyty. Najpierw wpadły jej w ręce ćwiczenia. Przewracała kartki, czytała, potrząsając głową.

— Niektóre myśli są dobre i jasne — rzekła do siedzące-
50

go obok nauczyciela języka niemieckiego, doktora Althof-fa — ale to nieuważne, pośpieszne pismo! Widzi pan, „uns” napisała z „z” na końcu, „Land” z „t”. Znać, że bardzo była zanedbana. lizo, jak piszesz „Land”? Przeliteruj.

liza pytania tego nie wzięła na serio. Cóż to? Czy ona jest małą dziewczynką ze wstępnej klasy? Ociągała się z odpowiedzią.

Tymczasem przełożona, nieprzywykła żartować, ze zdziwieniem patrzyła na milczącą.

— Chcę wiedzieć, jak piszesz wyraz „Land” — powtórzyła raz jeszcze dobitnie, tonem, który nie zostawiał żadnej wątpliwości.

liza zmarszczyła czoło, wydeła nieco wargi i przeliterowała tak prędko, że ledwie ją można było zrozumieć: L-a-n-d. Wzrok zwróciła na okno, aby nie patrzeć na pannę Rajmar.

— A więc tylko przez nieuwagę, tak też myślałam — powiedziała przełożona. — Mam nadzieję, że teraz będziesz o wiele uważniejsza, odrabiając zadane ćwiczenia. Błędy jakie znajduję w twoich wypracowaniach, nie zdarzają się u nas nawet w trzeciej klasie.

Nastąpił egzamin ustny. Na pytania z różnych przedmiotów różne też padały odpowiedzi: niekiedy zadziwiająco rozumne i inteligentne, niekiedy znów bardzo naiwne. Doktor Althoff uśmiechnął się kilka razy, co lizie wszystką krew napędziło do twarzy. Gniewało ją to okropnie, na czym najwięcej ucierpiała chusteczka, bo ją skręciła na sznurek.

Z francuskiego poszło nieźle. Monsieur Michel, nauczyciel francuskiego, człowiek niemłody, z siwymi włosami, zadał jej kilka pytań, na które odpowiedziała dosyć płynnie i poprawnie.

Miss Lead, Angielka, zamieszkała również w zakładzie, miała mniej szczęścia. liza jąkała się bardzo w swoich odpowiedziach.

— Zwalniamy cię już, dziecko! — rzekła panna Raj-

51

mar. — Egzamin już skończony. Zawiadomię cię później, do której klasy będziesz przyjęta.

Po wyjściu lizy nastąpiła narada, zakończona przyjęciem lizy do klasy drugiej, a z francuskiego do pierwszej.

— Zdaje się, że z lizą niejedną przejdziemy biedę — odezwała się przełożona. — Uparta jest, przekorna, zuchwała, oburza się na najmniejsze napomnienie.

— Ale ma dużo serca — wtrąciła żywo panna Gus-sow. — Brak mi jeszcze wprawdzie dowodów na poparcie tego twierdzenia, ale czytam to w jej pięknych, wyrazistych oczach. Przekonana jestem, że się nie mylę. Surowością nic z nią nie zrobimy, ale miłością i energią uda nam się poskromić tę dzikuskę.

— Tak i ja sędzę — potwierdził pan Michel. — Przekonacie się państwo, że liza będzie jeszcze ozdobą pensji. Z jaką elegancją mówi po francusku, jakich stosownych wyrażen używa! To

genialne zdolności!

Mały Francuz mówił w zachwycie, a słowom jego towarzyszyła żywa gestykulacja.

— Z serca życzę, żeby się nadzieje pana sprawdziły — odrzekła panna Rajmar, powstając. — Miłości i pobłażliwości jej tutaj nie zabraknie, a może nam się uda zrobić z niej rozsądną i pożyteczną kobietę.

W pierwszych jednak chwilach niewielkie po temu przedstawiały się widoki. Przy obiedzie liza dowiodła, jak sprawiedliwie osądziła ją panna Rajmar.

Źle trzymała widelec. Końce palców dotykały prawie potraw. Jarzynę jadła nożem, a brała w usta tak gorącą, że parę razy, żeby się nie sparzyć, wyrzucić ją musiała z powrotem na talerz. Głowę pochylała tak nisko nad talerzem, że przypominała tym zgłodniałe zwierzątko.

— Siedź prosto, lizo — upominała przełożona — to nawet niezdrowo tak się garbić.

— Ja zawsze tak jem — odparła krótko.

— Ja tak zawsze jadałam, chciałaś zapewne powie-

52

dzieć, moje dziecko, bo tu będziesz się musiała przyzwyczaić jeść tak, jak wymaga tego przyzwoitość. Czy i w domu tak trzymałaś widelec i nóż podczas jedzenia?

— Tak — odparła liza, odrzucając nieco w tył głowę. — Ojciec nie miał mi nigdy nic do zarzucenia, zadowolony był, gdy mi smakowało.

— A mama, czy także pochwałała twój sposób jedzenia?

liza milczała. Nieprawdy nie śmiała i nie mogła powiedzieć. Pamiętała dobrze, jak często upominała ją matka i jak często odbierała od niej odpowiedź: „To wcale jeść nie będę, kiedy mi mama tak ciągle przygania!”

Ostatnie pytanie panna Rajmar wymówiła cicho, tak, żeby tylko liza słyszeć je mogła. Nie czekała na odpowiedź, podobało jej się, że dziewczynka wołała milczeć, anizeli mijać się z prawdą.

— Jedz, jedz, dziecko — mówiła dalej łagodnie i z pogodą na twarzy — z czasem oswoisz się ze wszystkim. Po kilku tygodniach już nie będzie cię potrzeba upominać. Nieprawdaż?

— Nie wiem — odrzekła liza nachmurzona, wlepiając oczy w talerz.

— Musisz się o to starać i pamiętać o sobie.

liza milczała. Była przekonana, że wyrządzano jej największą niesprawiedliwość. Czemu nie miała jeść naturalnie? Ojciec zawsze jej powtarzał, żeby nie była lalką, a tu, we wszystkim co robi, mają jej coś do zarzucenia. Nie śmie już nawet jeść i, jeżeliby dalej tak być miało, to wolałaby się zagłodzić.

Wieczorem, gdy liza i Nelly już się pokładły, gdy panna Gussow skończyła przegląd, gdy światła już były pogaszone i wszystko w domu ucichło, Nelly wyszeptwała:

53

— Czy śpisz, lizo?

— Nie, a czego chcesz?

— Odziej się po cichu, rozpakujemy twój kufeczek.

— Jakżeż to, po ciemku? — zapytała liza.

— Nie kłopotz się, ja mam świecę.

Nelly wstała cichutko i w pończochach poszła do swojej komody. Ostrożnie wysunęła górną szufladę i wyjęła z niej mały stoczek. Zapaliwszy go, zastawiła książką, żeby światło nie padało w okno.

— Czy nie dowcipnie? — zapytała. — Prędzej, prędzej — popędzała lizę, która odziewała się spieszenie.

— Gdzie masz kluczyk?

— Tu — odrzekła liza, wyciągając go spod poduszki — ja sama otworzę.

Nelly przyświecała stoczkiem, ręką zasłoniwszy płomień. Naprzód pochylona, stała w zaciekawieniu, wyczekując skarbów, które przed jej oczami zjawić się miały, liza zaczęła wypakowywać. Jakież wielkie rozczarowanie!... Ani śladu łakoci, których Nelly była wielką zwolenniczką.

— To ciastek nie masz? — zawołała. Wyrzuciła jakiś gałgan i wsunęła rękę aż na dno.

— Uch, uch! — zajęczała stłumionym głosem, szybko wyciągając rękę. — Co to jest? Skaleczyłam się. — W istocie, czerwona kropelka krwi zawisła u małego paluszka. liza nie umiała sobie zdać sprawy, czym zranić się mogła jej przyjaciółka, dopóki sama nie sięgnęła do kuferka i nie odkryła przyczyny. Straszne rzeczy! Szklanka z zieloną żabą stłukła się i Nelly skaleczyła się kawałkiem szkła.

— Gdzie żaba? — zastanawiała się mocno zaniepokojona liza, wyrzucając rzeczy i szkło z kuferka.

— Co? Żaba? Prawdziwa żaba? Zapakowałaś ją? Jak-żeś ty mogła biedne zwierzątko do kufra zapakować? Bez powietrza musiało się przecież udusić!

54

liza właśnie znalazła żabkę, naturalnie, martwą. Położyła ją na dłoni i chuchała; chciała ją przywołać jeszcze do życia. Nelly się śmiała.

— Zamordowałaś biedną małą żabkę! — deklamowała z patosem, biorąc zwierzątko z rąk lizy. — O, już po niej! Już pożegnała się z życiem! Nie zobaczysz jej już nigdy, nigdy! Jutro rano włożymy ją w pudełeczko i pogrzebiemy pod lipą.

liza smutnie patrzyła na żabkę. Łzy płynęły jej z oczu. Kiedyś sama złapała zwierzątko, żywiła je i wiele miała z niego uciechy, a teraz zabiła je własną ręką.

— Jak ja mogłam być taka głupia! — wyrzekła. — Na myśl mi to nawet nie przyszło, że ona może się udusić! Tak śpieszyłam się z tym pakowaniem. — Pocieszała ją cokolwiek myśl o pogrzebie pod lipą.

— Usypimy mogiłkę — mówiła Nelly — i zasadzimy na niej kwiatki. Na środku mogiły zatknijemy krzyżyk z drewna z napisem: Tu spoczywa żabka lizy. Musiała oddać swoje młode życie, gdyż zabrakło jej powietrza...

Ten zabawny pomysł osuszył łzy lizy. Zaśmiała się.

Wypchany kanarek ucierpiał także niemało. Główka była spłaszczona i jedno skrzydełko naderwane. Nelly usiłowała przywrócić mu pierwotny kształt. Wyrównała główkę i obiecała naprawić skrzydełko. Jutro je przyklei.

— Zostaw mi to — mówiła — już ja go doprowadzę do porządku. A to co? — zawołała, roztrząsając bluzę lizy. Po coś przywiozła tę szkaradną sukienkę i stare zabłocone buty! Na co to wszystko?

Na co? Nad tym sama liza dotąd nie zastanowiła się jeszcze, ale gniewało ją to, że ktoś śmiał tak lekceważyć jej ulubiony kostium.

— Alboż ty się na tym znasz! — I wyrwała bluzę z rąk Nelly. — To moje najukochańsze i najpiękniejsze ubranie! Tych wszystkich innych sukien nienawidzę! Wszystko takie ciasne, wystrojone!

55

— Pozwól mi to przymierzyć — prosiła Nelly. — Ja się w to ubiorę.

liza nie miała nic przeciwko temu, pomogła jej nawet i po paru minutach Nelly stała już w owym dziwnym odzieniu.

56

Sukienka okazała się za krótka na Nelly, wyższą nieco od lizy — wyglądała spod niej biała nocna koszula. Bluza była rozerwana w paru miejscach i Nelly zamiast w rękaw włożyć rękę, wysunęła ją przez dziurę, tak że rękaw zwieszał się na plecach. Przepasawszy swoją zgrabną figurę wytartym skórzanym pasem, była gotowa, butów bowiem włożyć nie chciała — takie brudne!

— Wygodny kostium, niezaprzeczalnie! — I zaczęła się gimnastykować, wyginać i wyprawiać skoki przeróżne. — Tak lekko, tak swobodnie!

liza wybuchnęła takim głośnym śmiechem, że Nelly aż przyskoczyła do niej i ręką zamknęła jej usta.

— Nie śmieję się tak hałaśliwie! Zdradzisz nas.

— Kiedy nie mogę się powstrzymać. Wyglądasz tak komicznie, że na śmierć zaśmiać się można. Nelly ze stoczkim przystąpiła do lusterka, żeby się przejrzeć.

— Och, jakież to szkaradne! — mówiła, zrzucając z siebie ową odzież. — Jak możesz nazywać to

ładnym!

liza zamknęła z powrotem do kufierka swoje stroje, zgasiła stoczek, a po chwili obie dziewczyny spały już spokojnym, głębokim snem.

Dwa tygodnie upłynęło od przyjazdu lizy na pensję. W tym krótkim przeciągu czasu, który jej się zdawał wiecznością, nie jedną wylała łzę gorzką, nieraz chwytła pióro i zabierała się pisać do ojca, żeby ją stąd zabrał. Powstrzymywała ją tylko myśl, że matka dowie się o wszystkim. Na częste i długie listy, które odbierała z domu, odpowiadała dopiero dwa razy, krótko, zimno, tłumacząc się brakiem czasu.

57

Nareszcie jednej niedzieli w godzinach popołudniowych, poświęconych przez pensjonarki na pisanie listów i ona zasiadła przy stoliku. Wielkiej chęci do tego nie miała. Nie wiedziała co pisać, bo nie chciała wypowiedzieć szczerze tego, co się działo w jej sercu.

Otworzyła teczkę, po długim szukaniu wybrała różowy arkusik z jaskółką, umaczała pióro w kałamarzu i — malowała rozmaite figury na kawałku papieru.

Gdy cały ów kawałek papieru był już zasmarowany, zabrała się w końcu do listu. Napisawszy kilka wierszy, przestała i arkusik odłożyła na bok. Nie podobał jej się początek. Taki sam los spotkał drugi arkusz z jaskółką i trzeci. Czwarty na koniec miał więcej szczęścia. Zapisała go od początku do końca, dobrała nawet jeszcze piąty arkusz. Rozgadała się; coraz to coś nowego przychodziło jej na pamięć, czym się z ojcem podzielić zapragnęła.

Zbliżając się już ku końcowi, przeczytała raz jeszcze swoją długą epistołę, z czego i my skorzystać możemy, i czytać z nią razem przez ramię.

Najukochańszy mój, anielski Ojcusiu! Dziś niedziela. Pogoda prześliczna, a w ogrodzie kwitną róże (przychodzi mi właśnie na myśl, czy moja żółta róża, markchal Niel, którą ogrodnik przesadził na wiosnę, ma już pączki? Proszę, nie zapomnij odpowiedzieć mi na to) — i ptaszki śpiewają tak pięknie, tak wesoło — ach, a twoja biedna Iłza siedzi w pokoju i nie może biegać po polu. Mój kochany Tatusiu, to bardzo smutno, wszak prawda? To tak jak nasz mopsik, kiedy co zjadł po kryjomu i za karę zamknęli go w komórce. Mnie także często chęć bierze drapać we drzwi, tak jak on, i wołać: „otwórzcie! Ja chcę wyjść!” To nie bardzo rozkosznie być ciągle zamkniętym. W domu mogłam robić, co chciałam, i biegać, gdzie mi się podobało, do ogrodu, na łąkę, do stajen, wszędzie wolno mi było iść, a moje zachwycające psy zawsze koło mnie, zawsze za mną biegły, gdzie tylko szłam. Ach, to niebiańsko było, cudownie! Co porabia Bob, Tatusiu, i Diana, i mopsik, i inne? O, gdybym je w tej chwili mogła mieć tutaj!

58

Na pensji wszystko tak strasznie ostro, wszystko trzeba robić podług przepisu. Wstawać, śniadać, uczyć się, jeść — zawsze w stałych godzinach. A to jest okropne! Rano taka jestem często zmęczona jeszcze, ale muszę wstawać, jak wybije szósta. Ach, jakbym nieraz chadzała po ogrodzie, a muszę siedzieć na tych obrzydłych ławkach! Straszliwa ta szkoła!

Ja się niczego nie nauczę, mój serdeczny Ojcusiu, jestem za głupia. Nelly i inne panienki umieją znacznie więcej, wszystkie też są mądrzejsze ode mnie. Nelly rysuje prześlicznie. Zrobiła teraz kredą głowę dużego psa, wygląda jak żywy. A na fortepianie gra tak, że mogłaby dawać koncerty — a ja nic nie umiem!

Gdybym była została w domu, nie wiedziałabym przynajmniej o tym, że jestem takim nieukiem. Nelly pociesza mnie często i mówi: „Nikt nie urodził się mądry, tylko zacznij, a nauczysz się wszystkiego!” Zaczęłam, a przecież niczego się jeszcze nie nauczyłam. Wiem tylko, że bardzo, bardzo jestem głupia.

Najgorszy dzień ze wszystkich to środa po południu. Od trzeciej do piątej siedzimy wszystkie w jadalnym pokoju. Okna otwarte na ogród, na który też patrzę z wielkim upragnieniem. Wyraźnie drgają mi ręce i nogi i co chwila mam chęć wyskoczyć i popędzić w głąb ogrodu — tymczasem nie mogę, muszę spokojnie siedzieć i naprawiać swoje rzeczy, cerować pończochy i reperować wszystko, cokolwiek rozdarłam. Wyobraź sobie tylko, mój malutki Ojczulku! Twoja biedna liza musi robić takie straszne rzeczy! A panna Gtissow powiada, że to potrzebne, że dziewczyna musi się uczyć wszystkiego. Zdziwiona była bardzo, że ja nie umiem robić pończochy. Przecież można

kupić pończochy, to daleko łatwiej, po cóż ja mam się męczyć na próżno? Tak mi trudno spuszczać te oczka i robię to bardzo źle.

Melania Szwarz jest bardzo ładna, ale też stroi się i stara zaimponować ubraniem, a na wszystko mówi zawsze: „Straszliwie piękne, straszliwie zachwycające albo straszliwie brzydkie”. Niedawno powiedziała: „Ależ lizo, ty robisz pończochę straszliwie brzydko!” Widzisz Ojcusiu, jak ja nic nie umiem!

Na lekcjach robótek mówimy raz po francusku, raz po angielsku. Po francusku dosyć mi idzie gładko, ale po angielsku to mówię tak źle, tak źle, że wstydzę się nawet usta otworzyć. Pocziwa

59

Nelly pomaga mi i często mówi ze mną po angielsku, kiedy jesteśmy same.

Zapytujesz mnie, Ojczulku, czy mam już przyjaciółki — tak — Nelly i jeszcze sześć innych dziewczynek są moimi przyjaciółkami, ale Nelly kocham najbardziej. W przyszłym liście doniosę ci, Ojczulku, jak się nazywają, a także jak wyglądają. Dziś zrobić tego nie mogę, bo nie skończyłabym listu. Wiedz Tatusiu, że jest tu pomiędzy nami i pisarka.

Na przechadzce, którą odbywamy co dzień od dwunastej do pierwszej i po południu od piątej do siódmej, ja idę w parze z Nelly. Musimy maszerować jak żołnierze, po dwie rzędem. Jedna nauczycielka maszeruje na przedzie, druga za nami z jakąś małą, którą prowadzi za rękę. Nie wolno nam zboczyć ani na prawo, ani na lewo, tylko ciągle w równej linii naprzód. Ach, a ja mam taką szaloną chęć popędzić w góry, wysoko — dalej a dalej! — ale wtenczas już bym chyba nie wróciła do mego więzienia.

Do kościoła chodzimy co drugą niedzielę — nie podoba mi się tam wcale. Siedzę pośród tyłu obcych ludzi, a ksiądz staruszek, mówi tak niewyraźnie, że trudno mi bardzo go rozumieć. W Moosdorfie daleko ładniej! Siedzimy sobie w naszym krześle kolatorialnym, a jak spojrzę na dół, to znam wszystkich. A kiedy nasz pan kantor zacznie grać na organach, a chłopcy wiejscy zaczną śpiewać tak głośno i mocno, a mój ukochany proboszcz wejdzie na ambonę i mówi takie piękne, za serce chwytające kazanie, to wtenczas tak mi uroczyście w duszy, tak jakoś zupełnie inaczej niż tu! A jak jeszcze promienie słoneczne przez różnobarwne szyby kościelne padną na podłogę i zabarwią ją przepyszny kolorami, to już tak wspaniale wygląda, tak wspaniale, jak nigdzie na całym świecie!

liza przerwała czytanie. Wspomnienie domu ojczystego i tęsknota za nim zmożyły ją. Płakała.

Uspokoiwszy się trochę, otarła łzy i czytała dalej:

Pozdrów ode mnie wszystkich, jedyny mój, serdeczny Oj-czusiu, i Mamę także. Z dzienniczka, który mi dała, nie mogę zrobić użytku, nie mam czasu w nim pisać. Ale dziękuję za podarek.

Żegnam cię, mój ukochany, słodki, straszliwie piękny

60

Ojcusiu. Całuję cię po sto tysięcy razy. Proszę cię, pocałuj także ode mnie Boba i pozdrów Jana od

Twojej niewymownie kochającej cię córki

lizi P.S. Mam wielką chęć brać lekcje rysunków u profesora Sznajdra — wszak mogę? Jutro zacynam.

P.S. O mało nie zapomniałam prosić cię, Ojcusiu, żebyś mi przysłał skrzynkę ciasta i kielbasy.

Nelly taka zawsze głodna wieczorem, gdy się kładziemy, i ja także.

P.S. Kochany Ojcusiu, tak mnie zawsze łają, że jem niezgrabnie i nieprzyzwoicie, powiedz sam, czy też to sprawiedliwe? Mamie nic o tym nie mów. Daj rękę, że nie powiesz! Pannę Gtissow kocham bardzo.

Rodzice lizi siedzieli właśnie z proboszczem na werandzie przy kawie, gdy nadszedł jej długi list.

Pan Macket czytał go na głos i przy niektórych ustępach był tak wzruszony, że ledwie mógł mówić.

— Biedne dziecko — rzekł, przeczytawszy do końca — chętnie zabrałbym ją do domu. Tak się czuje nieszczęśliwa, a nie rozumiem, dlaczego byśmy mieli zaprawiać goryczą życie jedyne naszego dziecięcia. Jak sądzicie, nie byłoby to lepiej?

Proboszcz sam przeczytał list raz jeszcze, złożył go spokojnie, z wyrazem uradowania.

— Nie tylko nie podzielałam pańskiego zdania — odpowiedział — ale nawet uważałbym to za

grzech. liza spostrzegając już zaczyna, że dużo jeszcze powinna się uczyć, porównuje się z towarzyszkami, zauważa swoje wady, widzi ogromne luki w nauce. Osiągnęliśmy więcej, aniżeli mogłem się spodziewać w tak krótkim przeciągu czasu.

— Tęsknota za domem jest naturalna — dodała pani Anna. — A obok tego, pomyśl tylko, jak trudno komuś, przywykłemu do zbytecznej nawet swobody, przejść nagle do regulaminu szkolnego! Dla nieokiełznanej natury lizy

61

trudność to niemała, ale wyjdzie jej to na dobre: otrząśnie się z dzikości, nauczy się stosować swoją wolę do potrzeb innych i wyrobi się na serdeczną, miłą dziewczeczkę.

Pan Macket był zagniewany, że go nie rozumieli; ani proboszcz, ani żona nie zdołali go przekonać. On sądził tylko miękkiem swoim sercem i cierpiał na myśl o cierpieniu dziecka.

Wszystkie życzenia lizy miały być spełnione z naddatkiem: natychmiast kazał upiec ciasto, wziął największą kiełbasę z wędzarni, zapakował to sam w skrzyneczkę drewnianą, dodając jeszcze rozmaitych łakoci.

— Niechaj biedy przynajmniej nie cierpi — mówił do żony, która z uśmiechem patrzyła na jego robotę. — Młodzież, która rośnie, zawsze jest głodna. Jak żołądek kruczy, trzeba mu dać, czego się dopomina. On się nie uspokoi, kiedy mu się powie: „Czekaj, aż wybije dwunasta, czekaj rana lub wieczora, to coś dostaniesz.”

Pani Anna miała chęć odpowiedzieć, że lepiej jest przyzwyczać żołądek do regularnego życia, aniżeli jeść o każdej porze dnia, ale milczała. Myślała, i słusznie, że liza kiedyś sama pozbędzie się tego nałogu.

Było to w środę po południu, w miesiącu sierpniu. Starsze panienki, zebrane w sali jadalnej, cerowały, naprawiały swoje rzeczy i inną zajęte były robotą. Powietrze rozpalone, duszne, zapowiadało burzę; z otwartych okien nie dochodził świeży powiew.

liza trzymała w rękach pończochę i z niemałą męką zbierała oczka, ciasno siedzące na drutach, mokrych od jej gorących, wilgotnych palców. Na jej twarzy wystąpiły mocne rumieńce przy tej ciężkiej robocie, a białą pończochę, która w szarą się jakąś zmieniła, co chwila

62

odkładała na bok. W dodatku spadło jeszcze kilka oczek, a panna Giissow zachęcała lizę, żeby spróbowała, czy sama zebrać ich nie potrafi.

— Nie umiem tego robić — odrzekła liza — druty przylepiają mi się do palców, nie mogę ich utrzymać.

— Umyj ręce — poradziła panna Giissow — będzie ci łatwiej.

— To nic nie pomoże — odrzekła liza nadąsana i położyła robotę.

Dziewczęta zaśmiały się, a Greta, która siedziała naprzeciwko, pochwyciła pończochę, żeby ją naprawić, liza nie chciała na to pozwolić.

— Połóż! — zawołała — to moja pończocha!

Nim panna Giissow zdążyła ją skarcić za taką nie-grzeczność, weszła panna Rajmar.

Kolejno oglądała wszystkie roboty, chwając lub ganiąc, stosownie do zasługi lub winy.

— Jakże tam z twoją robotą, lizo? Prędko skończysz pończochę? Pokaż ją.

liza udała, że nie słyszy; wstydziła się swojej brudnej roboty.

— Chcę widzieć twoją pończochę, lizo. Czy mnie nie zrozumiałaś?

Słowa te, wymówione głosem cokolwiek ostrym, obudziły przekorę lizy. Nie usłuchała.

Rozgniewana tym uporem przełożona wyrwała jej z ręki pończochę.

— Przyzwyczajona jestem do posłuszeństwa ze strony uczennic, a ty śmiesz się upierać? Patrzcie dzieci — zawołała, końcami palców unosząc pończochę w górę — cóż wy mówicie na taką robotę? Czy znać, że to robota dorosłej dziewczyny? Wstydź się! Żebym więcej nie widziała takiej brudnej pończochy.

Wszystkie oczy zwróciły się na ową niefortunną robotę, a niektóre z pensjonarek czuły się w obowiązku odpo-

63

wiedzieć na zapytanie przełożonej. Najpierw Greta oznajmiła, że jej pięcioletnia siostrzyczka robi to znacznie lepiej i porządniej, że jej pończocha w porównaniu z tą wyglądałaby biała jak śnieg, ale też nigdy nie wolno jej siadać do roboty z brudnymi rękami.

Estetka Flora zauważyła, że to chyba nie pończocha, tylko worek na kawę, co w taki śmiech wprawilo Annemię, że nie mogła się uspokoić.

Trudno opisać, co działo się w tej chwili w duszy lizy. Widziała się wyśmianą, wyszydzoną i nie mogła się bronić. Jej gorąca krew, nieposkromiona natura burzyły się z całą mocą przeciwko tej, jak sądziła, publicznie wyrządzonej zniewadze. Wpadła w taką ślełą wściekłość jak nigdy, gryzła ręce w pięść zaciśnięte, oczy jej napelniły się łzami gniewu. ^ Panna Rajmar wyszła z pokoju, zostawiwszy drzwi otwarte; zatrzymała się jeszcze na korytarzu. Nie domyślała się nawet, jaką burzę wywołała w duszy lizy, nie byłaby jej zresztą zrozumiała, przeciwnie, najmocniej była przekonana, że takim zawstydzeniem wobec wszystkich raz na zawsze złamała upór lizy, że ją wyleczyła. Nie pojmowała, co to jest umysł namiętny, gwałtowny. Właśnie wywołała skutek wprost przeciwny: dzikie zuchwalstwo lizy czerwonym wybuchnęło płomieniem.

— Nie drażnijcie jej — ostro przemówiła panna Gus-sow, która lepiej знаła lizę. — Nie godzi się wyśmiewać towarzyszki! To nie po koleżeństwu!

Nelly, jedyna która ze smutkiem patrzyła na całą tę scenę, wzięła teraz pończochę, ażeby ją przyprowadzić do porządku.

— Połóż! — krzyknęła liza i cała jej złość spadła na niewinną głowę Nelly. — Połóż! Czego się wtrącasz do moich rzeczy!

— Pozwól — prosiła Nelly łagodnie — ja ci to naprawię.

64

liza nic nie słyszała. W najwyższym gniewie wyrwała niewydarzoną pończochę z rąk Nelly i zanim ta zdołała ją powstrzymać, cisnęła nią o ścianę. Druty zabrzcęcały, a kłębek potoczył się daleko przez otwarte drzwi, aż do stóp przełożonej.

Panna Rajmar byłaby to może wzięła za prosty wypadek, gdyby jednocześnie głośne wykrzykniki „Ach! Ooo!” nie uderzyły jej ucha i nie oznajmiły, że stało się coś niesłychanego.

— Co się tu dzieje? — zapytała, wchodząc szybko. Nie było odpowiedzi; ale wzrok jej padł na pończochę, leżącą na podłodze, resztę więc łatwo było odgadnąć. — Czyś to umyślnie rzuciła? — skierowała pytanie wprost do lizy. Głos jej lekko drżał, a stalowe oczy, tak spokojne zazwyczaj, zabłyśły groźnie. — Odpowiadaj, umyślnie rzuciłaś tę pończochę?

— Umyślnie — odparła liza.

— Idź ją podnieś!

Uniesienie przełożonej spotęgowało jeszcze upór lizy. Nie ruszyła się.

— Rozumiesz, co ci powiedziałam? Czy sądzisz, że

5 — Przekora

65

będziesz mogła lekceważyć moje rozkazy? Przede wszystkim wymagam posłuszeństwa.

— A ja nikogo słuchać nie potrzebuję! — odrzekła liza zuchwale — i pończochy nie podniosę!

Przerażenie odbiło się na twarzach obecnych pensjonarek.

Smutna i wzruszona patrzyła panna Giissow na upartą dziewczynę. Nie gniew czuła w sercu, lecz litość. „Gdybym cię mogła zmienić! Gdybyż mi się udało wprowadzić cię na inną drogę, biedne, zaślepione dziecko!” — myślała — i postanowiła próbować wszystkiego, żeby Usę wyleczyć z tej wady.

Od wielu już lat prowadziła panna Rajmar swój pensjonat, ale nigdy jeszcze nie doświadczyła nic podobnego. Na chwilę utraciła zwykły spokój i pewność siebie, nie wiedziała, co zrobić z lizą.

— Pójdiesz do swego pokoju — rozkazała — i pozostaniesz tam aż do dalszego rozporządzenia.

liza wstała i poszła na górę. Teraz dopiero, gdy się znalazła sama, wybuchnęła straszną burzą, którą z trudnością dotąd powstrzymywała. Rzuciła się na krzesło i głośno płakała. Wielkim głosem przywoływała ojca, żeby ją stąd zabrał, oskarżała matkę, że ją wpakowała do tej strasznej szkoły — jednym słowem w taką popadła rozpacz, tak się czuła opuszczona, jak nigdy w życiu.

Przeróżne myśli, prawdziwie dziecinne i niemożliwe do wykonania, przebiegały przez jej rozpaloną głowę. Naprzód miała zamiar uciekać; dokąd? Wszystko jedno, byleby tylko się stąd wydobyć, byle

nie widzieć tej niegodziwej przełożonej, która miała złość jakąś do niej, tych szkaradnych dziewczyn, które ją wyśmiały, a z których żadna jej nie lubiła. Tak, byle nie widzieć ich wszystkich — nigdy! Nikt jej nie lubi, tylko jeden ojczuś! O, gdybyż była już przy nim!

66

Myśl o powrocie do Moosdorfu przeważała wszystkie inne. Zaczęła rzeczy swoje wybierać z komody i właśnie zamierzała zawołać służącą, żeby jej kufer z góry przyniosła, gdy weszła do pokoju Nelly, a niedługo za nią panna Giissow.

Panna Giissow zdziwiona patrzyła na rozrzucone rzeczy.

— lizo — zapytała — co to znaczy?

Zamiast odpowiedzieć, liza ukryła twarz w rękach i załkała boleśnie.

Panna Giissow zostawiła ją tak przez chwilę, po czym powoli odjęła jej ręce od twarzy.

— Dziecko, uspokój się — rzekła głosem pełnym współczucia — chciałabym z tobą pomówić.

— Nie mogę! Ja stąd pójdę! — wyłkała liza.

— Dziecko moje serdeczne, musisz zapanować nad sobą. Trudno ci to przyjdzie, niezawodnie, poskromić gwałtowny swój charakter, ale dążyć do tego musisz, to jest niezbędne. Czy nie widzisz tego, lizo, że to ty właśnie postąpiłaś niesprawiedliwie i niegrzecznie?

Dziewczyna wstrząsnęła głową.

— One mnie wszystkie drażniły — odrzekła pośród łkań. — Panna Rajmar tyle złego o mnie mówiła, wszystkie wyśmiewały się ze mnie!

Panna Giissow byłaby wołała, żeby przełożona słuszną swoją naganę w inny wypowiedziała była sposób — ale stało się już, zmienić nic nie było można.

— Mylisz się — odpowiedziała — tu nie ma winy panny Rajmar, tyś się sama na śmiech wystawiła. Przypomnij sobie tylko, jakie się zachowała. Zresztą, nie rób z tego takich strasznych rzeczy. Jeżeli będziesz rozsądna, jutro pójdzie wszystko w zapomnienie. Koleżanki lubią cię.

— Nie, nie! — wołała liza. — Mnie nikt nie lubi! Ja wiem o tym dobrze! Jestem głupia i niezdarna. Ja odjadę stąd, wrócę do ojca!

67

— lizo, jeżeli tak będziesz mówić, to cię opuszczę. Wiesz jak serdecznie cię kocham, ale takiej dziecinnej mowy słuchać nie chcę. Czy mam odejść? Będziesz rozsądna?

liza milczała. Młoda nauczycielka zwróciła się do drzwi, ujęła klamkę. liza poskoczyła do niej.

— Zostań pani — poprosiła i silnie pochwyciła jej rękę.

— Z całego serca, jeżeli posłuchasz mnie spokojnie. Usiadła na krześle przy oknie i wzięła lizę na kolana.

— Jaka rozpalona jesteś, ty niepocziwa przekoro — mówiła, gładząc pieszczotliwie gorącą jej twarzyczkę. — Nelly, podaj jej szklanekę wody.

Nelly przez cały ten czas stała w milczeniu, wsparta na oknie, i cichymi łzami towarzyszyła głośnemu szlochaniu przyjaciółki.

— Napij się — powiedziała serdecznie, podając jej wodę — to cię uspokoi. Żebyś mi nigdy więcej nie mówiła, że my ciebie nie kochamy, ty niedobra lizo! Zaraz przestań płakać! Chodź, ochłódź ci twarz.

Umaczała gąbkę w zimnej wodzie i chłodziła nią zaczerwienione oczy i rozpaloną twarz lizy.

— Więc, moje dziecko — spytała panna Giissow, gdy liza nieco się uspokoiła — co zamýślasz robić?

— Dziś jeszcze muszę odjechać — odrzekła. — Tu zostać nie mogę.

— A więc zawsze głową chcesz rozbijać mur. Nie przyszło ci na myśl, że w wielu razach trzeba ustąpić, że obecnie ty właśnie powinnaś prosić o przebaczenie! Pannie Rajmar wyrządziłaś wielką nieprzyjemność i nie myślisz o tym, żeby ją przeprosić?

— Nie! — odparła liza, dumnym ruchem odrzucając w tył głowę. — Panna Rajmar obraziła mnie, upokorzyła strasznie. Miałabym ją jeszcze przeproszać! Nigdy nie przeproszałam nikogo i teraz tego nie zrobię! Nie!

68

Panna Giissow nie straciła cierpliwości wobec tego nowego objawu zuchwalstwa i przekory,

pozostała spokojna i łagodna.

— Nigdy nie prosiłaś o przebaczenie, lizo? To mnie dziwi. Ale do ojca przecież przemówiłaś dobrym słowem, gdy gniewał się na ciebie o jakiś wybryk.

— Ojca mego? — powtórzyła liza i w najwyższym zdumieniu patrzyła na młodą nauczycielkę.

— Ależ mój ojczuś nigdy nie gniewał się na mnie, zawsze był dla mnie dobry, mogłam robić, co mi się podobało.

— Tak! — powiedziała panna Gussow i teraz dopiero odkryła właściwe źródło uporu i samowoli w charakterze lizy. Ojciec był zbyt pobłażliwy. — A mama, czy także zawsze była zadowolona z twego postępowania? Nigdy jej nie zmartwiłaś? Przyznaj się szczerze.

liza patrzyła przed siebie w zamyśleniu. Nie mogła zaprzeczyć, niejedną przykrość zrobiła matce swoim uporem.

— Tak, to prawda, często nawet martwiłam mamę — odrzekła z pewnym wahaniem.

— I wtenczas powiedziałaś jej przecie: przebacz mi, mamó kochana.

liza poruszyła głową.

— Nie, tego nie zrobiłam, nie zrobiłam nigdy. Mama też nie wymagała tego ode mnie, ona wie, że ja prosić nie umiem.

— Dziecko musi umieć prosić, a osobliwie dziewczyna! O, lizo, i ty musisz się tego nauczyć, jeszcze nie jest za późno — mówiła panna Gussow żywo wzruszona. — Dziecko, gdybyż moje słowa zdołały cię wyrwać z tego zaślepienia! Ucz się pobłażać, dziecko, ucz się przede wszystkim panować nad sobą! Jeżeli teraz tego nie zrobisz, to życie weźmie cię w swoje twarde ręce i zgotuje ci wiele cierpienia i smutku. Wierz mi, upór i przekora to nikczemne zielsko w sercu dziewczęcia; zagłusza ono często

69

najlepsze, najświętsze uczucia. Idź, lizo, proś pannę Raj-mar o przebaczenie. Wiele zyskasz w przyszłości, jeżeli dziś przewycięzysz swój upór!

Przemawiała gorąco, łzy zabłysły w jej ciemnych oczach. liza również bardzo się czuła wzruszona, ale prosić o przebaczenie, przepraszać, tego nie robi nigdy.

— Ja nie mogę tego zrobić — rzekła głosem cichym ale stanowczym.

— Nie chcesz, ale musisz! — odparła panna Gussow w najwyższym rozdrażnieniu. — Boże! Czyż nie znajdę sposobu uleczenia cię z uporu! Chodź, usiądź przy mnie — mówiła dalej, trochę uspokojona — opowiem ci prawdziwą historię, o przekornym, samowolnym dziewczęciu, które przez dziecinny upór utraciło szczęście całego życia, a jeżeli wówczas jeszcze powiesz mi: „Nie mogę”, zostawię cię twemu losowi i nawet próbować już nie będę zwalczać twej dumy i przekory. Dotąd nikt jeszcze nie przemawiał do lizy z takim przekonaniem. Zrobiło to na niej dziwne wrażenie. Cicha i posłuszna usiadła naprzeciwko młodej nauczycielki i wlepiła w nią wzrok pełen oczekiwania. Wstrętny wyraz przekory znikł z jej twarzy i kto by ją widział teraz, nie pomyślałby nigdy, że ta liza i tamta, która przed godziną jeszcze zachowała się tak dziko i nieobyczajnie, jedną jest i tą samą osobą. Panna Gussow, z głową wspartą o ramę okna, zadumana patrzyła przed siebie. Jej blada twarz lekkim pokryła się rumieńcem, a usta ściągnęły się boleśnie. Zdawało się, że zacięta walka toczy się w jej duszy, że ciężko jej będzie wymówić pierwsze słowo. Podniosła się raptownie.

— Jak tu duszno i gorąco — rzekła i otworzyła okno. Orzeźwiający strumień powietrza wpłynął do pokoju;

nadciągała burza. Wicher świszczał w wierzchołkach drzew, w dali huczał grom.

— Jak to błogo — mówiła dalej, oddychając głęboko — ten upał cisnął mi piersi jak ołów.

70

— Ile masz lat, lizo? — przerwała sobie nagle, jakby w roztargnieniu.

— W przyszłym miesiącu skończę szesnaście.

— Szesnaście lat — powtórzyła nauczycielka — wiek zatem i rozsądek odpowiedni, żeby zrozumieć historię mojej przyjaciółki. Słuchaj.

Była raz młoda, szesnastoletnia, wesoła dziewczyna, której zdawało się, że świat cały do niej należy. W dzieciństwie jeszcze straciła rodziców; odwieziono małą sierotkę do babki, która ją

wychowywała, czyli właściwiej mówiąc psuła z gruntu. Lucyna, tak nazywać ją będziemy, nie nauczyła się słuchać, niekiedy nakłaniać się do cudzej woli; ona знаła jedną tylko wolę, swoją własną. Było to dla niej wielkim złem, tym bardziej że obok wielu zalet Lucyna posiadała szkaradną wadę, przekorę.

Zamiast starać się przytłumić złe cechy powagą i surowością w latach dziecinnych, babcia jeszcze rozwijała je zbytnim pobłażaniem.

„Czemu nie mam spełnić woli dziecka?” pytała, gdy jej zwracano uwagę na zbyteczną jej słabość.

„Czyż ona nie dość już nieszczęśliwa, że nie ma rodziców?”

— Czy Lucyna była ładna — zapytała Nelly, która usiadła obok lizy i objęła ją ramieniem.

— Podobno — odrzekła zagadnięta i lekki rumieniec wystąpił na jej twarzy — powtarzali to przynajmniej później dorosłej dziewczynie. Ale to rzecz poboczna. Słuchajcie dalej.

Babcia była właścicielką wspaniałej wiejskiej posiadłości, której park stykał się z pochyłością góry, porosłej gęstym lasem. Małą furtką z parku wchodziło się od razu w gęstą, prześliczną puszczy, jaką sobie tylko wyobrazić możecie.

Uroczą tą miejscowość rzadko nawiedzana była przez mieszkańców sąsiedniego miasteczka, lecz Lucyna przecho-

71

dziła często furtkę, biegła w las, pnać się aż na wierzchołek góry, albo siadała w zacienionym, ukrytym jakimś zakątku. Leżeć tak w miękkim, falistym mchu, czytać dobrą książkę i zapomnieć o świecie całym, stanowiło największą jej przyjemność.

72

Dnia jednego przybiegła znów do ulubionej swej świątyni dumania u stóp rozłożystego dębu. Powietrze ciężkie było i duszne, ze zdwojoną więc przyjemnością oddychała świeżym, leśnym powiewem. Wyciągnęła znużone członki na mchu i patrzyła w górę, na zielony dach liściasty. Po chwili otworzyła przyniesioną książkę i zagłębiła się w czytaniu.

Nagle zastraszył ją jakiś głos męski. Podniosła gniewny wzrok. Przed nią stał młodzieniec z uśmiechem na ustach, z pędzlem i paletą w ręce:

„Uroczy obrazek!” zawołał. „Prawdziwie, miałbym wielką chęć malować ten widok! Raczej pani pozostać w tej pozie”, prosił, gdy Lucyna poruszyła się, żeby się podnieść. „Kilka tylko minut! Ale tak gniewnego wyrazu niech pani nie przybiera, nie, proszę, niech pani przywoła ten sam wyraz nadziei, ten sam uśmiech błędnego oczekiwania, proszę, błagam panią o to!”

„Co panu do głowy przychodzi!” zawołała Lucyna gniewnie, zrywając się szybko. W tym nagłym ruchu książka wypadła jej z ręki.

Młodzieniec pospieszył ją podnieść; nim oddał książkę, spojrzął na tytuł.

„Cierpienia młodego Wertera” przeczytał i zaśmiał się wesoło. „Domyśliłem się. Naturalnie, dziełko zakazane, które tylko w leśnej samotni pochłaniane być może! A może ojciec pani pozwolił jej czytać tę niebezpieczną historię?”

Lucyna wyrwała mu książkę. Gorący płomień twarzy jej oblewał.

„Zakazuję panu tych uwag!” zakrzyknęła oburzona. „Kto panu pozwolił brać mnie za model?”

„Ja sam byłem na tyle śmiały” odrzekł z ukłonem „i dlatego proszę o przebaczenie. Przypadek mnie tu sprowadził, miałem malować ową grupę buków, spostrzegłem panią i nie mogłem się oprzeć czarowi. Czy potępi mnie pani za to?”

73

Nie odpowiedziała, nie ukłoniła się nawet, odchodząc pospiesznie. Gniewało ją to natręctwo, a jednak — natręt-nik podobał się jej.

— A ładny był? — spytała Nelly.

— Tak, ładny był, mądry i dobry. O tej ostatniej zalecie Lucyna wkrótce mogła się przekonać, bo malarz wynalazł sobie jakiś pozór i złożył wizytę babci.

Jak w krótkim czasie został ulubieńcem babci, jak z wolna stał się codziennym gościem w ich domu, jak w końcu pozyskał serce przekornej Lucyny, tego rozwijać przed wami nie będę, powiem tylko krótko, że został jej narzeczonym. Niełatwo mu przyszło zdobyć jej słowo, bo jeżeli mu się dziś zdawało, że jest jej miłym, jutro nabierał innego przekonania. Wielekroć kiedy już chciał

zapytać: „Czy kochasz mnie?“, podrażniła go swoją przekorą i uporem i wyraz ten zamierał mu na ustach.

— W końcu zwyciężył. W osiemnastą rocznicę swoich urodzin stanęła z nim przed babcią i zawołała radośnie: „Babciuniu, jestem narzeczoną!”

— Jak sądzicie, czy Lucyna się zmieniła? Szczęście i miłość uczyniły ją łagodniejszą, pobłażliwszą, inaczej być nie może, nieprawdaż? A przecież, myśląc tak, jesteście w błędzie! Stało się przeciwnie. Jej samowola i przekora wystąpiły przeciwko człowiekowi, którego ukochała całym sercem, z większą jeszcze siłą niż przedtem.

Jak on pracował, żeby ją z tej wady wyleczyć, jak usilnie, z jaką miłością przedstawiał smutne jej wyniki. Słuchała go, obiecywała się poprawić, ale obietnicy nie dotrzymywała — niestety! Gdyby była zapanowała nad sobą, ile smutku, ile cierpienia byłaby uniknęła!

Zamilkła na chwilę. Bystry obserwator łatwo by dojrzał, jak ciężko przychodziło jej opowiadać dalej tę historię, dziewczęta tymczasem nic nie zauważyły. Sądziły, że pauzę tę spowodowała gwałtownie srożąca się burza.

74

— O, proszę, opowiadaj pani dalej — błagała Nelly, której oczy błyszczały zachwytem; nigdy dotąd panna Giissow nie opowiadała nic podobnego. — Moja pani najdroższa, dalej, dalej, ja taka ciekawa, co się dalej stało.

liza siedziała cicha, zamyślona. To, co słyszała, poruszało w niej jakąś pokrewną strunę; doznawała często uczucia, jak gdyby owej młodej dziewczynie na imię było nie Lucyna, lecz liza.

— Czas upływał szybko — zaczęła znów panna Giissow — cztery już tylko tygodnie dzieliły Lucynę od dnia jej ślubu. Rankiem, w przepyszny dzień majowy narzeczeni siedzieli przed domem na werandzie i marzyli o przyszłości. Zaplanowali podróż do Włoch i Szwajcarii, fruwać mają całe lato, a gdzie upatrzą najpiękniejsze miejsce, tam na zimę gniazdko swoje założą.

Ponad nimi niebo rozlewało się w błękit precudny, słońce wiosenne zdawało się wesoło do nich uśmiechać — a naokoło wszystko kwitło, pachniało, świegotało, żaden fałszywy ton nie zakłócił rozkosznego życia wiosny.

Lucyna rozwodziła się szeroko, jakie życie prowadzić będą, jak się urządzią. Lubiła zbytek i bujną miała wyobraźnię, przeto nic dziwnego, że jej nadzieje i życzenia sięgały aż pod niebiosa.

Słuchał tych marzeń uśmiechnięty, nie przerywając ich ciągu. Wtem nieszczęśliwy traf nasunął mu pytanie: „Jak byś to przyjęła, Lucyno, gdybyśmy się urządzić musieli jak najskromniej, gdybyśmy nie mogli podróżować, gdybyśmy małe mieli środki, jednym słowem, gdyby nas bieda nawiedziła?” „Bieda?” powtórzyła zdumiona i patrzyła na niego z przestachem prawie. „To byłoby okropne!” „Serdeczna moja, nie dajesz mi odpowiedzi na moje pytanie. Chcę wiedzieć, czy miłość twoja dla mnie jest tak silna, że bez skargi dzielilibyś ze mną nawet ubogie życie?”

75

Nie podobało się jej, że Karol, takie było imię malarza, niepotrzebnymi pytaniami rzuca cię na wesołe jej usposobienie.

„Nie mów takich niedorzeczności!” odparła. „My nigdy nie będziemy w takim położeniu. Ja jestem bogata, a twoje obrazy zawsze drogo będą płacone.”

„Nie można wiedzieć, jakie czeka nas przeznaczenie” odpowiedział serio. „Ty, na przykład, mogłabyś stracić swój majątek, a ja — no, gdybym był chory i nie mógł malować?”

„Dlaczego dręczysz mnie rozmaitymi bezsensownymi przypuszczeniami, Karolu?” odezwała się zniecierpliwiona. „Nie odpowiem ci na takie pytania!” I na pół odwróciła się od niego.

„Słowa twoje nie płyną w tej chwili z głębi serca, ty mała przekoro”, mówił pół serio, pół żartem.

„Wiem, że mi odpowiesz na moje pytanie, również wiem, że Lucynie mojej nie zabrakłoby odwagi dzielić ze mną nie tylko szczęście i dostatek, ale nawet życie pełne trosk. Wszak prawda? Zgadzasz się ze mną, że ja od przyszłej mojej małżonki mam prawo tego wymagać?”

„Wcale się na to nie zgadzam!” wykrzyknęła Lucyna podrażniona, wrywając mu rękę, którą on ujął z miłością. „Ubóstwo zrobiłoby mnie nieszczęśliwą, tak, bardzo nieszczęśliwą” powtórzyła z naciskiem, spotkawszy jego badawczy wzrok. „Wolałabym wcale nie iść za męża!”

Pobladł na te słowa, ale jeszcze nie chciał wierzyć w ich prawdę. „Kochasz mnie, Lucyno?”

zapytał.

„Kocham cię, ale w chacie o chlebie z solą mieszkać z tobą nie chcę!”

„Żadnego »ale«, Lucyno! Kochasz mnie? Powiedz »tak« i cofnij swoje poprzednie słowa.”

„Nie!” odrzekła stanowczo, zrywając się z miejsca. „Nic nie cofnę! Tak myślę, jak powiedziałam.”

76

„Lucyno!” zawołał wzruszony, „zastanów się! To nieprawda, ty nie myślisz tak, jak mówisz! Twoja przekora poddała ci te słowa! Cofnij je, najdroższa moja!” I błagalnie patrzył w jej oczy.

„Mylisz się” odrzekła z chłodem pozornym. „Nie przekora, lecz głębokie przekonanie podyktowało mi to, co rzekłam.”

„Nie, nie! Ja nie mogę, ja nie chcę temu wierzyć! Chodź do mnie! Popatrz na mnie! Oczy twoje mi odpowiedzą; ja wiem, że one nie umieją kłamać. Kochasz mnie? Tak? Prawda, kochasz mnie?” powtórzył raz jeszcze natarczywie. „I cofniesz coś wyrzekła!”

Na nieszczęście opodal nieco siedziała babcia i była niemym świadkiem tej sceny. Nieśmiało zbliżyła się do młodej pary.

„Kochany Karolu” rzekła „nie bierz dosłownie tego, co Lucyna mówi. Serce jej nie ma w tym żadnego udziału, wierz mi.”

Staruszka miała jak najlepsze chęci, a jednak otworzyła drogę nieszczęściu. Może by lepiej było, gdyby się nie wmieszała w tę sprzeczkę młodych. Jej słowa dobrotliwe dodawały jeszcze bodźca przekornemu umysłowi Lucyny.

„Właśnie, że to tylko mówię, co czuję w sercu!” zawołała wzburzona. „I powtarzam raz jeszcze: Wolę wcale nie iść za męża, niż cierpieć braki i nędzę!”

— O, jakaż twarda! — wtrąciła Nelly, gdy panna Giissow umilkła na chwilę, jakby wyczerpana.

— Ona była tylko zaślepiona — mówiła dalej. — Nie nauczyła się ulegać obcej woli, nie umiała być pobłażliwa dla innych. Teraz, kiedy po raz pierwszy w życiu spotkała się ze stanowczym żądaniem narzeczonego, upór jej stanął dęba, spotęgował się tak, że uległa jego przemocy.

„Czy to ostatnie twoje słowo, Lucyno?” Jakby przerażenie odbiło się w jego oczach, usta mu drżały. Pozostała niewzruszona, odwróciła się od niego i wybiegła z pokoju.

77

Babunia strapiona, pospieszyła za nią, na próżno jednak kołatała i prosiła, drzwi pozostały zamknięte.

Stan w jakim się znajdowała Lucyna, nie był godny zazdrości. Gotowało się w niej i burzyło, zagmatwane myśli tłoczyły się w głowie. Czy dobrze postąpiła? „Tak” odpowiedziała sobie:

„Jestem w swoim prawie. Dlaczego straszy mnie widmami troski i biedy, dlaczego dręczy mnie! Ja chcę patrzeć w szczęśliwą przyszłość, a on usiłuje zasmucić mnie dziwaczными jakimś przypuszczeniami. I mówi o tym z taką powagą, jakby to kiedykolwiek stać się mogło? Mam cofnąć to, co powiedziałam!? Co za wymaganie! Mam go przeproszać — ja przeproszać! A przecież on wywołał to, co się stało! On winien wszystkiemu!”

Cichy głos jednak odzywał się z jednego zakątka jej serca i szeptał: „Ustąp! Podaj mu rękę albo stracisz go na zawsze!” Ale głosu tego nie usłuchała, a nawet tak się utwierdziła w przekonaniu o swojej niewinności, że czekała tylko kiedy Karol przyjdzie ją przeprosić.

Przyszedł w istocie. „Otwórz mi, Lucyno” wołał gwałtownie. „Otwórz — szczęście nasze od tego zawisło! Muszę z tobą pomówić! Chcę z tobą mówić!”

Brzmiało to jak rozkaz. Ona milczała, żadnej nie dała odpowiedzi. Głos anioła odezwał się znów w jej sercu z przestroga: „Usłuchaj go, a wszystko znów będzie dobrze” — i teraz jeszcze ona pozostała głucha. Zły duch opanował chwilowo jej duszę i anioł oddalił się.

„A ja nie chcę z tobą mówić!” odkrzyknęła mu. „Nie rozumiem nawet, co możesz mieć mi do powiedzenia!”

„Więc odpędzasz mnie od siebie, Lucyno?” — zawołał głosem rozpacz. „Pomyśl, co robisz! Pójdę, ale nie wrócę, dopóki mnie sama nie przywołasz. Bądź zdrowa!”

Były to ostatnie słowa, które z ust jego słyszała.

Po nocy bezsennej zaświtał dzień. Burza, gniew, rozdrażnienie w duszy Lucyny ustąpiły miejsca niezadowoleniu-

niu. Ustąpić nie myślała i dziś jeszcze, ale chciała go wysłuchać, jak przyjdzie, a że przyjdzie, tego była pewna.

Tymczasem zawiodła się srogo.

Babunia gorzkie jej robiła wyrzuty i ze łzami domagała się, żeby ustąpiła.

„Czyż ci tak ciężko” mówiła „dobre słowo dać człowiekowi, z którym za miesiąc złączysz się na życie całe? Zapanuj nad sobą, Lucyno, nie upieraj się przy tym, coś powiedziała, inaczej sama zgotujesz sobie nieszczęście.”

„Nie mogę, babuniu. Musiałabym przecież przeproszać, on tego wymaga, a wiesz dobrze, że nie przeproszałam nigdy nikogo! On sam powróci, zobaczysz babciu.”

Ale i następny dzień przeszedł, a on nie powracał. Lucyna była w gorączce, drżała, ilekroć drzwi kto otworzył. Trzeciego dnia pod wieczór służący Karola przyniósł do niej list. Pobiegła do swego pokoju, żeby go przeczytać bez świadków — na koniec przecież odezwał się!

Drżącą ręką rozerwała kopertę i do stóp jej upadł rozłamany na pół zaręczynowy pierścionek Karolą. Parę tylko wierszy napisał. Spróbuję wam je powtórzyć. Lucyna często dawała mi je do czytania.

Nie przywołałaś mnie — a z takim utęsknieniem oczekiwałem tego! — Gdybyś mnie kochała tak, jak ja ciebie, nie byłoby ci tak trudno wyrzec słówko pojednania. Bywaj zdrowa, żegnam cię! Muszę się rozstać z tobą, Lucyno, bo nie mogę cię zapewnić, że do śmierci towarzyszyć nam będzie dobrobyt i szczęście! Jakim prawem żądać bym mógł od losu, żeby moje życie rozjaśniał zawsze złoty promień słońca? — Żegnaj mi! Kochałem cię bardzo!

Złamana padła na podłogę. Pragnęła umrzeć z żalu. Tego nie przypuszczała — tak daleko nie chciała doprowadzić! Teraz już było za późno — żadne wyrzekania i żale nie powróciły już jej ukochanego.

Babcia zastała Lucynę w stanie rozpaczliwym i potajemnie, bez jej wiedzy, posłała list do Karola. Posłaniec powrócił z doniesieniem, że pan wyjechał przed dwiema godzinami. Straciła go na wieki. — O biedna Lucyna! Szkaradny człowiek, jak on mógł ją opuścić! — wołała Nelly ze łzami w oczach. — On jej wcale nie kochał!

— Kochał ją bardzo — odrzekła nauczycielka, z oczami zwróconymi na strumienie deszczu — ale był to charakter prawdziwie męski, który przekornej samowoli Lucyny znosić nie mógł.

— A co się stało z Lucyną?

— Z Lucyną? — powtórzyła panna Gussow i zawahała się na chwilę. — Smutny los ją spotkał. W rok po tym wszystkim babunia jej straciła cały prawie majątek. Willę trzeba było sprzedać, a Lucyna, owo rozpieszczone, zepsute dziecko, własną pracą musiała na chleb zarabiać. liza z przestachem patrzyła na nauczycielkę.

— Tak, zarabiać na chleb — powtórzyła panna Gussow z naciskiem. — To przestrasza cię, nieprawdaż? Nie przyszło jej to jednak tak trudno, jak to dawniej sobie wyobrażała. Od chwili swego ciężkiego przejścia zmieniła się zupełnie. Stała się cicha i poważna, swobodny, wesoły śmiech przepadł gdzieś na zawsze. Postanowiła zostać nauczycielką i wkrótce złożyła egzamin. W tym czasie śmierć zabrała jej jedyną opiekunkę, wyjechała więc do Londynu i przyjęła tam miejsce nauczycielki w jednym z zakładów naukowych.

— A malarz? Czy biedna Lucyna nigdy już o nim nie słyszała? — dopytywała się Nelly.

— Dzieła jego podziwiała na wystawach, ale on sam był dla niej stracony.

— O, jakaż to strasznie smutna historia! — ubolewała Nelly. — Jak mnie to boli!

A liza? Siedziała z zaciśniętymi rękami, ze spuszczonego wzrokiem. Czuła się do głębi poruszona. I ona byłaby tak postąpiła jak Lucyna, i ona byłaby doprowadziła do ostatecznych granic, i ona byłaby poświęciła szczęście przekornej samowoli. Wahała się jeszcze chwilę, jeszcze ostateczną staczała walkę — nagle zerwała się i chwyciła rękę panny Gussow.

— Chcę prosić o przebaczenie — wymówiła cicho, jakby lękając się, żeby sama słów swoich nie usłyszała.

Twarz nauczycielki rozjaśniła się radością, pochwyciła ją w objęcia i ucałowała serdecznie.
— Idź, idź! — mówiła wzruszona — a jeżeliby kiedykolwiek jeszcze duch przekory chciał cię opanować, przypomnij sobie smutną historię Lucyny.

Z wolna, onieśmielona, zstępowała liza ze schodów. U drzwi pokoju przełożonej zatrzymała się. Nie mogła się odważyć ująć za klamkę. Trzy razy wyciągała rękę i trzy razy ją cofała. Miała przeproszać, przeproszać po raz pierwszy w życiu! Zrobiło jej się strasznie! Może by wrócić? Gotowa była to zrobić — już cofnęła się ku schodom, gdy postyszała kroki panny Gussow. Miałażby się okazać znów tak chwiejną, niezdecydowaną? Wstydziłyby się. Odetchnąwszy głęboko, otworzyła drzwi.

Przełożona siedziała przy biurku. Ujrawszy lizę, podniosła się.

Serce lizy biło głośno. Gdy spotkała się z surowym, gniewnym wzrokiem panny Rajmar, straciła odwagę. Chciała mówić, ale nie mogła wydobyć słowa ze ściśniętej krtani. Była na torturach i gdyby się w tej chwili ziemia pod nią otworzyła i pochłonęła ją, uważałaby to za wielką łaskę nieba. Lecz nie spełniła się dla niej ta łaska Boża i wciąż jeszcze bez słowa stała wobec przełożonej.

Już poruszać się zaczęła stara krnąbrność, już nawoływał głos złego ducha: „Nie uniażaj się!” Jednak postać

6 — Przekora

81

Lucyny stanęła przed nią smutna i zdawała się napominać: „Nie wracaj! Naprzód! Odważnie!”

— Więc, lizo? — panna Rajmar przerwała przykre milczenie. — Czego żądasz?

liza nie mogła wydobyć słowa, wybuchnęła tylko nerwowym płaczem. Przerywany łkaniem z ust jej wydobył się wyraz:

— Prze-ba-cze-nia!

Panna Rajmar była niesłychanie oburzona na lizę, miała zamiar surowo ją ukarać za tak niepraktykowane zuchwalstwo, złagodniała jednak, gdy ujrzała ją przed sobą skruszoną i żalującą.

— Tym razem przebaczam ci — rzekła. — Widzę, że sama sobie robisz wyrzuty, że sama uznajesz całą nie-

82

stosowność swego postępowania. Pewna jestem, że się poprawisz. Gdybyś jednak raz jeszcze pozwoliła sobie na coś podobnego, wówczas musiałabym się uciec do najsurowszego środka, odesłałabym cię do domu! Mam nadzieję, że więcej się już nie zapomnisz, przyrzeknij mi to!

O mało się znów nie zbuntowała. Już, już miała odpowiedzieć: „Nie pozwolę się wypędzać! Wolę sama zaraz wrócić do rodziców”, ale znów wspomnienie Lucyny związało z jej ust tę niegrzeczną odpowiedź.

Ociągając się nieco, splakana, ujęła rękę panny Rajmar.

— Nigdy, już nigdy! — wyjąkała.

Przełożona widziała, że przyrzeczenie to pochodziło z głębi duszy, zdjęła ją litość nad strapioną.

— Idź już — wyrzekła łagodnie — i uspokój się. Jeżeli się poprawisz, to dzień dzisiejszy pójdziesz w zapomnienie.

Gdy liza wracała po schodach do swego pokoju, czuła się lekka, jak nigdy w życiu. Tak jej było jakoś dobrze i wesoło w głębi duszy — nigdy jeszcze nie doznała podobnego uczucia. Była to świadomość, że zwyciężyła samą siebie.

Przeszedł lipiec i sierpień, liza pogodziła się jakoś z życiem pensjonarskim i od dawna już nie czuła się tu obca. Do wielu rzeczy, które jej się zrazu wydawały niemożliwe, przyzwyczała się — musiała się przyzwycząć. Ranne wstawanie, systematyczna praca, ład i punktualność, surowo przestrzegane — trudne było to wszystko i kto wie, co by się stało, gdyby nie Nelly, która jak dobry duch, wciąż ją miała na oku. Swoim humorem pomagała przyjaciółce przezwyciężyć niejedną trudność, a często potrafiła jednym słowem, jednym spojrzeniem powstrzymać ją, gdy dawna gwałtowność burzyć się zaczynała.

Do gorszących scen nie doszło już nigdy. Opowieść panny Gussow padła na dobry grunt i znacznie złagodziła krnąbrny charakter.

O jej postępach i zdolnościach nauczyciele i nauczycielki różne mieli opinie, jak to się okazało na ostatnim posiedzeniu. Nauczyciele arytmetyki i nauk przyrodniczych utrzymywali, że liza nie posiada ani pamięci, ani umysłu, ani chęci do nauki. Inni przeciwnego byli zdania. Panna Gussow, która wykładała literaturę i doktor Althoff, profesor niemieckiego i historii, bardzo byli zadowoleni z jej postępów i pilności. Pan Sznajder nachwalić się nie mógł jej pracy i wytrwałości i oświadczył stanowczo, że odkąd daje na pensji lekcje rysunków, nie było jeszcze uczennicy z takim talentem jak liza.

Ta gorąca pochwała wprawiła w zachwyt pana Miche-la. Z żywą radością wykrzyknął:

— Brawo, panie Sznajder! Ja mówię to samo, to wysoko uzdolniona, zachwycająca dziewczyna!

Panna Rajmar uśmiechnęła się i zażądała opinii o zachowaniu się lizy.

Niestety opinie te nie wypadły najlepiej. Nauczyciele mówili, że liza jest krnąbrna, że nawet niekiedy považała się odpowiadać zuchwale.

— Niestety, Niestety! Tak jest — potwierdziła przełożona — i nawet nie robię sobie nadziei, żebyśmy ją mogli zmienić. Obawiam się, że ta nieokiełznana natura wyprawi nam jeszcze taką scenę, jaką już raz przeżyliśmy, a wówczas co robić?

— Wówczas odesłemy ją do rodziców — żywo odezwała się miss Lead. — Ja sądzę, że do tego dojdzie. liza jest nie tylko źle wychowana, ona jest, jakby to powiedzieć, bardzo ordynarna, brutalna, nie nadaje się na naszą pensję.

Doktor Althoff spojrział na Angielkę i uśmiechnął się ironicznie, jakby chciał powiedzieć:

„Zapewne ty z twymi przesadnymi pojęciami i sztywną moralnością nie zrozumiesz nigdy istoty młodej, świeżej, naturalnej”.

— Mnie się zdaje, że się panie mylicie — odezwał się — w naszej małej lizie jest poczciwy grunt.

Zostawcie

jej panie czas, niech zrzuci twardą skorupę, a zobaczycie, w jaką miłą, naturalną, prawdziwie niewieścią postać zmieni się ta ordynarna, brutalna liza. Ma po temu wszystkie dane z natury. Nie trzeba tylko zbyt wiele wymagać po tak krótkim czasie, jaki z nami przebyła.

Miss Lead niedowierzająco wzruszyła ramionami, panna Gussow zaś rzuciła na młodego nauczyciela wzrok pełen wdzięczności.

— Podzielim pańskie zdanie, panie profesorze — potwierdziła. — Musimy uzbroić się w cierpliwość. Z wad, nabywanych w ciągu długich lat, nie można wyleczyć się od razu. Sądzę, że osiągnęliśmy już bardzo dużo: liza nie była wcale przyzwyczajona do pracy, a jednak jak sumiennie wywiązuje się teraz ze swoich zadań, a niektóre odrabia nawet bardzo dobrze.

Uwaga panny Gussow była słuszna. liza z ochotą niemal zabrała się do pracy; silnie oddziaływał na nią przykład innych dziewczynek.

Zrazu było to jej obojętne, czy ją zaliczą do pierwszej czy do drugiej klasy. Gdy jednak spostrzegła, że wszystkie jej koleżanki z drugiej klasy są młodsze od niej, obudziła się w niej ambicja, gorliwie przykładając się zaczęła do nauki, ażeby wynagrodzić czas stracony i przejść, co najprędzej, do klasy pierwszej.

Wypracowania jej były coraz lepsze, pilnowała się także bardzo, żeby nie robić błędów ortograficznych. Obawiała się osobliwie doktora Althoffa, który z lekką, pełną humoru ironią, karcił błędy tego rodzaju.

Ostatnie ćwiczenie napisała najlepiej z całej klasy. „Przechadzka po lesie” — taki był zadany temat; liza rozwiązała go w sposób ożywiony i zajmujący. Otrzymała za to pochwałę, a doktor Althoff czytał jej ćwiczenie na głos w klasie, co było oznaką najwyższego uznania. Od czasu do czasu przerywał czytanie, żeby wykazać jakiś błąd nieuwagi, przytrafiający się jeszcze dosyć często.

— Z przecinkami, kropkami i tak dalej radzę także być mniej rozrzutną. A może pani ma zamiar posługiwać się nimi tak, jak to robiła pewna młoda osoba, która zapisawszy stronę, zaopatrywała ją dowolnie, na chybił trafił, w znaki przestankowe, stawiała więc gdzie popadło, na przykład, dziesięć przecinków, siedem wykrzykników, pięć znaków zapytania, dziewięć kropek; ile jej się

podobało, niekiedy mniej, niekiedy więcej. Łatwo się domyślić, jaki się wytwarzał sens wskutek takiego podziału.

Dziewczynki śmiały się, śmiała się i liza. Od tego nauczyciela przyjmowała wszelką naganę bez obrazu, tak umiał ją wypowiedzieć — we właściwej formie i w chwili stosownej. Humor przyjazny, bez cienia złośliwości, dowcip, z jakim zwykł był wygłaszać swoje uwagi i napomnienia, daleko donośniej szy osiągał skutek aniżeli gniewne słowa i uniesienie innych.

Toteż uczennice uwielbiały go. W każdym żeńskim zakładzie naukowym jest zwykle nauczyciel wybrany za przedmiot ogólnego uwielbienia, w instytucie panny Raj-mar los ten przypadł doktorowi Althoffowi.

— On strasznie zachwycający! — utrzymywała Melania i wzrok marzący posyłała ku niebiosom.

— Ten czarujący uśmiech na ustach, to oko pełne blasku i inteligencji, wąskie, arystokratyczne oblicze, ciemne, wijące się włosy!

Ciekawa Greta zrobiła nawet odkrycie, że jej siostra Melania w medalionie, zawieszonym przy zegarku, nosiła kawałek papieru z jego nazwiskiem. Był to jego podpis własnoręczny, który wycięła z wypracowania.

Flora Hopfstange w najpodnioslejszych rymach opiewała przedmiot swego uwielbienia, a prócz tego był on bohaterem jej nowel i romansów. Przypadek zdarzał, że na lekcji historii gubiła niekiedy któryś ze swoich najbardziej entuzjastycznych poematów, ale doktor Althoff nie znalazł ani jednego z tych dowodów jej uczucia i wyobraźni.

86

Nawet Ola dzieliła tę chorobę powszechną, jakkolwiek zawsze z niej szydziła. Zdradziła się jednak, a to takim sposobem. Dnia jednego doktor Althoff wszedł na lekcję z goździkiem w ręce, położył go na katedrze i tam go zostawił. Zaledwie wyszedł, wszystkie uczennice, hurmem jak ptaki drapieżne, rzuciły się na kwiatek; każda chciała go sobie zatrzymać. Ola zdobyła go szczęśliwie. Z wzniesionym wysoko ponad głowę trofeum zwycięstwa pobiegła do swego pokoju. Następnie kupiła złoty medalion, na którym wyryć kazała polski napis. Greta w krótkim czasie zwierzyła to wszystko, ale, niestety stała przed nierozwiązaną zagadką, gdyż Ola nie zwierzyłaby się jej nigdy, że owe dwa wyrazy znaczyły: Od uwielbianego. W tę kosztowną złotą skrzynkę włożyła goździk i nosiła go przy sobie.

Najgorzej zrobiła Nelly. Jednego wieczoru, gdy same już z lizą znalazły się w swoim pokoju, wzięła ostro zakończony scyzoryk i wyryła nim na swoim ramieniu pierwszą literę jego imienia. Z odwagą prawdziwie spartańską, z uśmiechem na ustach wytrzymała ten bolesny zabieg.

— Ależ, Nelly, jaka ty jesteś niemądra! — wołała liza. — Co ty wyrabiasz! Musiałybyście się porządnie wstydzić, gdyby doktor Althoff dowiedział się o wszystkich waszych głupstwach!

— Milcz! — odrzekła Nelly z komiczną powagą. — Ty jeszcze zielono masz w dzióbku. Nie masz pojęcia, co to tajemna, milcząca miłość. Zrozumiesz ją dopiero, jak będziesz starsza. Twoje serce chodzi jeszcze w dziecięcych pantofelkach.

liza zaśmiewała się. Jej zdrowy, pełen prostoty umysł, nie pojmował podobnie chorobliwych objawów.

— Ach, Nelly, mówisz tak poważnie i mądrze, jak babcia, a przecież tylko o dwa lata jesteś starsza ode mnie.

87

Nelly wszelako wcale nie była babcią, często nawet myślała i postępowała bardzo dziecinnie, jeżeli się tylko zdarzyła po temu sposobność.

Jednej niedzieli po południu stała przy otwartym oknie w swoim pokoju i patrzyła pożądliwie na jabłoń, na gałęziach której, pośród ciemnozielonych liści, zwieszały się ponętne złoto-czerwone jabłuszka.

— Prześliczne jabłka! — zawołała. — O, gdybym choć jedno mogła mieć w tej chwili? Już są dojrzałe, znam ten gatunek. Taką mam chęć zjeść jabłko, a tu mogę tylko na nie patrzeć! Patrzeć — a nie jeść — to straszne!

liza, która podług wzoru dostarczonego przez Nelly, wyszywała arabeski na szarym płóciennym worku na brudną bieliznę, położyła robotę i zbliżyła się do okna.

— Tak, są dojrzałe — potwierdziła i przyglądała się owocom z miną znawcy. — Mamy ten sam gatunek w domu, to są jabłka sierpniowe. Gdybyśmy tak byli w Moosdorfie, zaraz bym weszła na drzewo, zerwała kilka i przyniosła, ale tu... ach!

Nelly słuchała i przyglądała się lizie, która tęsknym wzrokiem obejmowała silne konary drzewa. Nagle przyszła jej pyszna myśl do głowy.

— Wchodziłaś na drzewo? — zapytała. — O, lizo, mam prześlizyczny pomysł! Wdrapiesz się na drzewo i przyniesiesz nam jabłek!

Ostatnie wyrazy wymówiła szeptem, żeby żadne ucho ich nie pochwyciło.

Ciemne oczy lizy zabłyśły.

— Z jaką rozkoszą zrobiłabym to, ale przecież nie można! Pomysł tylko, Nelly, gdyby mnie tak zobaczyła panna Rajmar lub kto inny...

— Zostaw to mnie — powiedziała Nelly z chytrą minką. — Dziś wieczorem, kiedy panna Rajmar i cały dom spać będą jak susły, my wstaniemy i odważna liza cichutko, jak kotek, przez okno wstąpi na gałąź i wdrapie się

88

na drzewo. Ukochany księżyc zapali latarnię i poświeci jej, żeby wybrać mogła największe i najdojrzalsze jabłuszka. A ja pilnować będę, żeby nikt nie nadszedł, zręcznym będę szpiegiem. liza promieniała radością. Znadto ponętny był dla niej ten projekt, żeby się nad nim miała zastanawiać.

— To przepysznie, to niebiańsko! — wykrzyknęła tak głośno, że Nelly ręką usta jej zamknąć musiała. — Włożę moją niebieską bluzę i pofrunę w liście zielone! Niebiański pomysł, Nelly! Pochwyciła przyjaciółkę i tańczyła z nią po pokoju.

— O, ty jesteś aniołem! Ty, mądra lizo! Żeby tylko ta noc nadeszła czym prędzej!

liza stanęła znów przy oknie i przyglądała się drzewu okiem specjalistki.

— Widzisz, naprzód wejść na tę gałąź, potem na tamtą — mówiła głosem wzruszonym. — Ot, tu wiszą trzy przepyszne jabłka, zerwę je zaraz i rzucę ci, potem posunę się wyżej, aż do okna Oli i Melanii, one zostawiają je zawsze otwarte na noc, wsunę przez nie głowę i zawołam grubym głosem: „Dobranoc!”

— lizo! — wykrzyknęła Nelly przerażona. — Tego głupstwa nie zrobisz! Daj mi słowo!

— Żartowałam tylko — odrzekła liza. — Nie bój się, Nelly, zachowam się jak należy, nikt się nie dowie o naszej zachwycającej przygodzie.

Czas dla dwóch przyjaciółek włókł się jak ślimak. liza, nie umiejąca udawać, przy kolacji była niezwykle wesoła i ożywiona.

— Taka jesteś wesoła i rezolutna — zauważyła panna Gussow. — Czy masz jakieś dobre wieści z domu?

liza zaczerwieniła się. Była jakby złapana. Szczęściem dla niej, nauczycielka rzuciła tę uwagę bez żadnego podejrzenia i nie zajmowała się nią dłużej, inaczej byłby ją może zastanowił ów zdradliwy rumieniec.

89

Nareszcie uciszyło się w domu. Skończył się przegląd wszystkich sypialni i panna Gussow powróciła do swego pokoju.

Nelly siedziała na łóżku i nasłuchiwała. Słyszała zamykanie drzwi, zaczęła jeszcze chwilę, potem wstała, jak duch przesunęła się przez pokój i wychyliła się za okno.

— Co ty robisz? — zapytała liza.

— Chcę widzieć, czy jest jeszcze światło w sypialnym pokoju panny Gussow — szepnęła. — Jasno jeszcze na dole, wciąż jeszcze jasno.

— Mam już wstać? — zapytała liza.

— Nie, siedź cicho. Wciąż jeszcze widzę światło. A to nudna! I co ona robi? Czemu nie idzie do łóżka i nie zamknie oczu!

Bardziej jeszcze wychyliła się za okno i nie odwracała oczu od przeciwległych okien, ciągle jeszcze odbijających promienie światła. Szeptem udzielała lizie swoich spostrzeżeń. Nagle cofnęła się i palec położyła na ustach.

— Cicho, lizo, nie ruszaj się — szeptała, zbliżając się do niej na palcach. — Wysunęła głowę przez okno i patrzy na księżyc. O mało mnie nie spostrzegła.

Po chwili dało się słyszeć zamykanie okna; Nelly ostrożnie spojrzała na dół; było już ciemno.

— Nadeszła wielka chwila! — zwróciła się do lizy w tonie patetycznym i wyciągnęła rękę. —

Podnieś się, dziewico, i przystąp do spełnienia wielkiego czynu!

liza tak była wzruszona myślą o tej nocnej przygodzie, że nie widziała nawet, jak komicznie Nelly wyglądała w długiej nocnej koszuli, z ręką wyciągniętą przed siebie.

Zerwała się spieszenie i zaczęła się ubierać, co niewiele zabrało czasu, gdyż wszystko było już przygotowane. Kiedy wkładała buty, Nelly sprzeciwiła się:

— Takie są niezgrabne, takie ciężkie, tak głośno chodzić w nich będziesz, że pobudzisz wszystkich.

90

liza nie słuchała. Włożyła buty i na palcach zbliżyła się do okna.

— Podaj mi koszyczek.

Nelly zawiesiła go jej na szyi, ażeby ręce mogły być wolne.

— Tak, teraz już gotowa jesteś do drogi, spraw się dobrze, moje dziecko — dodała, całując ją w twarz.

liza nic nie słyszała. Lekkim skokiem stanęła na oknie, a z okna skoczyła na drzewo.

Nelly ścigała ją wzrokiem pełnym bojaźliwego niepokoju. Obawa jednak była niepotrzebna. liza pięła się coraz wyżej, lekko i zręcznie jak wiewiórka, pomimo ciężkich butów. Zerwała trzy upatrzone jabłka i rzuciła je Nelly.

— Masz na próbę — powiedziała dumnie półgłosem — żeby ci się nie nudziło, póki nie wrócę.

Jabłka potoczyły się na drugi koniec pokoju, ku wielkiemu przestraszowi Nelly.

— Co ty robisz! szepnęła i groźnie podniosła palec. — Kucharka śpi pod tym pokojem, taki rumor ją obudzi.

— Barbara śpi mocno, słyszę ją tu, jak chrapie — odparła liza. — Nie mamy się czego bać, wszyscy śpią, wszędzie cicho i ciemno. No, do widzenia, Nelly, teraz zaczynam moją podróż. Jakże tu cudownie!

Nelly nagle opanował strach.

— Ja się tak boję o ciebie — mówiła — wróc już, mogłoby ci się przytrafić nieszczęście.

liza śmiała się i pięła się coraz wyżej i wyżej. Była w swoim żywiole, wolna jak ptaszek w powietrzu.

Wkrótce dosięgła wierzchołka. Księżyc świecił pełny i jasny, widziała więc dobrze gdzie stąpać.

Stanąwszy na wysokości sypialnego pokoju Oli i dwóch sióstr, nie mogła się oprzeć pokusie, żeby nie zajrzeć do nich przez okno. Ostrożnie i zręcznie kołysała się na konarze, którego zielone gałęzie dotykały prawie jednego z okien, i zajrzała.

91

Nic nie przeczuwając, spały spokojnie, oblane światłem księżycyca.

Na chwilę opanowała ją swawola. Żeby też im figła urządzić? „Raz tylko zastukam do okna” pomyślała i wyciągnęła rękę. Ola poruszyła się we śnie. liza

92

cofnęła się machinalnie i szalona jej myśl nie została wykonana.

Mnóstwo ślicznych jabłek zwieszało się na lewo i na prawo, w parę minut mogła nappełnić cały koszyk, ale nie miała do tego chęci; wyżej a wyżej, było to jedyne jej pragnienie. Skosztowała znów wolności i swobody, nie chciała się ich pozbyć tak łatwo. Szczyt drzewa stał się jej celem — droga to była trudna, ale jej to nie odstraszało.

Jak chłopak wdrapywała się na najniebezpieczniejsze gałęzie — jeden fałszywy krok, a leżałaby na ziemi z połamanymi członkami. Ale ta myśl nie przyszła jej do głowy. Nie takie sztuki urządziła w domu.

Odważnie szła naprzód. Do ucha nasłuchującej Nelly od czasu do czasu dochodził tylko trzask gałęzi lub łoskot spadającego jabłka. Raz przelekła się bardzo; ptak jakiś przefrunął. Zapewne liza

poruszyła go z nocnego spoczynku. Strach ją brał, minuty wydawały się długie jak wieki.

— lizo! — zawołała głosem stłumionym.

Żadnej odpowiedzi. Wołanie jej nie mogło dojść do dziewczyny, stojącej na samym wierzchołku drzewa i pełną piersią wdychającej orzeźwiający nocny powietrze.

Czuła się tak szczęśliwa, tak wolna, takie błogie przejmowało ją uczucie. Na chwilę zapomniała o wszystkim — była w domu. Opadły z niej gniotące więzy: przymus szkolny, pensja, przełożona — wszystko znikło w jakiejś mglistej dali. Ogród ten to ogród ojczusia, drzewo stoi właśnie przed jego oknem, to stary orzech, wśród zielonych gałęzi którego podczas figlów ukrywała się tak często przed ojczusiem, a na wołanie jego nagle z najwyższego szczytu odpowiadała radosnym: „Hu, hu!” I „Hu, hu!” zabrzmiało nagle głośno z jej piersi, a okrzyk wśród ciszy nocnej szeroko rozległ się po całym ogrodzie.

Ocknęła się raptem z marzenia i przestraszona podniosła rękę do ust. Co ona zrobiła! Stało się!

Przed wszystkim

93

trzeba było myśleć o jak najszybszym odwróceniu, bo jak to łatwo można było przewidzieć, nierozważny jej okrzyk rozbudził cały dom.

Melania przerażona, usiadła na łóżku.

— Greto — zawołała drżącym głosem — słyszałaś?

— Słyszałam — odrzekła cicho. — Melanio, ja umrę ze strachu!

Kołdrę zarzuciła na głowę i drżąc, czekała swego przeznaczenia.

Ola obudziła się również.

— Co to było? — pytała. — Skąd ten krzyk? Zdawało mi się, że rozległ się tuż nad moim łóżkiem.

— Wielki Boże! — wołała Melania. — Czyż nic nie widzisz? Och, ja widziałam coś przerażającego! Tam właśnie! Przeleciało tuż koło okna! Widmo z rozwianymi włosami i wielkimi płonącymi oczami! A jak spojrzało na mnie tymi oczami! Jakby mnie połknąć chciało! Powiadam ci Olu, widmo — upiór!

Zęby szczękały jej ze strachu. Ola nie widziała nic, słyszała tylko szelest i trzask gałęzi, odważnie wyskoczyła z łóżka, zarzuciła kołdrę na ramiona i wyjrzała oknem.

Właśnie liza była u kresu swojej szalonej wycieczki. Zsuwała się z bezrozumnym pośpiechem z gałęzi na gałąź — strach ją pędził paniczny. Nelly stała wychylona w oknie z rozpaczliwie wyciągniętymi rękami, żeby ją ratować. Była śmiertelnie blada i prawie nieprzytomna.

Nareszcie zuchwała dziewczyna stanęła na oknie; była ocalona!

— Coś ty zrobiła? — szeptała Nelly. — Zdradziłaś nas! Słyszysz? Te nad nami obudziły się! Ola mówi... Jesteśmy zgubione!

liza drżała jak w febrze — ręce miała podrapane do krwi. Nelly prędko zdjęła z jej szyi koszyk.

Parę jabłek, które nie wypadły, wrzuciła w swoje łóżko, koszyk cisnęła za szafę i wskoczyła pod kołdrę.

94

To samo zrobiła liza. Nie rozbierając się, w ubraniu i trzewikach rzuciła się na łóżko i zakryła się kołdrą aż po brodę. Zamknęła oczy i w trwodze śmiertelnej czekała strasznego a nieuniknionego wyroku.

Przy zwodniczym świetle księżycy Ola nie mogła rozpoznać, co to właściwie było. Wprawdzie widziała jakąś postać — widziała dwie białe bajecznie długie ręce, ale było to widzenie błyskawiczne; całe zjawisko znikło cicho i rozwiało się gdzieś we mgle.

Przez chwilę patrzyła jeszcze i słuchała, zatrzymując oddech, ale szmer lekki ucichł — nic się nie poruszało. Lęk ją przejął, pomimo że znana była z odwagi. Cofnęła się od okna.

— I cóż? — pytała Melania. — Co widziałas?

— Wyraźnie widziałam jakąś postać — odrzekła Ola — i mogłabym przysiąc, że dwie długie ręce wciągnęły ją do pokoju Nelly.

— Olu kochana — żałośnie prosiła Melania, załamując ręce — zbudź ludzi! Ja umrę ze strachu, jak to widmo jeszcze raz się pokaże!

Ola pochwyciła sznur od dzwonka, zawieszony nad łóżkiem, i zadzwoniła.

Sznury takie znajdowały się we wszystkich pokojach, na wypadek gdyby która z pensjonarek zachorowała nagle w nocy. Umocowane były wszystkie przy głównym dzwonie, na dole, tuż przy sypialnym pokoju panny Rajmar.

Głośno i przeraźliwie zajęczał dzwon w ciszy nocnej. Dotąd nigdy jeszcze nie przerwał spoczynku mieszkańcom tego domu. Iza i Nelly zdrząły, jak gdyby dźwięk tego dzwonu śmierć im oznajmiał.

Dom się ożywił jak za uderzeniem laski czarnoksiężkiej. Okna, które dotąd ciemne, zamurzone patrzyły w ogród, zajaśniały. Rozległy się głosy ludzkie, dał się słyszeć skrzyp otwieranych drzwi.

95

Najpierwsza z pokoju swego wyszła przełożona, w grubym negliżu, z zapaloną świecą w ręce.

Jednocześnie prawie ukazała się panna Giissow. Gdy obie przechodziły przez korytarz, wyskoczyła ze swego pokoju miss Lead, badawczo, bojaźliwie przypatrując się obydwom kobietom.

Nie była bohaterką poczciwa miss, dźwięk dzwonu poruszył wszystkie jej nerwy. Drżąc wyskoczyła z łóżka i szukała swego ubrania. W ciemności na nic nie mogła natrafić. Chciała zapalić świecę, lecz pudełko z zapalnikami wypadło z jej trzęsących się rąk. W nerwowym pośpiechu pochwyciła szkocki pled i okryła się nim jak płaszczem. Rzadkie jej włosy, które co wieczór kwadrans czesała i szczotkowała, zwieszały się na ramiona.

Komiczne robiła wrażenie w tym osobliwym stroju; przełożona poradziła jej, żeby wróciła do siebie i położyła się, ale miss Lead ani słuchać o tym nie chciała.

— Nie, nie! — broniła się, i trzymała tak silnie ramię panny Giissow, jakby w niej tylko widziała ratunek i opiekę.

Także pensjonarki obudziły się na ten hałas niezwykły i powstawały. Przerazone wybiegały ze swych pokojów i szły, skupiając się przy nauczycielkach; Flora uczepiła się sukni przełożonej.

Ola, usłyszawszy kroki i głosy na schodach, otworzyła drzwi.

— Co się stało u was? — spytała panna Rajmar, szybko wchodząc do pokoju.

Melania odpowiedziała za Olę:

— Przeżyliśmy okropne chwile! — Widziałyśmy widmo, straszliwe widmo!

— Śniło ci się — odrzekła przełożona — widma nie istnieją.

— Widziałam tego upióra moimi własnymi oczami — odparła Melania z silnym przekonaniem.

Naprzód obu-

96

dziłyśmy się wszystkie trzy na straszliwy jakiś krzyk, nieprawdaż, Olu? A zaraz potem z szumem przemknął upiór tuż koło samego naszego okna.

— To był może złodziej, który przyszedł kraść jabłka — uspokajała przełożona. — Czyś i ty także widziała co, Olu?

— Widziałam — odrzekła. — Wyrzesałam oknem i zdawało mi się, że coś wskoczyło do pokoju Nelly.

Pensjonarki, a nawet i panna Lead, zbiły się w gęsty kłęb przy pannie Rajmar. Widma — złodzieje! Toż to straszne rzeczy! Nic podobnego nie zdarzyło się jeszcze na pensji. Flora drżała wprawdzie ze strachu i wzruszenia, ale rada była tej romantycznej przygodzie. Postanowiła sobie pomieścić ją w najświeższym swoim romansie.

7 — Przekora

97

Panna Giissow, skoro tylko usłyszała, że zjawa znikła w pokoju Nelly, zeszła cicho ze schodów i udała się do dwóch przyjaciółek. Otworzyła drzwi i oświeciła pokój. Badawczym wzrokiem rzuciła dokoła, nie znajdując nic podejrzanego. Okna były zamknięte, Iza zdawała się spać mocno.

Nelly podniosła się na łóżku i miała minę bardzo zdziwioną na widok nauczycielki.

— O, co się to dzieje? — pytała. — Kto dzwonił i dlaczego? Jakże ja się przestraszyłam!

— Ktoś tu podobno wszedł do was przez okno — odpowiedziała panna Rajmar, która z całą gromadą pospieszyła za panną Giissow.

Nelly oddech zamarł w piersi. Co tu począć? Prawdę wyznać? To niemożliwe! I ją, i Izę wydalono by natychmiast z pensji. Kłamać? Do tego nie była zdolna. Wzrokiem przerażonym patrzyła na

przełożoną i milczała.

Panna Rajmar inaczej sobie tłumaczyła nieme przerażenie Nelly, wzięła je za skutek nagłego przestrawienia.

— No, no — uspokajała ją — nie lękaj się tak bardzo. Oli i siostrą zdaje się, że słyszały głośny krzyk, i Ola utrzymuje, że widmo jakieś przesunęło się koło ich okna i znikło w waszym pokoju.

— Och, widmo! To straszne! — powtórzyła Nelly drżącymi ustami. Jej twarz pobladła i przestrawienia malujący się w oczach obudziły litość w sercu panny Rajmar.

— Uspokój się — rzekła — dziewczynom śniło się pewno. Cały dom poruszyły. Sądzę, że pójdziemy spać — mówiła dalej, zwracając się do panny Gussow — będzie to najradkalniejszy sposób uspokojenia poruszonych umysłów.

Zwróciła się już ku wyjściu. Nagle przyszła jej na myśl liza. Przystąpiła do jej łóżka i lekko pochyliła się nad nią.

— Czy lizy nie obudził ten gwar i hałas? — pytała zdziwiona.

98

Ze strachem śmiertelnym ścigała Nelly każdy ruch przełożonej. Jeżeli się odwróci cokolwiek, jeżeli wzrok jej padnie na przeciwległą stronę łóżka, to są zgubione. Spod kołdry — o losie okropny! — wyglądał koniec strasznego buta lizy.

— Ona ma zawsze taki mocny sen — wyrzekła z trudnością Nelly i nagle — w chwili największego niebezpieczeństwa, odzyskała zwykłą sobie przytomność umysłu.

— Moja droga, moja jedyna pani — mówiła podnosząc błagalnie ręce do panny Gussow — niech pani zobaczy pod moim łóżkiem, czy tam nie ma jakiego stracha!

Natychmiast uwaga wszystkich obecnych zwróciła się na nią, a panna Gussow, przyświecając sobie, naprawdę zajrzała pod łóżko. Przełożona wstrząsnęła głową niezadowolona.

— Nie bądź dziecinna, Nelly — upominała. — W twoim wieku miałabyś jeszcze wierzyć w historie o strachach!

A miss Lead, która dotąd z pensjonarkami stała w drzwiach, przystąpiła teraz do swojej współziomki i łajała ją za tchórzostwo.

Nelly, spostrzegłszy cudacki strój miss Lead, wybuchnęła głośnym śmiechem.

— O, miss Lead — zawołała — pani wygląda na przywódcę rozbójników! Niech się pani nie gniewa, ale nie mogę się powstrzymać.

Zawtórowały jej inne dziewczynki. Dotąd nie zwróciły uwagi na Angielkę.

Panna Lead zaczerwieniła się z gniewu, a przełożona powiedziała Nelly kilka ostrych słów za niewłaściwe jej zachowanie się. Tym sposobem sprawa widma poszła w zapomnienie i nikt więcej nie zważał na lizę. A może jednak?

Panna Gussow z pewnym pośpiechem odsunęła się ze świecą. Czyżby odkryła niefortunne końce butów lizy?

99

— Nie przeszkadzajmy lizie — powiedziała — po cóż mamy budzić to biedactwo.

— Ma pani słusność, nie trzeba jej budzić. Ale jakież ona dziwnie twarde ma sen! Idźcie spać, dzieci. Upiór Melanii to z pewnością kot, który polował na ptaszka. Bądźcie spokojne, nie bójcie się, już on więcej nie wróci.

Na tym skończyły się strachy tej nocy. Wkrótce wszystko znów pogrążone było w głębokim śnie. Melania zostawiła zapaloną lampę; za żadne skarby nie byłaby została po ciemku.

Gdy wszystko w domu ucichło, Nelly nie widząc grożącego już niebezpieczeństwa, wróciła do zwykłego sobie dobrego humoru. Wydobyła jabłka spod kołdry i spokojnie zaczęła zajadać, jakby nigdy nic się nie stało.

— Co ty robisz? — zapytała liza, posłyszawszy chrupanie.

Dotąd nie śmiała się poruszyć i jak w kąpielni leżała we własnym pocie.

— Spożywam jabłka — odrzekła Nelly z powagą.

— Ależ, Nelly, jak ty możesz! — zawołała liza oburzona. — Ja drzę jeszcze cała, serce wali we mnie młotem, a ty możesz jeść! Wyrzuć te jabłka, wszak to nie nasze! Ach, Nelly, jak ja się gniewam na siebie za ten niegodny postępek!

— I cóż tak wielkiego — odrzekła Nelly, zajądając spokojnie w dalszym ciągu — mamy się przecież czuć tutaj tak, jakbyśmy byli w domu. Nie trap się niepotrzebnymi skrupułami, lepiej rozbierz się i popakuj rzeczy do kufra. Kładź się i śpij spokojnie, moja ty cnoto. Żywa dusza nie dowie się o naszej zabawnej przygodzie, bo spodziewam się, że będziesz mądra, kochana Ilziuchno, i nie wygadasz się sama.

lizę drażnił dziś żartobliwy ton Nelly; myśl, że oszukała przełożoną, dręczyła ją. Milcząc, rozebrała się, zamknęła rzeczy w kuferku i się położyła.

100

Lecz sen nie przychodził. Nelly spała już od dawna, a miarowy jej oddech wskazywał, że sen miała spokojny, przyjemny, a ona leżała wciąż jeszcze z otwartymi oczami. Myśl, jak niewiele było potrzeba, żeby wszystko zostało odkryte, przejmowała ją dreszczem. Zасыiała już chwilami, to znów nagle zrywała się z przestraczem. Usnęła nareszcie, ale nawet we śnie dręczyły ją straszne obrazy. Już to była ścigana, już to spadła z drzewa, dalej zmieniła się w ptaka i o mało nie została pożarta przez sowę.

Nazajutrz rano panna Rajmar przechadzając się po ogrodzie, zatrzymała się przed jabłonią i przyglądała się jej zdziwiona. Zawołała ogrodnika.

— Musieli tu być złodzieje, Lange — rzekła — widzicie, co tu liści oberwanych, a nawet parę złamanych gałęzi. O, i jabłek jest kilka, zapewne je zgubili. Mój Lange, musicie częściej w nocy obchodzić ogród, dopóki owoce nie są zebrane.

— A to zagadka, którzy oni weszli? — zauważył ogrodnik, kiwając głową. — Furta ogrodowa była na klucz zamknięta. Musieli chyba przeleźć przez mur.

— Być może — potwierdziła panna Rajmar, a idąc dalej, myślała sobie, że jednak Melania miała słuszność. Nie ducha widziała wprawdzie, ale złodzieja.

Na górze przy otwartym oknie stały obie winowajczyni i słyszały każde słowo. lizie robiło się gorąco i zimno — widziała w sobie złapaną na haniebnym uczynku grzesznicę. Nelly wesoło śmiała się po cichu i całą rzecz uważała za wyborny żarcik.

— Ach, jakież to przepyszne! — mówiła zuchwale — a toż to na śmierć zaśmiać się można! Gdyby ona wiedziała, że ci złodzieje mieszkają z nią pod jednym dachem, dopiero by się dziwiła. liza zamknęła jej usta.

— Nie powinnaś się z tego śmiać, Nelly — mówiła z surową powagą — ja się tak okropnie wstydę! Panna

101

Rajmar nazwała nas złodziejami i naprawdę jesteście złodziejami. Mnie to wcale do głowy nie przyszło, taka głupia ta moja głowa!

— Moja ty księgo mądrości, kto by tam takie surowe sądy wydawał! — odparła Nelly. — I tak za tych parę jabłek dobrze zapłacono, bo panna Rajmar drogo za nas bierze. Chodź, pocałuj mnie i rozjaśnij pochmurne czoło, ty mała złodziejko!

Z Nelly trudna była sprzeczka. Odcinała się tak spokojnie i taką filuterną miała minkę, że liza, jakkolwiek nie czuła się przekonana, nie oskarżała się już tak ciężko. Przy jednym tylko żądaniu obstawała nieodwołalnie: Nelly musiała jej dać słowo, że nigdy już nie dopuszczą się podobnej swawoli.

Dm stawały się coraz krótsze. Wiatr październikowy ze świstem przeraźliwym wpadał pomiędzy drzewa i bawił się swawolnie suchymi i pożółkłymi liśćmi. Ogród instytutowy stał cichy i pusty — kończyły się przechadzki na świeżym powietrzu, dziewczęta najczęściej zamykać się musiały w pokojach.

Nie odczuwały tego tak bardzo w dni powszednie, ale popołudnia niedzielne, które zazwyczaj spędzały w ogrodzie, przykre dla nich były niezmiernie. W pokoju było duszno, nudno — tak przynajmniej sądziła liza. Niepodobna przecież wciąż pisać listy albo czytać. Skracać sobie czas pisaniem romansów umiała tylko Flora, toteż jej najgorętszym życzeniem było, żeby poobiedni okres niedzielny trwał wiecznie.

— Przyjdę dziś do waszego pokoju — rzekła jednego niedzielnego ranka do przyjaciółek. — Przeczytam wam moją najnowszą nowelę, naturalnie tylko początek i zakoń-

czenie; reszty jeszcze nie napisałam; ja zawsze tak robię. Powiadam wam, dzieci, będziecie zachwycone! Czuję sama, tak mi się udało to ostatnie moje dzieło! Nelly uśmiechnęła się.

— Cieszę się niezmiernie, że posłyszę to arcydzieło — odrzekła żartobliwie. — Flora zawsze robi tylko początek i koniec, nudny środek opuszcza. O, Flora jest znakomitą autorką!

Flora była dzisiaj jakoś w mniej wrażliwym usposobieniu, udała, że nie rozumie drwinek Nelly.

— A więc do dzisiejszego popołudnia — rzekła i podała rękę lizie.

Po kawie poobiedniej udała się z obydwoma dziewczynkami do ich pokoju. Wszystkie trzy zajęły miejsca przy oknie; Flora z namaszczeniem wyciągnęła kilka luźnych kartek z kieszeni.

— Zaczynaj swoją nowelę, nad czym się namyślasz? — pytała Nelly, gdy Flora przeglądała jedną kartkę po drugiej, i odkładała na bok.

— W tej chwili, wybaczenie, tak mi się to jakoś pomieszało — odrzekła Flora. — Strony piąta, dziesiąta, trzecia... Otóż jest strona pierwsza. Tak, teraz zacznę. Tylko, Nelly, zrób mi przyjemność i nie przerywaj ciągle swymi dowcipami! Doprawdy, osłabiasz przez to całe wrażenie! Słuchajcie. Noweli mojej dałam tytuł:

Ofiara boleści

Morze burzyło się, szalała burza. Białe mewy, kracząc, przelatywały ponad głębią. Księżyc od czasu do czasu wyglądał przez rozdarte chmury — smutno, melancholijnie.

Tam kołysze się łódka na wzniesionych bałwanach i zbliża się do brzegu. Młode dziewczę siedzi w niej samo jedno. Lekką stopą wychodzi z łódki i siada na skałę, tuż nad brzegiem opłukiwanej przez morskie bałwany.

Wzdycha głęboko, a wielkie jej oczy, koloru niezapominajki, napęniają się łzami.

— Co pocznę? — szepczą jej usta, a na słodkim jej liliowym obliczu maluje się ból rozstania. — On kocha mnie, a ja jego! Lecz Aurora kocha go również, a ona jest moją ukochaną siostrą! Czyż będę mogła patrzeć na jej cierpienie? Nie! Przenigdy! Choćby serce moje miało pęknąć!

Westchnęła głęboko.

— O, umrzeć! Ale ja czuję, że nie umrę, serce moje nie pęknie, będzie biło dalej... chociażby lepiej było, żeby wzięło to serce zamilkło już na wieki!

Flora zatrzymała się, a Nelly wykrzyknęła nagle:

— O jakież to strasznie smutne! Biedna liliowa twarzyczka z oczami niezapominajki i z wątlym serduszkim! Skądże ona przybyła tu na małej łódeczce i taka sama wśród huczącego morza!

I śmiała się tak serdecznie z lichego pomysłu Flory, że aż jej oczy łzami zaszyły.

— Nelly, to szkaradnie z twojej strony — wybuchnęła Flora bardzo rozgniewana — przerywać mi czytanie! Rozumiałabyś moje utwory, gdyby choć iskierka poezji drzemała w twojej duszy, ale ty jesteś uosobioną prozą!

— Cha, cha, cha! — śmiała się Nelly. — O, Floro, jaka jesteś komiczna! No, no, czytaj dalej twoją „Ofiarę boleści”, już ja słuchać będę grzecznie, ani razu się nie roześmię.

Ale Flora obrażona składała kartki. Szło jej to jakoś powoli, a gdy liza także zaczęła prosić, żeby przeczytała koniec swej noweli, dała się zmiękczyć. Już otwierała usta do dalszej deklamacji, gdy nagle wpadła do pokoju Melania.

— Dzieci! — zawołała wzruszona i zadyszana — mam straszliwie interesującą nowinę!

Wyobraźcie sobie, przed chwilą zajechała jakaś bardzo elegancka dama z prześliczną małą dziewczynką. Panna Rajmar wyszła do niej aż na korytarz i Ola słyszała wyraźnie, jak mówiła:

„Pani sama odwozi dziecko!” A więc dziewczynka zostanie tu na

pensji, a myśmy nic o tym nie wiedziały! Dlaczego cała ta historia nastąpiła tak tajemniczo?

Przecież zawsze byliśmy zawiadamiane, jak nowa pensjonarka miała przybyć. Doprawdy, to niesłychane!

Dziewczęta słuchały zdumione, Flora zapomniała nawet o czytaniu. To przecież nie mogło się równać z nagłym przybyciem dziewczynki.

— A to historia! — zawołała Nelly. — Chodźcie, musimy przecież zobaczyć tę panią i jej dziecko! I popędziły po schodach z wielkim pośpiechem i ciekawością, z Nelly na czele — ona pierwsza musiała zobaczyć, co się stało.

Tymczasem goście wciąż jeszcze znajdowali się w pokoju panny Rajmar. Powóz jednak stał przed bramą, z czego Nelly wyciągnęła wniosek, że dama owa niedługo zabawi.

— Musimy ją zobaczyć — zdecydowała Nelly. — Chodźcie, staniemy za szklanymi drzwiami jadalni i czekać będziemy, póki nie nadejdzie.

Gdy przybyły na miejsce, zastały już drzwi obłożone. Znalazło się więcej takich ciekawych jak one.

— Za późno przychodzicie — zawołała Greta, która zajęła najlepsze stanowisko. — Z tyłu nic nie zobaczycie!

Nelly jednak umiała sobie poradzić, przyniosła krzesło i stanęła na nim. liza również wskoczyła za nią.

Cierpliwość dziewcząt wystawiona była na ciężką próbę, musiały czekać dobre pół godziny, nim się ukazała nieznajoma. Rozmawiając z przełożoną, wolnym krokiem przechodziła koło zaczajonych.

Na szczęście już się ściemniało i panie, zajęte rozmową, nie spostrzegły mnóstwa główek dziewczęcych za szklanymi drzwiami, inaczej panna Rajmar byłaby surowo skarciła dzieciinną ciekawość.

— Jakaż ona śliczna! — zauważyła Nelly półgłosem.

— Bądź cicho, Nelly — rozkazała Ola, która przyłożyła ucho do drzwi, ażeby pochwycić kilka choćby wyrazów.

105

— Co ona mówi? — pytała Flora. — Zdaje mi się, że rozmawiają po francusku.

— Nie, po włosku — utrzymywała Melania, która właśnie od paru dni zaczęła się uczyć tego języka.

— Ona mówi po niemiecku — objaśniła Greta. — W tej chwili właśnie powiedziała: — „Moja mała Lili”.

— Ależ broń Boże! Przesłyszałaś się! — zaprzeczyła Ola — ona mówi po angielsku.

— Moja współziomka — szepnęła Nelly uradowana. Uwaga ta pobudziła Annemię do śmiechu. Ola rozgniewała się i zamknęła jej usta dłonią.

— Panna Rajmar jest jeszcze w korytarzu z tą panią, jak się obejrzy, dostaniemy burę!

W tej chwili z drugiego końca korytarza nadeszła Rózia Muller. Zdziwiona patrzyła na to obłożenie szklanych drzwi. Dziewczęta musiały się cofnąć, żeby ją przepuścić.

— Zachowujecie się zupełnie jak dzieci — mówiła z łagodnym wyrzutem. — Nie pojmuję waszej ciekawości.

— Bo też ty jesteś nasza „grzeczna” — odparła Greta. Rózia udała, że nie słyszy tej przygany.

— Chodźcie — powiedziała, zobaczywszy, że gaz już zapalono — usiądziemy przy stole z robotami. Jeszcze nie skończyliśmy zaczętej powieści. Olu, będziesz nam dzisiaj czytała?

Ale nie przyszło do tego. Gdy Ola właśnie miała zacząć, weszła panna Gussow, prowadząc za rękę małą Lili.

— Patrz, Lili — powiedziała nauczycielka — zapoznasz się zaraz z twoimi przyszłymi przyjaciółkami.

Mała potrząsnęła głową.

— To takie duże dziewczyny — odpowiedziała swobodnie w swoim południowo-niemieckim narzeczu — one nie mogą być moimi przyjaciółkami.

Nelly znalazła zaraz na to sposób: uklękła przy dziecku i powiedziała:

106

— Widzisz, taka jestem mała jak ty, możesz się więc ze mną bawić.

Lili śmiała się.

— Nie — mówiła — ty jesteś duża, ale podobasz mi się. I ty także — dodała, zwracając się do lizy, która stała

107

przy Nelly. — Ty masz takie ładne loki jak ja. Wiesz co, ty będziesz moją przyjaciółką, z tobą będę się bawiła.

Uchwyciła rękę lizy i patrzyła na nią serdecznie swymi wielkimi, czarnymi oczami. liza czuła się do głębi poruszona tą sympatią malutkiej — pieściła ją i całowała.

Wszystkie pensjonarki zachwyciły się dzieckiem, które jak aniołek stało pośród nich. Długie, jasne włosy w lokach spadały na ramiona, a czarne oczy w ramach ciemnych, wąskich brwi i długich rzęs dziwny stanowiły kontrast. Biała, haftowana, krótka sukienka zostawiała odkrytą szyjkę i ramiona.

Ciemnopąsowa jedwabna szarfa uzupełniała ten elegancki strój.

— Och, ty miluchne, zachwycające stworzonko! Ty, obrazie anioła! Uroczę bóstwo!

Takie i tym podobne wykrzykniki słyhać było dokoła.

Panna Rajmar weszła niepostrzeżenie i kręciła głową, słuchając tego przesadnego uwielbienia. Po chwili wzięła Lilię za rączkę.

— Chodź — powiedziała — trzeba się przebrać. Zaziębiłabyś się w tym lekkim stroju.

— Niech mnie pani tu zostawi — prosiło dziecko — mnie wcale nie jest zimno, ja zawsze tak chodzę. Panienki są takie dobre, tak mi się tu podoba!

Panna Rajmar nie dała się uprosić.

— Chodź, chodź, dziecko — mówiła z dobrocią. — Zobaczysz znów panienki przy kolacji.

Odmowa nie onieśmieliła Lilię.

— Niech pani pozwoli lizie pójść ze mną — prosiła jeszcze.

Życzenie to zostało uwzględnione. Gdy liza z dzieckiem wyszła z pokoju, przełożona zwróciła się do uczennic:

— Proszę was, nie psujcie Lilię, nie wychwalajcie jej tak w oczy. Chcecie żeby wyrosła na kobietę próżną i zarozumiałą? Dziecko jest piękne i nieraz już pewnie to słyszało, bo nie brak na świecie ludzi nierozsądnych. My będziemy

108

się starać, żeby nie popaść w ten błąd, i sędzę, że wszystkie nam w tym pomożecie! Lilię zostaje u nas. Nie mówiłam wam o tym, bo sama nie byłam jeszcze zupełnie pewna, czy będzie oddana.

— Gdzie mieszkają rodzice Lilię? — spytała Flora.

— We Wiedniu. Ojciec już nie żyje, a matka jest sławną artystką dramatyczną. Ponieważ powołanie jej nie pozwala zająć się wychowaniem dziecka, oddała ją na pensję.

— Matka Lilię jest piękną kobietą — zauważyła Nelly.

— Gdzie ją widziałas? — zapytała panna Rajmar zdziwiona nieco.

— Widziałam ją przechodzącą — odrzekła Nelly lekko zarumieniona.

— Nie mogła dłużej zabawić — zwróciła się przełożona do panny Gussow — musi wracać dziś wieczorem pospiesznym pociągiem.

Dziewczynki otoczyły obie panie i pilnie słuchały każdego wyrazu. One by tak „strasznie” chętnie czegoś bliższego chciały się dowiedzieć o matce Lilię, bo „znakomita artystka” niezmiernie je zainteresowała. Lecz niczego się nie dowiedziały. Rozmowa urwała się, a panna Rajmar sprowadziła do rzeczywistości rozmarzone umysły.

— Kto zajmuje się dziś kolacją? — zapytała. — Czas już, żebyśmy dostały herbatę.

Obowiązek ten należał tego wieczoru do lizy i Flory. Flora wyszła zaraz z pokoju i wróciła wkrótce z lizą. Każda niosła stos talerzy, które ustawiły na bocznym stole. Wydobyły obrusy i zaczęły nakrywać do stołu.

Przed paroma miesiącami liza uważała podobne zajęcie za całkiem dla siebie niemożliwe — dziś stała w swoim różowym fartuszk i robiła wszystko z takim wdziękiem, tak zręcznie, jak każda inna pensjonarka.

Nie zawsze była jednak tak zręczna i wdzięczna, niemało kosztowało ją trudu, nim doszła do tego, a szczególnie nim się przemogła, żeby przyjąć na siebie to „zajęcie

109

służących”. Poczciwa gospodyni niejedno miała z nią przejście, niejedną niegrzeczną odpowiedź miała jej do przebaczenia.

Raz, gdy upuściła talerz z kromkami chleba i do tego przewróciła garnek z mlekiem, upomniała ją,

że mogłaby być ostrożniejsza.

— Nie — odrzekła liza zuchwale — nie myślę być ostrożniejsza, nie potrzebuję, żeby mi narzucano takie zajęcia!

Za drugim jednak razem pilnowała się już lepiej; nie bardzo to przyjemnie być wyśmianą przez wszystkich. Zresztą nie mogło ujść jej oka, że żadna z pensjonarek, nawet niezgrabna Greta, nie robi tego tak niezręcznie jak ona, a wiele gospodarowało z wdziękiem i miłym uśmiechem na ustach — miałażby więc ona jedna wyglądać tak niezdarnie i niemądrze?

Lilii zajęła miejsce pomiędzy przełożoną a lizą. Podczas kolacji rozweselała całe towarzystwo. Ani cienia nie było w niej nieśmiałości, gawędziła swobodnie, jakby od dawna już była w tym domu.

— Dlatego jest taka śmiała — zrobiła uwagę Flora — że wyrosła wśród artystów.

— Ty panno, proszę cię, daj mi jeszcze kawałek — mówiła. — Tak mi się dzisiaj chce jeść!

Panna Gussow zapytała ją, jakie potrawy lubi najbardziej.

— Wiedeńską kiełbasę i kapustę — odrzekła prędko, bez namysłu.

— Ale wołałabyś leguminę — dorzuciła panna Rajmar.

— O nie, ja nie lubię żadnych legumin, tylko taki duży kawał pieczeni z kartoflami, to bardzo lubię.

Śmieli się wszyscy, nawet przełożona. Nowe życie weszło na pensję z osobką Lilii. Wszyscy się koło niej kręcili, każdy chciał jej zrobić przyjemność.

110

Jakkolwiek dziewczynki wystrzegały się mówienia pochlebstw w oczy, to jednak każda starała się o jej względy. Najszczęśliwsze były, kiedy Lilii śpiewała im piosenki ludowe. Ale nie zawsze dostępowały tej łaski; jak nie czuła się usposobiona do śpiewu, nie pomagały żadne prośby. Flora za każdym razem wpadała w zachwyt, przepowiadała Lilii wielką przyszłość, przysięgała, że ze swoim pełnym, miękkim głosem jaśnieć kiedyś będzie jak gwiazda pierwszej wielkości na teatralnym niebie.

Głos nie był ani pełny, ani miękki, Flora patrzyła na to, jak zwykle, przez swoje romantyczne okulary, ale jakieś rzewne i smutne robiło wrażenie to dziecko, z poważną miną śpiewające tęskną piosenkę ludową.

— Strasznie jest milutka — szeptała Melania, gdy Lilii pierwszy raz zaśpiewała piosenkę: „Przyleciała ptaszyna.” — Patrz, Floro, jak spogląda gdzieś w dal niezmierną tymi oczami pełnymi melancholii.

— Tak, pełnymi melancholii — powtórzyła Flora — masz słusność. Te jej aksamitne oczy mają w sobie jakąś głębię tajemniczą, jakieś marzenie pozagrobowe, coś takiego, co zdaje się mówić: Ty nudny świecie, ja nie dla ciebie stworzona.

— Bo nikt się nie troszczy o mnie, ani kotek, ani piesek — kończyła Lilii swoją piosenkę.

— O, jakaż zachwycająca! — wołała Nelly, klaszcząc w ręce.

— Jak można o tej piosence mówić, że jest zachwycająca! — wykrzyknęła Flora oburzona. — Smutna, złowroga — to właściwe dla niej określenie. Stworzyło ją i odczuło jakieś samotne, opuszczone serce, a jakie męki, jakie tortury musiało ono znosić.

— O, serce to rzecz taka wątła, a jednak byłoby lepiej niekiedy... — deklamowała Nelly z komicznym patosem, ale musiała zamilknąć, bowiem Flora położyła jej rękę na ustach.

111

ш3в

— Bezwstydna jesteś, szkaradna! — zawołała. — Nigdy, już nigdy nie wtajemniczę cię w moje najgłębsze myśli! Jak możesz tak nadużywać mego zaufania?

ubliżało się Boże Narodzenie, wszystkie ręce były w ruchu. Na porządku dziennym było szycie, haftowanie, rysunek, gra na fortepianie; ażeby zrobić niespodziankę rodzicom lub najbliższym.

liza nigdy jeszcze żadną robótką nie ucieszyła ojca ani matki. Niekiedy zaczynała jakąś robotę pod wpływem natarczywej namowy nauczycielki, ale niedługo się nią bawiła. Utrzymywała, że nie ma do tego żadnych zdolności, a nie chciała przypuścić myśli, że nie dość jest cierpliwa i wytrwała.

— Co dasz swoim rodzicom? — pytała Nelly, gorliwie pracująca nad wykończeniem kredką konającego jelenia. Posłać go miała do Londynu wujowi, który ją oddał na pensję.

— O tym jeszcze nie pomyślałam — odrzekła liza. — Wiesz, Nelly — dodała po krótkim namyśle — zdaje mi się, że róza, którą teraz rysuję, zrobiłaby ojcu przyjemność.
— O, z pewnością! Ale musisz pilnie pracować, moja mała Ilzeczko, bo święta nadchodzą, a twoja robota jeszcze w polu. A co dasz matce?
— Mojej mamie? — powtórzyła przeciągle. — Kupię jej co — rzekła z pewnym lekceważeniem. Nelly nie była z tego zadowolona.
— Kupić to żadna przyjemność! Dlaczego palce twoje chcą próżnować?
— Nelly ma słuszość — wmieszała się do rozmowy Rózia, siedząca koło lizy z robótką w rękach.
— Nie uradujesz wcale swojej mamy jakimś kupionym podarunkiem.

112

— Ja taka niezręczna — przyznała się liza.
— My ci pomożemy i chętnie nauczymy, jak robić — przyrzekła Rózia.
Panna Giissow, która właśnie nadeszła, dodała jeszcze lizie odwagi.
— Możesz zrobić taki koszyk do szycia, jak robi Annemia; jestem pewna, że dobrze się z tego wywiążesz.
Koszyk udał się w samej rzeczy, wyszedł daleko lepiej, niż się liza spodziewała.
— Dwa tygodnie jeszcze do Bożego Narodzenia — mówiła do Rózi — chciałabym coś zrobić dla panny Gussow i dla przełożonej.
— I dla mojej Lory zrób co, moja droga lizo! — prosiła Lili, która w każdą środę po południu przybiegała na lekcję robót i sadowiła się tuż przy lizie, bo jak mówiła, kocha ją tak bardzo, że chciałaby ją zjeść. — Moja Lora musi koniecznie mieć nową sukienkę — mówiła dalej, podnosząc w górę swoją lalkę. — Zrób jej na wilię ten podarunek. O, widzisz, ta stara już taka nieładna! Naturalnie, liza przyrzekła zadośćuczynić temu życzeniu jej macierzyńskiego serca, a dla przypięczętowania obietnicy pocałowała dziewczynkę.
— Sławna myśl przyszła mi do głowy! („sławna" to od niedawna modny wyraz na pensji) — wykrzyknęła liza wieczorem tego samego dnia, gdy z Nelly same znalazły się w pokoju. — Kupię Lili nową lalkę i sama ją ubiorę. Co sądzisz o tym?
— To prawdziwie sławny pomysł — odrzekła Nelly — ale, dziecko najdroższe, czy pomyślałaś, że taka lalka z wyprawą dużo kosztować będzie? W jakim stanie jest twoja kasa?
— O to nie ma kłopotu, nie zabraknie mi pieniędzy! — odrzekła liza z zupełną pewnością. Wyjęła portmonetkę z komody i przeliczyła swój majątek. — Dwanaście marek — powiedziała — to więcej, niż potrzeba, nieprawdaż?

8 —Przekora

113

— Złym rachmistrzem jesteś, moja panno! — Nelly bezlitośnie zdmuchiwała jej złudzenia. — Ja sędzę, że to wcale nie wystarczy.
liza z wyrazem powątpiewania spojrzała na przyjaciółkę.
— Żartujesz — powiedziała. — Dwanaście marek to strasznie dużo pieniędzy!
— Nie wystarczy — powtórzyła nieubłagana Nelly. — Słuchaj, zaraz ci wszystko wyliczę: serwetka dla panny Rajmar kosztować będzie cztery marki. Woreczek do robót dla panny Gussow — trzy marki. Ładny podarunek dla ukochanej Nelly i innych koleżanek wyniesie bardzo dużo marek. Skąd weźmiesz pieniądze na lalkę?
— Ach — przerwała liza — a nasz stangret w domu, a jego troje dzieci? — O tym jeszcze nie pomyślałam!
Zasmuciła się. Tak ponętna była dla niej myśl, że zrobi niespodziankę Lili. Tymczasem nic z tego. Chwilę siedziała zamyślona, wtem nagle oczy jej zabłyśły radością.
— Czeka! — wykrzyknęła. — Już wiem, co zrobić! Dziś wieczorem napiszę do ojca prośbę o przysłanie mi pieniędzy. Przyśle mi, wiem to na pewno, bo mój ojciec jest zachwycającym ojczusiem!
— A twoja matka? — pytała Nelly. — Musi to być także bardzo dobra osoba. Jak ona stara się zrobić ci zawsze przyjemność rozmaitymi ładnymi rzeczami, które ci przysyła. Cieszysz się bardzo na święta? Wszak prawda? Jak to rozkosznie zobaczyć po dłuższej rozłące ukochanych rodziców! liza ociągała się z odpowiedzią. Przyszło jej na myśl to, co stanowczo powiedziała ojcu, gdy ją tu

odwoził, że na święta nie chce jechać do domu. Nie przewyciężyła jeszcze w duszy niechęci do matki. Pomimo, że kierując się rozumem, musiała przyznać i przyznawała po cichu, że pobyt na dobrej pensji był koniecznie potrzebny do jej

114

nauki i wykształcenia, to jednak z uporem powracało poczucie krzywdy: „Wypędziła mnie!”

— Zostanę tutaj — rzekła po chwili — spędzę z wami święta Bożego Narodzenia.

— To znakomicie! — wykrzyknęła Nelly zachwycona. — Strasznie się cieszę, że nie pojedziesz!

Wszystkie nasze przyjaciółki zostają także. Tu tak wesoło w wilię. Dla każdej przychodzi z domu duża skrzynia z podarunkami, czekoladą, marcepanami! W wieczór wigilijny wszystkie te skrzynki są otwierane. Ja pomagam wypakowywać to jedną, to drugą.

— A ty nie otrzymujesz skrzynki? — pytała liza.

— Wiesz przecie, że nie mam rodziców, któż by o mnie pomyślał.

— Nic a nic nie dostajesz? liza nie mogła tego pojąć.

— Na Nowy Rok wuj przysłał mi pewną sumkę pieniędzy, kupuję więc sobie co mi potrzeba.

liza w milczeniu popatrzyła na przyjaciółkę. Wieczorem napisała długi list do domu. Przede wszystkim donosiła o swoim postanowieniu spędzenia uroczystości Bożego Narodzenia z przyjaciółkami. Następnie przeszła do interesów pieniężnych, przedstawiła zachwycającemu ojczusiowi swoją biedę, w końcu w serdecznych słowach mówiła o Nelly.

Jeszcze jedną wielką prośbę mam „do ciebie, Mamo” chciała napisać, rozmyśliła się jednak i napisała: do was, kochani Rodzice. Na całej pensji jedna, jedyna jest tylko, która nie otrzymuje skrzynki wigilijnej, a jest nią właśnie przyjaciółka moja Nelly, sierota, sama na świecie. Jej wuj z Londynu każe ją kształcić na nauczycielkę. Czyż to nie smutne? A biedna Nelly jeszcze taka młoda i zawsze wesoła, nie mogę sobie wyobrazić, że ona będzie guwernantką! Nie mieć domu rodzicielskiego, jakże to strasznie! Otóż zasylam do was prośbę z głębi serca, żebyście, drodzy Rodzice, podarki, któreście byli łaskawi przeznaczyć dla mnie, rozdzielili na dwie części i przy-

115

słali je w dwóch skrzynkach. Proszę, błagam was o to! Tak mnie zawsze hojnie obdarzacie, że połowa tego wszystkiego będzie aż nadto. Wilia byłaby dla mnie bardzo smutna, gdyby Nelly nie miała co rozpakowywać.

Pozwoliliście mi, kochani Rodzice, brać lekcje tańca po Bożym Narodzeniu, a Mama obiecała mi przysłać nową sukienkę. Nie kupuj mi Mamo, nic, moja niebieska jeszcze zupełnie dobra, a pieniądze te posłużyć mogą na gwiazdkę dla Nelly.

Z tą gorącą prośbą całuje Was,

Wasza wdzięczna Hża

P.S. Pieniądze przyślij jak najprędzej, jedyny mój Ojczusiu, bo mi strasznie potrzebne.

Odwrotną pocztą liza otrzymała upragnioną przesyłkę. Pocciwy ojciec, uradowany dobrocią serca swego dziecięcia, chciał jej posłać dużą sumę, ale powstrzymała go od tego pani Anna.

Przedstawiła mu, że dla lizy daleko lepiej będzie, jeżeli nauczy się radzić sobie małymi środkami i nie przywyknie do wielkich wymagań.

Jej życzenie pozostania na święta na pensji chętnie zostało przyjęte, ojciec nawet napisał, że pochwała to rozsądne postanowienie. Droga za daleka była na porę zimową. Prawda, że smutno mu będzie bez ukochanej jego dzikuski i on, i mama będą się czuli osamotnieni, ale pociesza się myślą, że tym weselsze będzie za to przyszłe Boże Narodzenie.

Czuła się trochę urażona tym chętnym zezwoleniem, pocieszyła się jednak niebawem, gdyż zjawił się listonosz i przyniósł jej trzydzieści marek.

— Trzydzieści marek! — radowała się liza. — Nelly, jakie my bogate! Chodź, idźmy zaraz porobić zakupy, nie mogę się doczekać tej chwili!

— O nie, dziecko — odrzekła Nelly z powagą — naprzód musimy spisać wszystko, co mamy kupić, i zliczyć, ile to może kosztować.

116

Nie pomyślała o tym roztargniona liza. Byłaby kupowała bez zastanowienia, aż w końcu znów by zabrakło jej pieniędzy.

Dziewczęta zabrały się do spisania sprawunków. Praktyczna Nelly oznaczyła zaraz przypuszczalną ich cenę. liza podyktowała podarki dla dzieci stangreta Jana, ale Nelly sprzeciwiła się.

— Dziewczynkom stangreta możesz dać coś ze swoich starych rzeczy — mówiła — a tym sposobem zaoszczędzimy pieniędzy.

— Ja nic nie mam — odparła liza. — Kupić to najłatwiejsza sprawa.

Nelly zaczęła przeglądać rzeczy lizy w komodzie i w szafie, ażeby się przekonać, czy nie znajdzie się coś takiego.

— Trzeba oszczędzać — moralizowała — i nie wyrzucać pieniędzy za okno.

I znalazły się rozmaite rzeczy w garderobie lizy. Fartuszki, które już nie nosiła, sukienka za wąska na nią i za krótka, nadto zeszlóroczne futerko, które rodzice zastąpili już nowym i kosztowniejszym.

— Widzisz, rozrzutnico! — tryumfowała Nelly. — Sama nie wiesz o swoich skarbach. Teraz dla stangreta kupimy parę ciepłych rękawiczek i skończona będzie historia z rodem stangretów.

Te parę tygodni do wigilii przemknęły z szaloną szybkością. liza i Nelly, obok wielu innych robót, miały jeszcze do ubrania lalkę. Dla lizy było to ciężkie zadanie i bez pomocy swojej zręcznej przyjaciółki rady by sobie nie dała.

— Jakaś ty zręczna, Nelly — podziwiała, gdy ta przymierzała lalce szkocką suknię — to klasyczny strój. Ja bym tego zrobić nie umiała.

— Toś ty nigdy nie szyła sukni dla lalki, ani kapelusza, ani płaszcza?

117

— Nigdy — odrzekła liza otwarcie. — Wcale nie miałam upodobania w tych martwych przedmiotach. Wołałam bawić się z psami.

— Nic dziwnego w takim razie, że dotąd byłaś głuptaskiem. Psy twoje nie potrzebowały ubrania — zaśmiała się Nelly. — Toteż na stare lata musisz się uczyć szyc.

liza razem z nią śmiała się wesoło, obszywając koro-neczką biały batystowy fartuszek dla lalki; usiłowała wykończyć go starannie i czysto.

W wieczór poprzedzający Wilię starsze dziewczynki miały stroić piękną, dużą choinkę. Była to prawdziwa uroczystość, a dla lizy coś zupełnie nowego. Dotąd nigdy sama się tym nie zajmowała i choinki nie widziała inaczej, tylko obwieszoną kosztownymi cukierkami. Tu przekonała się, że i bez cukierków przepysznie ubrać można drzewko.

Po kolacji, gdy młodsze uczennice, a i wiele starszych, nie zdradzających upodobania do tego zajęcia, poszły spać, przystąpiono do działania.

Ola przyniosła duży koszyk pełen szyszek jodłowych, które uzbierała sama na przechadzkach, i postawiła go na stole. Annemia umieściła obok niego dwie miseczki z gumą arabską; do jednej wysypała proszek srebrny, do drugiej złoty i zamieszała patyczkiem.

— Kto mi będzie pomagał? — zawołała Ola.

— Ja! Ja! — zabrzmiało ze wszystkich stron. Tylko liza milczała. Nie miała pojęcia, co robić z tym mnóstwem dużych i małych szyszek. Tam, w domu, nikt ich nie podnosił w lesie. Wkrótce tajemnicza zasłona miała być usunięta z jej oczu.

Melania i Rózia stanęły z pędzelkami w rękach i zaczęły brązowe, niepokaźne szyszki odziewać w złoto i srebro. A jak to prędko szło! Parę razy machnęła każda pędzelkiem i już były gotowe.

— Patrz, Róziu — zawołała Melania, podnosząc pod światło gazowe pozłoconą szyszkę — jakie to okropnie

118

urocze! Cudowne! Pozłocona równomiernie, prawdziwie artystycznie, ani jednego ciemnego punkcika! — Iz upodobaniem przypatrywała się ze wszystkich stron przepysznemu egzemplarzowi. Ola i Rózia pilnie pracowały dalej w milczeniu, odkładając na bok opędzlowane już szyszki.

— Nudna jesteś w najwyższym stopniu ze swoim samochwalstwem — przyganiła Ola. — Nie znałam jeszcze nikogo, kto by się tak ubóstwiał jak ty. Lepiej byś prędzej pędzlowała, zamiast zabawiać się uwielbieniem swojej roboty.

Melania czuła się bardzo urażona i zarumieniła się.

— Grubianką jesteś, Olu, i nie umiesz pojąć spokojnej, cichej przyjemności — odrzekła

rozdrażniona.

— Dzieci — przerwała panna Gussow, siedząca przy drugim końcu stołu i zajęta pozłacaniem orzechów i jabłek — proszę się nie kłócić! Melanio, chodź do mnie, jesteś mi potrzebna, a ty, lizo, spróbuj ją zastąpić.

liza nie dała sobie tego powtórzyć dwa razy. Spiesznie chwyciła za pędzel i wykonywała swoją robotę prędko i zręcznie. Ola bardzo była z niej zadowolona.

— Tylko nie smaruj tak grubo — upomniała — bo nie starczy nam nasz zapas srebra i złota.

Flora i Annemia przygotowywały łańcuchy ze złoconego papieru.

— Zajęcie zabijające ducha — szeptała Flora do Annemii — a przy tym ani odrobiny poezji. I po cóż obwieszać jodłę tą tandetą. Czyż nie piękniejsza bez porównania w swojej pachnącej, zielonej, leśnej szacie? Żółte woskowe świece pośród jej ciemnych, iglastych włosów, gwiazda złota na wysmukłym jej wierzchołku, unosząca się w przestrzeni, siejąca dokoła świetlane promienie! To mi poezja!

Annemia nie mogła już wytrzymać, napadł ją taki śmiech szalony, że zerwała się i wybiegła, ażeby się wyśmiać na dworze.

119

Greta i Nelly stały przy samym drzewku. Nelly wywyższona ponad wszystkie, na schodkach, ze sporą torebką soli w ręce. Greta z tygielkiem kleju była jej pomocnicą, podawała jej pędzelek, którym Nelly smarowała drzewko, nim je obsypała solą.

120

— Jestem zimową zawieruchą i oblepiam drzewo śniegiem — żartowała.

— Naprawdę, gałęzie są zupełnie białe! — zawołała liza i porzuciła na chwilę swoją robotę, ażeby się przyjrzeć fabrykacji śniegu. — Ależ to klasyczne! Niezmiernie mi się podoba! To zachwycające. Wielka ilość soli spadała wprawdzie pod drzewo, lecz Nelly z całą wytrwałością zbierała ją z powrotem i kilkakrotnie posypywała gałązki oblepione klejem.

— Ty stara drzewino — przemawiała — dlaczego zrzucasz śnieg na ziemię? Ale to nieprzyjemna robota, wszystkie palce pozlepiały mi się od kleju.

Rózia także przystąpiła teraz do drzewka, żeby je ubrać w lśniące szyszki. Wyglądała dziś jakoś niezwykle. Jej twarz miała w tej chwili wyraz radosnego oczekiwania, łagodne oczy promieniały, a okrągłe policzki były zaróżowione.

— O błoga, o radosna uroczystości Narodzenia Pańskiego! — nuciła cichutko swoim świeżym głosem, a panna Gussow zawołała na nią:

— Śpiewaj głośno, Róziu, to wprowadzi nas przy pracy w świąteczny nastrój.

— Wszystkie będziemy śpiewać — powiedziały Greta i Annemia. — Pozwoli pani?

— Owszem, ale głosem przyciszonym, żeby nie pobudzić małych.

I zabrzmiał z młodych piersi piękny, uroczysty śpiew na cztery głosy. Młoda nauczycielka pochyliła głowę. Pieśń budziła w jej duszy smutne, bolesne uczucie. Wiek dziecięcy, pierwsze lata młodości żywo powstały w jej pamięci. Jakie rola nadzieje, a w co zmieniły się jej marzenia! Z jej własnej winy!

W trakcie śpiewu nagle otworzyły się drzwi i weszła panna Rajmar w towarzystwie doktora Althoffa. Przed chwilą właśnie skończyli ważną konferencję, na którą się zebrali w pokoju przełożonej.

121

Była to prawdziwa niespodzianka — nikt by jej nigdy nie był przewidział. Śpiew ucichł, dziewczęta zmieszały się — jedne mniej, drugie więcej, gdy przedmiot ich tajemnego uwielbienia stanął tak nagle pośród nich. Flora zaczerwieniła się po uszy.

— Czemu nie śpiewacie dalej, dzieci? — pytała przełożona. — My wam nie przeszkadzamy. Ale jakoś się to już nie wiązało. Ola wprawdzie zaczęła, ale fałszywie, nie miała muzycznego ucha. Annemię fałszywy ów ton pobudził do śmiechu, a że śmiech jest zaraźliwy, śmiały się wszystkie.

— Co pani robi, panno Nelly? — zapytał doktor Althoff. — Dlaczego ukrywa pani ręce tak bojaźliwie?

Uśmiechnął się do niej. Flora spojrzała na niego ukradkiem i przed pójściem na spoczynek, zapisała w swoim dzienniku:

Uśmiechnął się do niej! Zazdrości godna Nelly! Czarująco — olśniewająco wyglądał w tej chwili! Pełne ducha, ciemne oczy tryskały ogniem — na wąskich ustach igrał uśmiech sarkastyczny — cudowne zęby, jak perły lśniły poprzez ciemnobłond wąsy. Ale Nelly jest zalotna! Niestety! To spojrzenie na niego!

— Powalałam palce tym szkaradnym klejem — odrzekła Nelly zakłopotana i wybiegła szybko, żeby się umyć. Doktor Althoff patrzył za nią z przyjaznym uśmiechem.

— Jak ta Nelly źle mówi po niemiecku — zauważyła Flora złośliwie. — Ja tego nie mogę pojąć. Już przeszło rok jest na pensji, a robi jeszcze takie rażące błędy.

Uwagę swoją wypowiedziała tak głośno, że młody nauczyciel musiał ją słyszeć.

— Niemiecki język jest trudny do nauki, panno Floro — odparł jej zarzut. — Nelly w tym czasie zrobiła duże postępy. Nie godzi się rzucać na przyjaciółkę kamieniem potępienia.

122

Panna Rajmar patrzyła na niego zdziwiona. Tak gorąco stawał w obronie Nelly! Może uznała to za nie całkiem stosowne w obecności innych uczennic.

— Już bardzo późno, dzieci — przerwała. — Może by to dosyć było na dzisiaj, jutro dokończycie waszą pracę.

Ale dziewczęta prosiły tak bardzo, żeby mogły dziś dokończyć swoje dzieło, że otrzymały na to przyzwolenie. Tylko Flora gniewała się w duszy. Nie mogła doczekać się chwili, w której wszystkie wielkie myśli, krążące w jej mózgu, uwieczni na białym papierze czarnym atramentem.

Panna Rajmar i doktor Althoff oddalili się, a zaraz potem Nelly wbiegła do pokoju. Flora nie mogła się powstrzymać, żeby jej nie przyciąć.

— Dlaczego schowałaś ręce za siebie? — zapytała. — To było bardzo komiczne. Co ty myślałaś? Że doktor Althoff poda ci rękę?

Biedna Nelly tak była przestraszona tym napadem, że nie mogła się zdobyć na odpowiedź. Iza pospieszyła na pomoc przyjaciółce.

— Nic komicznego w tym nie znajduję, Floro, że ktoś nie chce pokazywać brudnych palców — rzekła wesoło — ale, że ty swoje własne myśli jej przypisujesz, to jest prawdziwie komiczne! Tak, tak, Florciu, wydałaś się!

Flora zaczerwieniła się, ale była na tyle mądra, że odpowiedziała tylko wzruszeniem ramion.

Wszystkie przygotowania były skończone. Dziewczęta pozosiły łańcuchy i inne ozdoby, ażeby obwiesić nimi drzewko.

Jak przepysznie było ubrane! Iza podziwiała szczególnie złote szyszki, które wspaniale wyglądały pośród ciemnych igieł jodłowych.

— Jak w bajce! — wykrzykiwała radośnie. — Drzewko, wstrząśnij się i otrząśnij się — dodała swawolnie.

— O, nie! — wystąpiła Nelly z komiczną powagą. — Drzewko, nie wstrząsaj się i nie otrząsaj się, bo wszystka

123

sól opadnie z twoich igielek i ja po raz drugi będę sobie musiała palce brudzić.

— Nigdy w życiu nie widziałam tak pięknego drzewka! — przyznała Iza.

— To jeszcze nie wszystko, lizo — mówiła panna Gussow — o mało nie zapomniałam o złotej i srebrnej przędzy. — I zaczęła osnuwać drzewko dokoła cieniuch-nymi nitczkami.

— Jakież to cudne, jakież to cudne! — wołała Iza, jak dziecko klaszcząc radośnie w ręce.

Pochwyciła wpół Nelly i tańczyła z nią dokoła choinki.

— Swoją hałaśliwą radością pobudzisz śpiących — upominała panna Gussow, ale patrzyła na Izę z widoczną przychylnością. Był czas, że i ona tak wesoło patrzyła na świat. — Idźcie spać, dzieci — poprosiła — ale po cichutku, dobrze? Dobranoc.

— Dobranoc, proszę pani, dobranoc! A Iza dodała:

— Ach, żeby to już było jutro!

Dzień wigilijny od rana wrzał życiem. Iza puściła wodze swej wesołości, dopomagała jej w tym

Nelly. Annemia śmiała się bez ustanku, a nawet Rózia, rozsądna Rózia, nie stanowiła dzisiaj wyjątku, zrównała się z ogółem. Gdy Flora przeczytała napisaną przez siebie pieśń na Boże Narodzenie i całe swawolne kółko ją wyśmiało, śmiała się i Rózia, tylko gdy Nelly zaczęła dowcipkować, prosiła po cichu:

— Proszę cię, Nelly, nie wyszydzaj! Biedna Flora i tak już dosyć upokorzona naszym śmiechem. Tylko Melania i Greta nie mogły całkiem stłumić w sobie złego humoru. Spodziewały się spędzić w domu święta Bożego Narodzenia, tymczasem złudzenie upadło. Rodzice nie chcieli się na to zgodzić, żeby dwie młode dziewczynki odbywały same tak daleką podróż, uważali to za niestosowne.

124

Melanii ubliżała szczególnie ta przyczyna.

— Jak gdybym ja była dzieckiem! — gniewnie mówiła do Oli. — Mam przecież lat siedemnaście! W tym wieku i z moim rozsądkiem mogę zaopiekować się sobą i młodszą siostrą!

— Ale ładna jesteś — odrzekła Ola z lekką ironią — a to niebezpieczne. Pomyśl tylko, gdybyś spotkała w drodze jakiegoś wielbiciela! To byłoby okropnie straszne!

— Proszę cię, Olu, uwolnij mnie od swoich niemądrych dowcipów! — odparła Melania obrażona. Ale w duszy nie gniewała się, pochlebiali to jej próżności.

— Chętnie jednak słuchasz tego, serdeńko — zaśmiała się Ola. — Czemuż by nie? Być piękną to przecież hańby nie przynosi, osobliwie, gdy kto ma tak mało próżności jak ty! Zresztą, dziel wspólną dolę z nami, zostałyśmy przecież prawie wszystkie; pojechały tylko te, które najbliżej mieszkają, i cztery Angielki z panną Lead. Nie psuj nam wesołości swoją pochmurną twarzą. Patrz na Lili, czy możesz na widok tej serdecznej, niewinnej radości zachować zły humor?

Dziewczynka biegła w podskokach od jednej do drugiej i pytała co kwadrans, czy już robi się ciemno i czy gwiazdka kochana już idzie.

Nareszcie zapadł wieczór. Przełożona i panna Gussow już od dwóch godzin znajdowały się w sali, a w przyległej klasie, w pełnym niepokoju oczekiwaniu, skupiły się pensjonarki. Była już szara godzina, siedziały po ciemku, gdyż zwyczaj nie pozwalał zapalać światła przed gwiazdką.

Lilii bała się troszkę. Usiadła na kolanach liza i obydwoma rączkami objęła ją za szyję.

— Czy gwiazdka prędko już przyjdzie? — pytała znów. — Patrz, taka już ciemna noc.

— Przyjdzie, zaraz przyjdzie — uspokajała ją liza, przytulając do siebie. Przymilanie się dziecka było jej tak miłe, a miłość Lilii czyniła ją tak szczęśliwą. — Zaraz

125

przyjdzie gwiazdeczka, ach, jak to będzie cudnie! Chcesz, to ci opowiem bajeczkę, żeby ci się nie dłużyło.

— O, proszę, proszę! O Jasiu i Małgosi! Zaledwie liza zaczęła: — Był raz — Lilii zamknęła jej usta rączką.

— Nie mów dalej — przerwała — ja nie chcę dzisiaj słuchać. Ciągłe muszę myśleć o gwiazdce. Czy ty znasz gwiazdkę, lizo? Widziałaś ją kiedy?

— Nie — odrzekła liza — nie widziałam jej nigdy. Nikt widzieć jej nie może, bo ona nie mieszka na ziemi.

— W niebie mieszka? — pytała Lilii. — Widzisz i ja bym tam chciała mieszkać, tam jest ładnie, prawda? Tam śpiewają aniołki, a aniołki mieszkały dawniej na ziemi; to były grzeczne dzieci, prawda? Bozia zabrała je do nieba, prawda, lizo?

Słowa dziecka wywołały sentymentalne przeczucia w sercu Flory; zamierzała je właśnie wypowiedzieć, gdy Nelly ją uprzedziła.

— Co dzieciak bredzi? — zawołała, głaszcząc rączkę Lilii. — Kto ci to powiedział? Nieba nikt jeszcze nie widział.

— Przecież mama mi to powiedziała, a ona wie, prawda, lizo — odparła Lilii żywo.

liza jej na to nie odpowiedziała, usiłowała zwrócić myśli dziecka na inne tory.

— Chciałabyś wrócić do mamy? — zapytała.

— Nie — odrzekła Lilii — wolę zostać z wami. Mama wcale się mną nie zajmuje, nie ma czasu. Musi się ciągle uczyć — dodała poważnie. — Co wieczór idzie do teatru.

— Chodź do mnie, Lili — prosiła Melania — opowiem ci prześliczną bajeczkę.
— Zostaw mnie u lizy — błagało dziecko — ja i stąd uważnie słuchać będę twojej bajeczki.
Podczas kiedy Melania opowiada z całym zapalem i werwą, zobaczmy, co się dzieje w sali wigilijnej.

Obie panie kończyły już niezbędne przygotowania.

126

Panna Gussow rozkładała jeszcze w rozmaitych miejscach zapieczętowane pakieciki. Znajdowały się w nich przeróżne podarki, jakimi dziewczynki obdarzały się nawzajem. Imię obdarzonej napisane było na wierzchu, obdarowującą trzeba było odgadnąć.

Panna Rajmar stała przy ogrodniku, który odbijał skrzynki nadesłane pocztą, przykryte wierzchnią deską. Ustawiał je przy ścianach, gdyż same odbiorczynie miały wypakowywać prezenty.

Wyjątek stanowiła Lili, panna Rajmar sama wyjmowała przysłane jej podarki, potrząsając przy tym głową.

— Nic praktycznego, nic rozsądnie pomyślanego — mówiła do panny Gussow. — Dwie białe sukienki, krótkie, do kolan dziecku nawet nie sięgną, ale prześlicznie haftowane, różowa atłasowa szarfa, gronostajowy zarękawek, para safianowych bucików i lalka w balowej sukni. Do tego masa cukierków — ot i wszystko! Ciepłych pończoch i ciepłej kołderki, tak potrzebnych dziecku i o które tak bardzo prosiłam, nie ma wcale.

— Zdaje się, że to list do pani — rzekła panna Gussow, podnosząc z podłogi różowy, pachnący bilecik. Wypadł prawdopodobnie z mufki, którą przełożona trzymała jeszcze w ręce. Otworzyła list i czytała:

Proszę Panią uprzejmie wszystkie te drobnostki położyć mojej Lili pod choinką. Spodziewam się, że maleńka moja jest zdrowa. Nie mam potrzeby troszczyć się o nią, wiem, że moja złota rybka jest w takich dobrych rękach! — Pończoszek wełnianych i kaftanika nie posyłam, nie życzę sobie, żeby mi się dziecko rozpieszczęło. Niech zawsze chodzi w białej sukience, szyjka i rączki odsłonięte, tak przyzwyczajona i tak chciałabym, żeby pozostała.

Tysiąc całusów posyłam mojej pieściotce, a o mamie niech nie zapomni!

Szanowna Pani raczy przyjąć również serdeczne pozdrowienia od wdzięcznej Antonii Lubauer

127

— Białe sukienki i cienkie pończoszki! — powtarzała panna Rajmar, kiwając głową. — Dobrze, że ją zaopatrzyliśmy w najpotrzebniejsze rzeczy; lękałabym się odpowiedzialności sama przed sobą, gdyby to maleństwo chodzić miało w tak lekkim ubraniu.

Panna Gussow podzielała zdanie przełożonej i z zadowoleniem patrzyła na stoliczek Lilli, na którym rozłożone już były rzeczy ładne, ale i zarazem praktyczne.

Ogrodnik skończył swoją robotę — panie pozapalały świeczki na choince, a gdy wszystko było gotowe, przełożona wzięła srebrny dzwonek i zadzwoniła.

Jakby za uderzeniem laski czarnoksiężskiej rozwarły się podwoje i wpadła hurmem gromadka dziewcząt.

Chwilę stały olśnione. Z ciemności w atmosferę światła — zmiana była zbyt nagła, rażąca.

Lilli osobliwie jakby wrosła w ziemię, kurczowo ścisnęła rękę lizy.

— Chodź — przemówiła do niej panna Rajmar — zaprowadzę cię do twego stolika. Cóż tak oniemiałas?

Na widok podarków dziecku wróciła naturalna jego żywość.

— Prześliczna lalka! — wołała zachwycona, klaszcząc w rączki. — Jakaż ona piękna! Moja stara Lora wcale nie taka przyjemna! I kapelusik słomiany ma na główce, ach, mój Boże! I długie warkoczyki! A na ręce ma zarzuconą teczkę szkolną! Czy mogę ją wziąć na rękę? Chciałabym przyjrzeć jej się z bliska! Proszę, niech mi pani pozwoli!

I otrzymawszy pozwolenie, ostrożnie wzięła lalkę na ręce.

— Ona umie zamykać oczy! Widzi pani, chce spać! — Odkrycie to w zachwyt wprawiło Lilli, usta jej się nie zamykały. — Moja Lora zawsze ma otwarte oczy, ona nie może spać, prawda? Ona jest głupia, wcale nie taka rozumna jak ta. Czy to pani kupiła mi tę lalkę?

— Nie — odrzekła przełożona, która z upodobaniem słuchała małej gadułki — to liza i Nelly ubrały ją. Ale masz tu jeszcze drugą lalkę; tę przysłała ci mama.

Rzuciła wzrokiem na damę w przepysznym balowym stroju.

— Za pięknie ubrana — rzekła. — Tej nie mogłabym przecież położyć do łóżka. Ta nie może być moim dzieckiem. — I z lalką na ręku pobiegła do lizy, żeby jej podziękować.

liza była bardzo zajęta: wypakowywała swoją przesyłkę i o niczym innym myśleć nie chciała.

— Później, kochanie — powiedziała jej, składając serdecznego całusa na rumianej buzi. Trzymała właśnie śliczną różową wełnę, a Nelly stała przy niej, wyrażając głośno swój podziw.

— O jakie śliczne! — mówiła. — Cienkie jak pajęczyna! A jak ci w tym dobrze — dodała, zarzuciwszy kawał materii na ramię przyjaciółki. — To śliczna sukienka na lekcje tańca. Wyglądać w niej będziesz jak bogini!

liza jednak nie była zadowolona, na twarzy jej malował się jakby jakiś zawód. Czemu rodzice nie uwzględnili jej prośby, a nawet żadnej nie dali odpowiedzi?

A Nelly taka dobra — tak serdecznie dzieliła jej radość, nawet bez cienia zazdrości.

Tak samo zapewne myślała panna Gussow, która przybliżyła się do nich w tej chwili. Położyła rękę na ramieniu Nelly i zapytała:

— Dlaczego nie rozpakowujesz swojej skrzynki?

— Mojej skrzynki? — powtórzyła Nelly. — Pani żartuje! Dla mnie nie ma nic podobnego!

liza podniosła głowę. Szybkie, badawcze spojrzenie rzuciła na młodą nauczycielkę, a ta odpowiedziała jej uśmiechem tajemniczym.

— Kto wie? — mówiła dalej. — Rozejrzyj się. Może jakie bóstwo dobroczynne i ciebie także obdarzyło.

9 - Przekora

129

Ilza zerwała się z kolan, ujęła ramię przyjaciółki.

— Chodź — rzekła — poszukamy.

Skrzynki stały rzędem jedna przy drugiej, ale każda wzięta już była w posiadanie. Wzrok lizy zapuścił się dalej. Na samym końcu spostrzegła skrzynkę jeszcze nie odkrytą, pociągnęła tam Nelly. I rzeczywiście, wielkimi literami widniał napis: „Panna Nelly Grey.” — Nie było wątpliwości, do niej zaadresowane.

— Co to znaczy? — wołała Nelly zdumiona. — Kto pomyślał o mnie? Czy to naprawdę dla mnie?

— Tak, to dla ciebie, naprawdę — zapewniała rozpromieniona liza. Teraz dopiero miała prawdziwą gwiazdkę. — Podnieś wierzch.

Nelly usłuchała, ciągle jeszcze ociągając się nieco. Co za

130

niespodzianka! Na wierzchu leżała wełniana materia, zupełnie taka sama jak lizy, tylko że nie różowa, lecz bładoniebieska.

Teraz rozpakowywały razem każda swoją skrzynkę i co chwila rozlegał się okrzyk radosny, bo wyciągały zupełnie takie same przedmioty. Były to fartuszki haftowane, kolorowe pończochy, rękawiczki, a nawet nie brakło u Nelly i sznurka koralu, o którym dawno już marzyła liza. Także i przysmaczki równo były rozdzielone.

liza w swoim pudełku papieru listowego znalazła długi, pełen bezgranicznej miłości list od rodziców, a w pudełku Nelly leżał także i do niej bilecik.

Moja droga Nelly, pisała matka lizy, wszak mogę Cię tak nazywać, jako najukochańszą przyjaciółkę mojej lizy? Mój mąż i ja chcielibyśmy dać Ci choćby słaby dowód, jak bardzo jesteśmy Ci wdzięczni za Twoją miłość i przyjaźń dla dziecka naszego. Dwie przyjaciółki muszą mieć także jednakowe uciechy — tą myślą powodowani prosimy Cię serdecznie, żebyś przyjęła kilka owych drobnostek, które Ci przesyłamy.

Pragnąc z duszy, żebyś i nadał, dziecko drogie, pozostała wierną przyjaciółką naszej lizy, mąż mój i ja zasyłamy Ci najszczęśliwsze pozdrowienia.

Anna Macket

Nelly objęła szyję lizy i — słowa wymówić nie mogła. Wzruszenie ścisnęło jej gardło, łyż rzadkim

były gościem u naszej Nelly. Wcześniej osierocona, wychowywała się u krewnych, nie znając miłości rodzicielskiej, odwykła od płaczu, bo i któż by zważał na jej łzy?

— Twoja matka to anioł! — wybuchła w końcu głosem stłumionym. — Jak ja jej podziękuję za to wszystko?

— Tak, moja mama jest bardzo dobra — potwierdziła liza i w sercu jej po raz pierwszy powstało jakieś ciepłe, tkliwe uczucie dla przybranej matki.

Z tym wszystkim żadna z dwóch dziewcząt nie miała usposobienia sentymentalnego. liza wpakowała przyjaciół-

131

ce w usta kawał marcepana i ulotniło się wzruszenie. Nelly gryzła przysmak z oczami jeszcze pełnymi łez, co przedstawiało tak komiczny widok, że liza wybuchła głośnym śmiechem, naturalnie wtórowała jej Nelly.

— Skończyłyście już, dzieci? Wszystkie skrzynki już wypakowane? — pytała panna Rajmar, przerywając gwar przeróżnych głosów, brzęczących jak w ulu.

— Już, już — zewsząd brzmiała odpowiedź i wszystkie biegły pokazać przełożonej swoje podarki, a ona patrzyła życzliwie na te młode, rozpromienione twarzyczki. Tylko Flora doznała zawodu. Zamiast dzieł Jean Paula (Richtera)*, których pragnęła tak gorąco, dostała Historię Powszechną Schlossera**. Ojciec przyrzekał jej, że jak będzie starsza, a więc i dojrzała do takiego czytania, dostarczy jej dzieł Richtera.

Dojrzała! Wydawało jej się to szyderstwem. Miała przecież lat szesnaście, tworzyła dzieła poetyckie i ona, ona nie mogłaby czytać Jean Paula!

Kiedy stół, umyślnie w tym celu uprzątnięty, założony już został podarkami od rodziców, a także i od nauczycielek, przyszła kolej na zapieczętowane niespodzianki.

Wychodziły teraz na jaw przeróżne zabawne a zarazem satyryczno-charakterystyczne pomysły, a wesołość i śmiech nie miały końca.

Flora właśnie, po długim rozwijaniu z niezliczonych papierów, wyciągnęła długą, niebieską pończochę. Zdziwiona, obracała dziwny podarunek na wszystkie strony; nie dopatrzyła się zrazu ironicznej myśli.

* Jean Paul, właśc. J. P. Friedrich Richter (1763—1825) — niemiecki pisarz z okresu przełomu klasyki i romantyzmu. Pisał wiersze satyryczne, powieści i opowiadania.

** Friedrich Christoph Schlosser (1776—1861) — historyk niemiecki; od 1817 r. profesor uniwersytetu w Heidelbergu. Prace jego, o wysokich wartościach literackich, mają charakter moralizatorski.

132

— Pończocha! — wyrzekła. — Na cóż mi jedna pończocha?

— To twoje godło, nasza kochana niebieska pończoch* — objaśniła Ola. — Znakomity pomysł, naprawdę!

— I niezawodnie twój! — odburknęła Flora.

— Niestety, nie! — odparła Ola.

Serdeczny i głośny śmiech Annemii zdemaskował ją jako dawczynię.

— Gniewasz się na mnie, Floro? — zapytała dobrodusznie.

Dziwne pytanie! Wprost przeciwnie, Florze pochlebiali to niezmiernie, że ją zaliczono do niebieskich pończoch. Haftowany krawacik, który Annemia wsunęła w pończochę, w połowie jej tak nie ucieszył, jak uznanie jej za uczoną i poetkę.

W najlepszym humorze odwijiała teraz sznurek, którym kilkakrotnie okręcone było papierowe pudełeczko. Na przykrywcę stała wymalowana szklanka napełniona winem, a pod nią napis: „Ostrożnie!”

Ostrożnie też podniosła wierzch, wyrzuciła pocięte papierki i znalazła otulone jedwabną bibułką złamane serce z biszkoptu!

— Nelly, jakaś ty złośliwa! — zawołała obrażona. Ruchem lekceważenia rzuciła serce i odwróciła się niechętnie.

— Nie tak gorąco, Floro — radziła Greta — przede wszystkim zbadaj pilnie złamane serce.

Po krótkim wahaniu, Flora zdecydowała się na to i znalazła prześlizną toaletową poduszeczkę ukrytą w sercu. To pogodziło ją ze złośliwą Nelly.

* Niebieska pończocha — nazwa nadawana w XVIII w. klubom pań zajmujących się literaturą i nauką; do klubów tych należeli nieliczni panowie (niektórzy nosili niebieskie, wełniane pończochy, zamiast czarnych jedwabnych, aby zaznaczyć swą wzdąrdę dla konwenansów). Przenośnie — kobieta popisująca się uczonością.

133

Nie tylko Flora ale i wszystkie inne, musiały przyjąć podobnie, mniej lub więcej, złośliwy żarcik; takim sposobem wszystkie słabe strony wyprowadzone zostały na światło dzienne i odebrały zasłużoną chłostę. Przełożona czuwała nad tym, żeby nie przekraczano granic żartu; w ogóle uważała to wzajemne zwracanie sobie uwagi na wady i błędy za wyborny środek wychowawczy, który pomagał częstokroć więcej niż najsurowsze napomnienia.

Przed Nelly stała cała góra produktów spożywczych, które wydobywała z paczek do siebie zaadresowanych; w każdej, obok drobnego jakiegoś podarku, znajdowała przeróżne łakocie: czekoladę, marcepan, rodzynki, migdały, jabłka, ciastka, i w ślicznym, porcelanowym pudełku dwa kwaśne ogórki. Był to jej przysmak.

Śmiała się.

— Więc ja taki łakomczuch? — zapytała. — O, tu jeszcze jedna paczka! — zawołała żywo. — Ciekawam jaki tam znajduję smaczny kasek?

Lecz tym razem omyliła się — wydobyła książkę; otworzyła ją i przeczytała na okładce:

„Gramatyka niemiecka”. Umieszczono w niej biały arkusik papieru z krótkim napisem:

Chcąc rozumieć poezję, ucz się naprzód pilnie języka. Tę radę daje ci osoba, której ty dotąd nie rozumiesz.

— Flora! — zawołała Nelly. — Zawstydziłaś mnie okropnie swoją szlachetnością. Będę się uczyła z tej książki, żeby cię rozumieć! Podaj mi rękę, składam ci przyrzeczenie, że już nigdy nie wyśmieję wzniosłych twoich utworów, choćby wszystkie przepelnione były pogruchotanymi sercami.

Ola dostała porcelanową, ładną skarbonkę, w otworze której umieszczona była kartka z napisem: Ucz się rozsądnej oszczędności, bo nie wiesz, co ci przyniesie jutro.

134

Melania przeglądała się w ozdobnym lusterku. Nie tyle radował ją podarek, ile własna twarz, uśmiechająca się do niej w zwierciadle.

Greta patrzyła na nią z małym uśmieszkiem na ustach.

— To aluzja do twojej próżności, Melanio! Ja nic takiego nie dostałam, co by mnie mogło rozniewać lub dotknąć.

— Masz się więc za doskonałość, kochana Greto — z ironią odrzekła Melania. — Nie wyobrażaj sobie tego, dziecko, i ty masz wiele wad, z których trzeba by się poprawić.

Jakby na dopełnienie jej słów dał się słyszeć głos panny Gtissow:

— Greto, tu stoi dla ciebie jeszcze jedno pudełeczko. Rzuciłaś na nie papier i dlatego je przeoczyłaś.

Uradowana, z błogą nadzieją Greta otworzyła pudełko. Biada! Nowiuteńka, błyszcząca, ozdobna — złośliwie śmiała się do niej kłódeczka.

— To aluzja do ciebie, gaduło! — zawołała Melania, odwzajemniając się siostrze, i przyłożyła jej kłódkę do ust.

— Tak, żebyś na przyszłość nie była tak głośna i gadatliwa.

Greta odwróciła się niechętnie. Wcale nie czuła się zbudowana tą nauką moralną. Rzuciła kłódkę do pudełka, zamknęła je, a zachmurzona jej twarz dowodziła, jak bardzo była urażona.

Ira z dużej paki, aż pod wierzch wysłanej sianem, wydobyła psa. Nie żywego, o nie! Z tektury. Był brunatny, a łapki miał białe. U szyi na czerwonej wstążeczce wisiała kartka, a na niej dużymi literami wypisano „Bob”.

— Ola! — wykrzyknęła liza bez namysłu.

Ola często prześladowała ją pieskiem. Jej samej śmiesz-

ne się teraz wydawało pierwsze wejście na pensję, z pieskiem na rękę. Jakaż ona była niemądra — jak niepotrzebnie tyle nadrczyła biednego ojczusia!

lizę spotkała jeszcze jedna niespodzianka; na jej widok bardzo się przestraszyła. W ślicznym koszyczku do robót znalazła kilka jabłek z marcepanu.

Nelly stała przy lizie i zaraz szepnęła jej do ucha:

— To owe jabłka z drzewa, pamiętasz? liza bojaźliwym wzrokiem rzuciła dokoła.

— Nie bój się — uspokajała ją Nelly — nikt nas nie słyszy.

Miała słusność. Uwaga wszystkich zwrócona była na klatkę, w której siedziała żywa synogarlica. Annemia, uszczęśliwiona, wysoko wznosiła ją w górę.

— Możecie się teraz śmiać na wyścigi — żartowała przełożona — bo wolno ci zatrzymać gołąbka i powiesić klatkę w swoim pokoju. Ale musisz o nim pamiętać i regularnie dostarczać mu jeść i pić. I w taki sposób każda dostała jakieś żartobliwe napomnienie, oprócz jednej tylko Rózi. Łamały sobie głowę, żeby wynaleźć w niej coś nagannego i z wielkim żalem nic nie mogły wyszukać.

— A jednak zupełnie pominąć jej nie można — zdecydowała Nelly. Poszła do miasta i kupiła jej książeczkę z obrazkami. Na pasowej okładce złotymi literami wypisany był tytuł: „Dla grzecznych dzieci”.

— To wybornie nadaje się dla niej — powiedziała, na co zgodziły się wszystkie.

Rózia wzięła książeczkę, uśmiechnęła się i położyła ją na boku. Nie bardzo rozumiała, co by to mogło znaczyć...

Gdy skończyło się już wzajemne obdarowywanie i gdy stół, przeznaczony na podarki dla obydwóch pań, założony już został przeróżnymi robótkami, podano herbatę; wkrótce potem wszyscy udali się na spoczynek. Najciężej

było Lili rozstać się z tylu pięknymi prezentami, nie chciała iść do łóżka i usnęła, siedząc przy swoim stoliku. Rozebrano śpiącą i zaniecono do łóżka, które stało w pokoju panny Giissow.

I naraz w domu zrobiło się cicho i ciemno. Przeszedł uroczy wieczór wigilijny, a z nim gorączkowe oczekiwanie i blask świateł...

Czy także za rok choinka wigilijna oświetlona będzie dla wszystkich tych, którzy byli tu koło niej zgromadzeni?

^ycie wróciło znów do dawnego trybu. Lekcje się rozpoczęły i miss Lead, w parę dni po Nowym Roku, wróciła z zamorskiej podróży. Przywiozła ze sobą sześć młodych Angielek, które ani słowa nie umiały po niemiecku i bardzo tęskniły za swoją ziemią.

Nelly próbowała je pocieszać, ale tak się zamknęły w sobie, że żadne słowo pociechy do duszy ich przedostać się nie mogło. Tak bardzo czuły się nieszczęśliwe w obcym kraju! Nie chciały się uczyć po niemiecku, oznajmiły, że nienawidzą języka niemieckiego i Niemców. Długie listy przepelnione żalami posyłały do domu, modląc się do rodziców lub opiekunów, żeby je zabrali z powrotem.

Nie była to rzecz nowa. Panna Rajmar nie przywiązywała do tego żadnej wagi; tak zawsze działo się, osobliwie z Angielkami. Przytrafiało się nawet parę razy, że któraś głodem chciała się zamorzyć, nie przyjmując uporczywie pożywienia i napoju. Głodową śmiercią żadna przecież dotąd nie umarła; skoro tylko żołądek energicznie zaczął się dopominać swoich praw, przywracały mu je uprzejmie.

— Nie podobają mi się moje rodaczki — mówiła dnia jednego Nelly do lizy. — Wolę Niemców. Wcale już nie wrócę do mojej ojczyzny.

— Bo też ty jakoś zupełnie różnisz się od wszystkich tych Angielek, nie jesteś ani taka sztywna, ani taka milcząca, ani taka nadęta jak one! Zawsze patrzą na nas tak, jakby chciały powiedzieć: „Boże, dziękuję ci że nie jestem Niemką!”

W Nelly obudziło się nagle uczucie narodowe.

— O, nie! — zawołała. — Tak źle o nas nie sądz! To tak się tylko zdaje, że one takie dumne; dlatego mają miny zdziwione, że cię nie rozumieją, nic więcej.

— Dumne są, Nelly — upierała się liza. — Nie uniewinniaj nudnych twoich Angielek. Tylko co

mówiłaś sama, że ich nie znosisz.

Nelly przyznała. Utrzymywała jednak, że podobnego sądu z czyichś ust słuchać nie może, nie powinna, a co więcej nie chce.

— Dziwaczysz, Nelly — śmiała się liza. — Doktor Althoff powiedziałby: Nieład jakiś wkradł się w zapatrywania pani, miss Nelly!

— O, nie! — odrzekła porywczo Nelly, lekko zarumieniona. — Doktor Althoff zrozumiałby mnie. On wie, co się dzieje w moim sercu!

lizie wydało się to komiczne, zartowała więc z przyjaciółki.

— Za wiele przybyłoby mu roboty, gdyby miał zaglądać we wszystkie wasze serca! — zawołała wśród śmiechu. — A jeśliby sobie kiedy zadał ten trud, dopiero by was wyszydził, was wszystkie, co się w nim kochacie!

liza uczyła się teraz bardzo gorliwie i od dawna już praca przestała być dla niej nieszczęściem.

Nade wszystko lubiła rysunki i przykładała się do nich bardzo, szczególnie od czasu, kiedy odebrała list od ojca z podziękowaniem za przyslaną różę. Ojciec był zachwycony i w ślepej swojej miłości widział w niej już artystkę; donosił jej, że różę kazał oprawić w ramki i że ją powiesił nad swoim biurkiem. liza nie była z tego zadowolona, wiedziała, że ojciec każdego

138

z gości prowadził do swego pokoju i pokazywał z dumą tą pierwszą słabą próbę.

Matka nie mniej uradowana była podarkami lizy; świadczyły one o postępach i wytrwałości w pracy, co dotąd całkiem nie znane było małej dzikusce. Najwyższą radością przejął ją list lizy z podziękowaniem. Po raz to pierwszy przemawiała do niej słowami tak serdecznymi; oczy pani Anny napełniły się łzami radosnego wzruszenia. Czuła teraz stanowczo, że w przyszłości pozyska zupełną miłość lizy.

Z upragnieniem oczekiwane lekcje tańca trwały już od dwóch tygodni i wniosły pewne urozmaicenie w monotonne życie pensyjne. Dwa razy w tygodniu od szóstej do ósmej przychodził nauczyciel tańca, ze skrzypkami. Lekcja odbywała się w dużej sali.

Nie wszystkie pensjonarki brały w niej udział. Nie uczyły się małe dziewczynki, a i Angielki wyłączały się także: za mało jeszcze rozumiały po niemiecku, zresztą nie znajdowały żadnej przyjemności w nudnych pas. Melania podzielała ich zdanie i dotąd jeszcze lekcje tańca uważała za straszliwie ciche.

— To okropnie nudne zajęcie, to skakanie — wywnę-trzała się na przechadzce przed Florą. — Po co te pas? Te ukłony? Wszakże my wszystkie tańczyć już umiemy, a kłaniać się i witać także uczyć nas już nie potrzeba! Przecież my jesteśmy dorosłe, dorosłe panny!

— Ach! — westchnęła Flora, a wzrok jej rozmarzony popłynął ku lśniącej lodem sadzawce, ku ślizgającym się gimnazjalistom. — Ach, wszystko uszłoby jeszcze, lecz najstraszliwsze jest to, że całe dwa miesiące tańczyć będziemy bez panów!

— Jaka straszliwa czczość! — mówiła Melania, bardzo podrażniona. — Traktują nas z prawdziwie purytańską surowością! Bez panów! Trudno w to uwierzyć!

— Tak, z purytańską surowością! — powtórzyła Flora, której niezmiernie podobało się to wyrażenie. — Nie

139

pojmuję dlaczego jest nam tak długo wzbronione towarzystwo panów? Obchodzą się z nami jak z dziećmi!

Tymczasem przeszły „straszliwie ciche” miesiące i panna Rajmar rozesłała listy do młodych, przyzwoitych panów, uczęszczających do gimnazjum, zapraszając ich, żeby przez ostatnie cztery tygodnie wzięli udział w lekcjach tańca.

Nie potrzeba mówić, z jaką radością przyjęte były te zaproszenia — młodzi, wyróżnieni w ten sposób, uważali to za zaszczyt. Tym razem szczególnie zapalali się do tych wieczorków, utrzymywali bowiem, że nigdy jeszcze nie było na pensji tylu ładnych dziewcząt. Z widzenia znali je wszystkie wybornie, bo w którąkolwiek stronę szły na spacer, starali się z nimi spotkać. Teraz mają tańczyć z tymi pięknosciami, wolno im będzie z nimi rozmawiać — ależ to wspaniałe!

— Dzisiejszego wieczoru, dzieci, będziecie tańczyć z panami — oznajmiła panna Rajmar w środę przy obiedzie. A gdy spostrzegła, że wiadomość ta przyjęta była z wielką radością, dodała: — Spodziewam się, że nie będziecie się wdawać w zbyt długie rozmowy z młodymi ludźmi! Nie zapominajcie, że oni wezwani są tu raczej do tańca, nie do pogawędki. Annemii upomnienia te wydały się tak komiczne, że zaczęła chichotać. Przełożona ukarała ją spojrzeniem.

— Słowa moje właśnie do ciebie się odnoszą, Annemio. Obawiam się, że zwracać będziesz na siebie uwagę swoim bezrozumnym śmiechem. Strzeż się tego. Tobie, Greto, przypominam, żebyś nie paplała tak dużo. Zastanów się wprzód nad tym, co masz powiedzieć, żeby jaka niedorzeczność z tego nie wyszła.

Dziewczęta w tej chwili jednym tylko uchem słuchały rad i przestróg przełożonej. Roztargnione były, wzruszone. Nierównie ważniejszym wydawało im się pytanie: „W co się ubrać dzisiaj? Jak się wystroić?” Wyszedłszy z jadalni,

140

tłumnie rzuciły się na schody, żeby w pokoju Oli i sióstr walną odbyć naradę.

Melania przyniosła duże pudełko tekturowe i wykladać zaczęła kwiaty i wstążki. Stała przed zwierciadłem i przyłożyła różę do swoich pięknych popielatoblond włosów.

141

— Jak znajdujecie tę różę? — zapytała. — Niechże która spojrzy! Czy nikt już nie troszczy się o mnie? — wykrzyknęła zniecierpliwiona i tupnęła nawet nogą, słysząc, że gwar trwa w dalszym ciągu.

— Bardzo ci z nią do twarzy — odpowiedziała Rózia, która tylko co weszła i słyszała ostatnie słowa. — Ciemny pąs w twoich jasnych włosach wygląda przepysznie!

— Ty nie masz gustu, kochana Róziu. Nie gniewaj się, że ci to szczerze mówię — odprawiła Melania biedaczkę. — Ola, proszę cię, powiedz, co o tym sądzisz?

Ola uchodziła za najpierwszą elegantkę, jej strój był zawsze najgustowniejszy. Z miną znawcy obejrzała Melanię.

— Ciemnopąsowa róża za bardzo jest rażąca — zdecydowała — do twoich włosów właściwsza będzie bla-dopąsowa. Zresztą, jaką weźmiesz suknię? To rzecz naj-główniejsza — do sukni dopiero musisz dobierać kwiaty.

— Myślę, że wezmę niebieską batystową.

— Najlepszą suknię! — wykrzyknęła Greta zdziwiona. — Dobrze, to ja wezmę moją w kwiaty! Kiedy narada była najgwarniejsza, uchyliły się drzwi i weszła panna Gussow.

— Panna Rajmar kazała wam powiedzieć, żebyście dziś wzięły wasze niedzielne sukienki.

— Ooo! — Przeciągły ten wykrzyknik wy dobył się z ust Melanii. — Pani droga, stare, ciemne sukienki! Jasne o wiele przecież lepsze!

Trzeba było pozostać przy ciemnych sukienkach. Rozkaz przełożonej był nieodwołalny.

Nim zeszły do sali, dziewczęta raz jeszcze zebrały się u Oli. Ola odbyła ogólny przegląd toalet, poprawiła coś tu i ówdzie, jakąś drobnostką umiała najskromniejszemu nawet ubraniu dodać elegancji.

Melania ubrała się, jak mogła najstrojniej. Biała, koronkowa chusteczka w miękkich fałdach otaczała szyję,

142

spięta z boku bladopąsową różą. Ola nie znalazła w niej nic do poprawienia; wyglądała ślicznie, pomimo swojej skromnej brązowej sukienki.

Niezgrabnej Grecie nic poradzić nie było można. Długie ręce, wielkie stopy, cała postać gruba i zgarbiona, nic z tego ukryć nie było można, a ruchy niezręczne wGale nie dodawały jej wdzięku.

— Dla ciebie najkorzystniejsze jest ciemne ubranie — mówiła Ola, wyjmując ze swego pudełeczka sznur koralu i zawieszając go na szyi niezmiernie tym uradowanej Gre-ty. — Tak będziesz wyglądała trochę strojniej.

Flora nie poddała się przeglądowi, uważała to za zbyteczne. Ona miała swój własny charakterystyczny gust. Z wielkim trudem ułożyła sobie fryzurę grecką. Z tyłu włosy miała

zwinięte i kilka loków spuszczonech, z przodu przepasała je trzykrotnie czarną aksamitką, naszywaną białymi perełkami. Na czoło spadała ufryzowana grzywka.

Była sobą zachwycona. Fryzura ta pogodziła ją nawet z zieloną wełnianą sukienką, w której wyglądała jak cienka i długa tyczka chmielowa.

Różia nieosobliwie wyglądała w czarnej kaszmirowej sukience, obszytej białą koronką i spiętej srebrną strzałą. Tak ubierała się zawsze w niedzielę, a w niczym nie chciała przekroczyć rozkazu panny Rajmar.

— Boże! Wyglądasz jak gospodyni, Róziu! Taka poważna i uroczysta, jakbyś szła do kościoła! — zawołała Ola. — Czy nie masz jakiejś kolorowej kokardy?

Nic takiego nie miała, więc Melania pospieszyła jej z pomocą. Z wielką uprzejmością pożyczyła jej swoją nowiutką kokardę z różowej atlasowej wstążki i cieszyła się bardzo, że tak jej w tym dobrze, — Przejrzyj się — powiedziała, trzymając przed nią lusterko. — I cóż, jak ci się zdaje? Teraz nie wyglądasz jak tercjarka, nieprawdaż?

143

— Kokarda bardzo mi się podoba — odrzekła Ró-zia — ale jest mi nieprzyjemnie ubierać się w rzeczy pożyczone.

— O, sancta simplicitas!* — wykrzyknęła genialna Flora. — Dziecko, rzeczywiście za daleko posuwasz swoją pedanterię! Pomiedzy przyjaciółkami panuje równość, więc tu mowy nie ma o rzeczach pożuczanych!

I żeby tę myśl jednocześnie w czyn zamienić, sięgnęła do Melanii otwartego pudełka z kwiatami, wzięła pąsowy goździk i przypięła go sobie na piersiach.

— Wszak pozwolisz, Melanio? — zapytała mimochodem. — W czerwonym kolorze jest mi świetnie! — I z zadowoleniem przeglądała się w zwierciadle.

— Gdzie się podziały liza i Nelly? — spytała Ola. Właśnie weszły. Obie były gustownie ubrane. Nelly

w szkockiej sukience, przy szyi i rękawach przybranej prawdziwą koronką, wyglądała wdzięcznie i ładnie; liza na niebieską suknię włożyła szeroki koronkowy kołnierz. Prócz tego każda z nich miała na szyi korale.

— Prędko, te stokrotki do włosów! — zawołała Melania i chciała je wpiąć w pukle lizy, ale ta cofnęła się.

— Daj mi spokój z twoimi kwiatami — odrzekła. — Ja nie lubię martwych, sztucznych kwiatów!

— Jak ci się podoba! — mruknęła Melania, urażona nieco i rzuciła wzgardzone stokrotki do pudełka.

Opuściły pokój, zaczęły schodzić na dół.

— Ola wygląda najstrojniej z nas wszystkich — nie bez małego cienia zazdrości mówiła Melania do Nelly, lustrując idącą przodem koleżankę.

Ola, w samej rzeczy, w błękitnej aksamitnej bluzeczce i tegoż koloru jedwabnej spódnicy, prawdziwie pański miała wygląd.

* O, sancta simplicitas! (łac.) — O, święta naiwności!

144

- Co prawda, moi rodzice nie ubierają mnie w aksamity i jedwabie, nie jesteśmy tak bogaci.

— Bagatela! — odrzekła Nelly. — I małym trzeba się zadowalać.

— Proszę was, błagam, zaczekajcie chwilę! — zabrzmiał głos jakiś poza nimi.

To Annemia biegła w całym pędzie.

— Jeszcze nie jestem gotowa — mówiła zadyszana — ale to nie moja wina! Tasiemka mi się gdzieś urwała, gdy kładłam suknię, i wlecze się teraz po podłodze. Proszę was, zobaczcie, co to się porobiło!

Zatrzymały się wszystkie i oglądały Annemię dokoła. Nelly, zawsze praktyczna, od razu spostrzegła zło.

— Chodź — rzekła — ja ci to poprawię. Ale muszę mieć igłę i nitkę, kilku ściegami doprowadzę cię do porządku.

— Nie róbcie tyle ambarasu — odezwała się Flora. — Masz oto szpilkę, posłuży ci równie dobrze

jak igła. Ile razy ja spinam szpilką, jak mi się co oberwie!

Lecz Angielka słuchać nawet o tym nie chciała. Wróciła z Annemią do swego pokoju i przyszyła oberwaną taśmę.

— Moja dobra, droga Nelly, patrz, tu mi się kawałek koronki oberwał przy rękawie. Ty jesteś aniołem, przyszyj mi ją także.

Nelly i to zło usunęła, po czym tu i ówdzie poprawiła coś na Annemii, wyprostowała, pociągnęła, bo nic nie leżało jak się należy, na małej, okrągłej synogarliczce. Rękawiczki nie były zapięte, fryzka na bok wykręcona, a u pantofelka brakowało guzika.

— Jesteś bardzo nieporządną dziewczyną, kochana synogarliczko — łajała Nelly — ale teraz już ci nic nie poradzę, musisz się przedstawić z oberwanym guzikiem. Bije szósta, czas iść do sali.

10 — Przekora

145

Inne dziewczęta czekały na schodach, teraz wyruszyły wszystkie razem, ale przy drzwiach salonu się zatrzymały; nie miały odwagi wejść.

— Słyszę rozmowę — rzekła cicho Ola — sądzę, że panowie już są.

Przyłożyła ucho do drzwi i słuchała.

— Są już naprawdę!

— Pozwól mi popatrzeć przez dziurkę od klucza — prosiła ciekawa Flora, lekko usuwając Olę na bok.

Pochyliła się. W tej chwili Gretę napadła swawola, popchnięta przez nią Flora uderzyła głową o drzwi. Toż to był strach! Natychmiast umknęły wszystkie na drugi koniec przedpokoju. Gdyby tak panna Rajmar usłyszała szmer!

— Alebyśmy oberwały! — powiedziała Melania i gniewała się na Gretę, że jest dziecinna i niesforna.

— Jesteś szalona, Greto, w najwyższym stopniu nie-ucywilizowana! — unosiła się oburzona Flora, a Annemia śmiała się aż do łez.

— Nie gniewaj się, Floro, że się z ciebie śmieję — mówiła — ale cóż ja zrobię, kiedy nie mogę się powstrzymać. Wyglądałaś tak komicznie, taką miałaś minę przerażoną, jak tą swoją grecką fryzurą palnęłaś o drzwi.

Panna Rajmar, w samej rzeczy, usłyszała łoskot pode drzwiami, otworzyła je, a ujrawszy dziewczęta, zawołała żeby się śpieszyły.

Był to moment krytyczny. Nieznacznie popychały się wzajemnie i sprzeczały po cichu, która wejdzie pierwsza.

— Ty idź naprzód, Olu, ty jesteś najstarsza — szepnęła liza.

— Ja jestem najmłodsza, ja wejdę ostatnia — mówiła Greta, która zwykle w słowach bywała najpierwsza.

— Greto, pozwól mi być ostatnią — prosiła Annemia — widzisz, jeszcze się nie wyśmiałam. Różia była rozsądna, jak zawsze.

146

— Chodź, Olu — powiedziała — panna Rajmar czeka. Doprawdy zachowujemy się jak dzieci. A wszystkiemu winna ta swawolna Greta!

Przykład dwóch starszych dobrze oddziaływał na inne. Uspokoily się i weszły do sali z całą godnością i powagą.

— Panie pozwolą przedstawić sobie panów — przemówił nauczyciel tańca.

Flora rozplywała się w błogości: pomiędzy panami spostrzegła pewnego prymusa, którego już od dawna uwielbiała tajemnie. Opiewała go w jambach pod postacią Apolla.

Panna Gussow stała obok przełożonej i z przyjemnością przyglądała się tej gromadce dziewcząt.

Oko jej z wyrazem tkliwości zatrzymywało się na lizie. Jak świetnie rozwinęła się ta jej ulubienica — fizycznie i duchowo! O ile spokojniejsze stało się owo gwałtowne, niepohamowane dziecko.

Gdzie się podziały upór i przekora?

Porównywała lizę z innymi i stwierdziła, że nie tylko jest najładniejsza, ale ze wszystkich najbardziej naturalna, swobodna. Ani śladu w niej zalotności. Wesoło patrzyła na świat swymi

wielkimi, dziecinnymi oczami, a w oczach tych malowało się pytanie: „Świecie kochany, czyś ty zawsze tak piękny?”

Melania miała rysy regularniejsze, ale brakowało jej owej naiwnej nieświadomości, znać było, że ładne dziewczę zapytywało często zwierciadła o zdanie.

Flora i Melania stały obok siebie i udzielały sobie spostrzeżeń o panach, na których spoglądały ukradkiem. Udawały, naturalnie, że wcale się nimi nie zajmują.

Annemia i Greta usiadły w zagłębieniu okna i bez ustanku chichotały i szeptały.

Nawet Nelly nie była całkiem wolna od chęci podobania się. Umiała tak usiąść, że mała jej nóżka w złotym pantofelku niechcący wysuwała się spod sukni.

147

Rózia nie była ani zalotna, ani najmniejszego nie doznawała wzruszenia. Siedziała spokojna i uśmiechnięta jak zawsze i zachowywała się przyzwoicie tak, że i na lekcjach tańca, jak i na innych, wzorowym dzieckiem nazwać ją było można.

— Proszę zaczynać! — zawołał nauczyciel, klaszcząc w ręce.

I zabrzmiała orkiestra, składająca się z fortepianu i skrzypiec.

Jakaż to wspaniała muzyka dla młodych, niezepsutych uszu, jakież „straszenie urocze” wydały się tony walca.

— Panowie zapraszają! — zakomenderował nauczyciel i jakby dotknięci laską czarnoksiężką, ochoczy młodzieńcy rzucili się każdy do damy, którą sobie w cichości obrali za cel swoich pragnień.

Przed olśniewającą Melanią jednocześnie skłoniło się trzech panów. Co za tryumf dla jej próżności! Niestety, nie mogła tańczyć z trzema naraz i musiała się zadowolić przekonaniem, że wszyscy obecni byli świadkami tego wyróżnienia. Wszyscy może nie, ale Flora i Greta widziały to na pewno i musiały w duszy przyznać się do upokorzenia, gdyż odrzuceni po to tylko zwrócili się do nich, żeby je wybawić. Ze wszystkich panien jedynie one dwie pozostały nie zaproszone. Flora szczególnie czuła się głęboko upokorzona i wzrokiem zazdrości ścigała liżę, która z „Apollem” właśnie przesuwiała się koło niej, zataczając koło walca.

Z niezbyt wielkim ożywieniem szła rozmowa na tym pierwszym wieczorze. Pewien przymus nakładała obecność przełożonej, jej bacny wzrok. Nelly, która ciągle myślała o tym, żeby nie popełnić błędu językowego, niezwyczajnie była milcząca, a parę razy, gdy zmuszona była odpowiadać, chcąc się wyrazić bardzo poprawnie, wypowiadała niesłychanie komiczne zdania. Nikt jednakże nie brał jej tego za złe, dziecinną swoją naiwnością pozyskała sobie wszystkie serca. Panowie zachwyceni byli młodą Angielką,

148

a że do tego jeszcze dobrze tańczyła, przeto wkrótce pozyskała sobie ogólne uznanie.

Dla Grety przymusowe milczenie w najwyższym stopniu było nieprzyjemne. Raz Ola, która za nią stała, słyszała, jak bardzo była niedyskretna.

— Jak nazywa się ta młoda osoba w lokach? — zapytał ją JeJ tancerz.

— To liza Macket — prędko odpowiedziała Greta. I szczegółowo zaczęła opowiadać jej dzieje. — Ona tu dopiero od lipca; przywiózł ją ojciec. Ona z daleka, bo aż z Pomorza i niech pan sobie wyobrazi, przywiozła ze sobą pieska i chciała koniecznie, żeby z nią był na pensji! Naturalnie, panna Rajmar na to nie pozwoliła. Ach, a jaka była niezgrabna! Nikt sobie tego nie potrafi wyobrazić. Razu jednego cały stos talerzy...

— Greto — przerwała jej nagle Ola — szpilkę zgubisz. Chodź ze mną na chwilkę, poprawię ci włosy.

— Jak to niegodziwie, jak szkaradnie z twojej strony! — napominała ją, pozornie poprawiając jej włosy. — Dlaczego tak obmawiasz liżę? Po raz pierwszy dzisiaj widzisz tego pana i odsłaniasz mu wszystkie nasze tajemnice. Chciałabyś, żeby biedna liza została wyśmiana?

Greta przelęknęła się. To jej nie przyszło do głowy. Dała się znów porwać gadulstwu i popełniła taką niedorzeczność.

Zasmucona bardzo i zgnębiona powróciła w koło tańczących. Powzięła stałe postanowienie, żeby na przyszłość być ostrożniejszą, ale będzie ono trwałe? Nie tak łatwo powściągnąć gadatliwy język!

Panna Rajmar przestrzegąca surowo, aby, oprócz tańca, do żadnej bliższej poufałości nie doszło z gimnazjalistami. Nieubłagana była na tym punkcie. Nie mogła jednak zapobiec przypadkowemu a jednak codziennemu spotykaniu się na przechadzkach. Nie mogła pojąć, jakim sposobem wiedzieli, w którą stronę poprowadzi swoje wychowanki. Dziś szła z nimi do parku, jutro w jakąś boczną dolinę, pojutrze

149

na górę — wszędzie i zawsze wychylały się przed nią uczniowskie czapki, nie mogła ujść przed nimi. Rozwiązanie tej zagadki było bardzo proste: zdrady dokonywały przyjezdne uczennice. One pośredniczyły pomiędzy swymi braćmi, kuzynami, znajomymi a pensjonarkami. Przemycaly ukłony, poezje, nawet fotografie, a Flora użyła tej drogi, ażeby album swój posłać panom z prośbą, żeby każdy z nich zapisał w nim wiersz własnej kompozycji. Dnia jednego, jakoś pod koniec lekcji tańca, Nelly otrzymała zapieczętowany bilecik. Po lekcji pobiegła na górę do swego pokoju, gdzie zastała lizę i otworzyła list.

— Jakież to niedorzeczne! — wykrzyknęła, czerwieniąc się. — Jak śmie ten głupi chłopak przemawiać do mnie tak zuchwale! Nigdy nie dałam mu do tego powodu! — I podarła bilecik. liza nie zdążyła jeszcze wypowiedzieć swego zdania o tym wypadku, gdy wpadła Melania uradowana, promieniejąca.

— Dzieci! — zawołała przyciszonym głosem. — Coś wam powiem, ale żebyście mnie nie zdradziły! Przysięgnijcie, że nic nie powiecie nikomu, nikomu! Ty również, Greto — zwróciła się do wchodzącej siostry.

Rozumie się, że w niezwykłym wzruszeniu nie czekała na wykonanie przysięgi, tajemniczo zamknęła drzwi na zasuwkę i, obejrzawszy się jeszcze dokoła, wyjęła z kieszeni liścik, i czytała drżącym głosem:

Łaskawa Pani! W mocy Pani uczynić mnie najszczęśliwszym ze śmiertelników, a to obdarzając mnie swoją fotografią! Prośba moja śmiała jest, wiem o tym, ale Pani przebaczysz mi wspaniałomyślnie to zuchwalstwo, jeżeli Ci wyznam, że najgorętszym życzeniem mego serca jest wpatrywać się godzinami, dniami całymi w precudne, klasyczne rysy Pani i móc je uwielbiać. Czy mogę liczyć na łaskę Pani?

Jerzy Brajtner

150

Nelly pozbięrała z podłogi papierki i ułożyła je na swojej komodzie, po czym przeczytała głośno ów list do siebie napisany. Autor był ten sam, taką samą prośbę do niej zaniósł, wyrazy tylko ułożył trochę inaczej, a także rysy Nelly nazwał „zachwycającymi” zamiast „klasycznymi”.

151

Odkrycie to zepchnęło promieniejącą Melanię z wyżyny marzeń i zwycięstwa! Przez chwilę milczała, patrząc na Nelly.

— Cóż my zrobimy, Nelly? — zapytała w końcu. — Nie możemy przecież odmówić prośbie pana Brajtnera!

— Ty nie dasz swojej fotografii! — wybuchnęła Greta, powodowana także trochę i zazdrością wobec o wiele ładniejszej od siebie siostry. — Nie dasz! Ja na to nie pozwolę, inaczej zaraz napiszę do ojca!

— Ciebie nie pytałam o radę! — krótko odparła Melania — Nelly, co o tym sądzisz?

— Ależ, Melanio! — oburzyła się liza. — Jak ty możesz choćby chwilkę się namyślać. Nie możesz przecież posłać swojej fotografii mężczyźnie zupełnie ci obcemu, a który przy tym nie jest porządnym mężczyzną! On chce cię wyśmiać i nic więcej!

— Bredzisz bez sensu, kochana sielska prostoto! — odrzekła podrażniona Melania. — Co rozumiesz pod „porządnym mężczyzną”?

— Porządnym mężczyzną jest ten, który nie chodzi już do szkoły i nie siedzi w ławkach szkolnych! — wyjaśniła liza. — Pan Jerzy Brajtner weźmie twoją fotografię do klasy i panowie uczniowie będą ją podziwiać. Dopiero hańbą się okryjesz!

— Nelly, czemu ty milczysz? — zwróciła się do niej Melania, a głos jej stał się cichszy, stracił poprzednią swoją pewność. — Mówże, co mamy zrobić?

— O, nic! — odrzekła Nelly sucho. — Będziemy postępowały tak, jakbyśmy nie odebrały tych głupich listów.

— A jeżeli się zapyta? Co mu odpowiemy, Nelly?

— O, także nic. Wzruszymy ramionami i milczeć będziemy. To się nazywa ukarać lekceważeniem! Postanowienie to wcale nie trafiło do przekona-

152

nia Melanii. Ona tak chętnie byłaby posłała swoją „klasyczną podobiznę”. A jednak musiała się poddać konieczności. I po co on prosił o „uroczy portret” Nelly?

— Macie straszliwie czcze pojęcia! — wyrzekła szyderczo i opuściła pokój.

Jvu końcowi zbliżały się już lekcje tańca. „Niestety!” wzdychała młodzież. Panna Rajmar tymczasem z upragnieniem wyglądała tego dnia, bo jakkolwiek chętnie podejmowała trud dla zrobienia jakiejś przyjemności swoim wychowankom, to jednak tęskniła za powrotem do spokoju i życia regularnego, tym bardziej że wiedziała z doświadczenia, iż zabawa pochłania całą myśl młodzieży, rodzi roztargnienie i przez to staje się ważną przeszkodą w nauce.

Zakończenie i punkt kulminacyjny stanowił coroczny bal, który właśnie miał się odbyć jutro, w sobotę.

„Bal!” tak górnolotnie tytułowały uczennice małą właściwie zabawę. Do zwykłego kółka zaproszono jeszcze kilka osób, orkiestra ograniczała się na drugich skrzypkach, do herbaty i kanapek dodano lekki poncz z ciastem i dziewczęta przywdziały lepsze sukienki. To wszystko! Ale wielka sala miała wygląd uroczysty, o to dbała zawsze panna Rajmar. Starła się rozbudzać poczucie piękna w swoich młodych wychowankach, ażeby kiedyś umiały każdej, najmniejszej nawet uroczystości nadać piętno artystyczne.

Właśnie wskazywała ogrodnikowi, gdzie ma ustawiać jodły, rano przyniesione z lasu, ażeby łącznie z doniczkowymi kwitnącymi roślinami tworzyły malownicze grupy. Załatwiwszy się z tą robotą, przybijał do ściany, pomiędzy

153

ściennymi lustrami, półeczki pąsowo pomalowane — na nich ustawiano bujne, zwieszające się rośliny doniczkowe. Świecznik staroświecki również przybrany był zielenią, co wieczorem, kiedy świece były pozapalane, uroczy przedstawiało widok.

Gdy wszystko było gotowe, przełożona raz jeszcze rzuciła okiem na salon i wyszła zadowolona. Ruch niezwykły panował wśród dziewcząt. Ten pierwszy bal ogarnął w zupełności wszystkie ich myśli i uczucia. Niektóre co chwila przybiegały oglądać woniejące swoje suknie, inne na różne sposoby układały sobie włosy (wyłącznie w tym zamiłowana była Flora). Jeszcze inne przymierzały suknie, dla upewnienia się, czy wszystko jest dobrze, jak mówiła Nelly; właśnie bowiem liza i ona odebrały od krawcowej sukienki z materiału otrzymanego na gwiazdkę. Gdy stały obie ubrane, do pokoju wpadła Lili wołając radośnie:

— I ja idę z wami na bal! Pani mi pozwoliła. Wezmę moją białą sukienkę i szarfę pąsową — i tańczyć będę z wami! Och, jak ja się cieszę tym jutrem!

Obydwoma rączkami ujęła fartuszek i zgrabnie i z wdziękiem tańczyła po pokoju.

Ściemniało się już i mała nie dostrzegła, jak wystrojone były liza i Nelly. Gdy Nelly zapaliła świece, stanęła zdumiona, spoglądając to na jedną, to na drugą.

— Jakże wy piękne! — zawołała i ze złożonymi rączkami, z wyrazem uwielbienia patrzyła na obie.

— Wiesz co, lizo — mówiła dalej, ożywiona — wyglądasz zupełnie jak królewna! Ja cię wprowadzę dzisiaj do sali, proszę cię o to bardzo!

liza pochwyciła swoją piśszczotkę na rękę i ucałowała serdecznie.

— Taka jesteś gorąca, Lili — mówiła, przykładając dłoń do czoła i twarzyczki dziecka. — Co ci jest?

— Głowa boli mnie troszeczkę — odrzekła Lili —

154

ale nie bardzo, doprawdy, nie bardzo — zapewniała, widząc, że liza patrzy na nią niespokojna. — Jutro nie będzie mnie bolała, jutro pójdę z wami na bal, o, pójdę z pewnością! I ciebie też wezmę — dodała, zwracając się do swojej lalki, której dała imię lizy. — Ale musisz być grzeczna, bo inaczej

pójdiesz do łóżeczka!

A jednak z potęgami losu

Nie można zawierać związku wieczystego

A nieszczęście kroczy szybko.

W tydzień potem zapisywała Flora te smutne wyrazy w swoim dzienniku.

Nazajutrz rano Lili rozgorączkowana leżała w swoim łóżeczku. Przywołany doktor stał z czołem namarszczo-nym. „Ma silną gorączkę” — mówił i kazał kłaść na główkę okłady z lodu i zmieniać je co pół godziny. Tak żywa zwykle dziecina cicha była i nieprzytomna.

Panna Gussow, stroskana siedziała przy łóżeczku chorej, która usnęła przed chwilą. Uspokajała ją przełożona, sądząc, że to gorączka przeziębieniowa, często zdarzająca się u dzieci.

Młoda nauczycielka niedowierzająco potrząsała głową.

— Gdyby choć tego balu dziś nie było — rzekła, wzdychając. — Niepokój w domu i dziecko chore, jak to będzie? A gdybyśmy odłożyły tę zabawę?

— Zbyt czarno zapatruje się pani na to. Hałas przeszkadzać Lili nie będzie — jak z frontowej części domu miałyby dojść tu, aż do tego cichego pokoiku? Niech pani pomyśli, jak bardzo cieszyły się dzieci na ten wieczór dzisiejszy, byłoby to prawie okrucieństwem pozbawiać je tej uciechy! Nie widzę jeszcze żadnego niebezpieczeństwa, bal więc spokojnie może się odbyć.

— Bal — powtórzyła Lili, która przebudziła się i posłyszała ten wyraz — ja będę tańczyła! Niech mnie pani ubierze! Proszę, niech mi pani pozwoli tańczyć!

155

Panna Gussow porozumiała się wzrokiem z przełożoną, która pojęła teraz, jak bardzo chora była dziewczynka, która majaczyła.

Nie przestraszało jej to przecież. Zbliżyła się do łóżka Lili i ujęła ją za rączkę.

— Ależ to dzień jeszcze, Lili — mówiła głosem miękkim. — Czy nie widzisz, jak słońce świeci? Tańczyć będziesz wieczorem, teraz trochę za wcześnie. Połóż się i śpij; jak się obudzisz, będziesz zdrowa i ubierzesz się w swoją haftowaną sukienkę.

— Świeci kochane słońeczko — powtórzyła, jakby ze snu się budząc i zmęczone oczy podniosła ku oknu. Potem przyłożyła dłoń do czoła i mówiła cicho: — Ach, Boże, pani, mnie tak głowa boli!

— To minie, dziecko, zażywaj tylko grzecznie lekarstwo.

Ucałowała Lili i zapewniała przelekką nauczycielkę, że majaczenie u małych dzieci nie ma żadnego znaczenia, że przy żywym temperamencie przychodzi to nawet w zwyczajnej gorączce przeziębieniowej.

Zdawało się, że miała słusność. Lili zasnęła około południa. Gorączka spadła trochę, panna Gussow odetchnęła lżej. Gdy przyszła liza i smutnym głosem spytała, jak się ma Lili, skinęła jej głową z uśmiechem i szepnęła:

— Śpi, zdaje się, że się polepszyło.

liza udzieliła tej radosnej wiadomości przyjaciółkom, które bardzo się niepokoiły o małą pieszczotkę, i wprowadziła je znów w dobry humor. Flora tylko pozostała przy złowrogich swoich przecuciach.

— Mój głos wewnętrzny nie zawodzi mnie nigdy! Czuję, że śmierć zerwie ten pączek delikatny — mówiła tonem tragicznym, wkładając balowe pantofle; wyciągnęła nogę i z uśmiechem zadowolenia przyglądała się strojnemu obuwiu. Nie przejmowała się zbytecznie swymi smutnymi przecuciami.

156

Tymczasem owo polepszenie u Lili było, niestety, zwodnicze. Leżała w silnej gorączce, podczas gdy dziewczęta wesole i szczęśliwe stroiły się na bal.

Panna Gussow czuwała przy niej i stanowczo oświadczyła, że nie odstąpi od jej łóżka. Na życzenie panny Rajmar zatajono chwilowo pogorszenie się choroby; nie chciała psuć uciechy swoich wychowanek, bo w rzeczywistości, nie wpłynęłoby to nic na przebieg rzeczy. Tak więc młoda nauczycielka sama pozostała w pokoju chorej. Dochodził ją gwar i odgłos kroków z frontowej części domu, czasem śmiech zadźwięczał nad uchem, w końcu posłyszała przytłumione takty poloneza.

— lizo, chodź! — nagle zawołała Lili. Panna Gussow zadrżała. — lizo, proszę cię, proszę cię, chodź. Zaprowadzę cię do sali, chodź! Zaprowadzę cię do sali, chodź! — Usiadła na łóżeczku i usiłowała wyskoczyć.

Panna Gussow objęła gorączkujące dziecko i chciała je położyć, lecz Lili odepchnęła ją.

— Idź sobie! — zawołała. — Tyś nie królewna, nie jesteś ubrana w piękną sukienkę! lizo! lizo! Chodź!

Przestrach drżał w jej głosie, osłupiałym wzrokiem wpatrywała się w swoją opiekunkę.

— Jak spokojnie leżeć będziesz, to liza przyjdzie — uspokajała panna Gussow, a głos jej zamierał w gardle, taka ją ogarniała obawa. — Uspokój się, maleńka moja! Połóż się cichutko, o, tak. — I łagodną przemocą kładła na poduszkę ciągle jeszcze zrywającą się Lili.

— Cichutko — powtarzało dziecko bezwiednie. — Chodź, lizo! Cichutko!

Panna Gussow pociągnęła za sznurek od dzwonka, po chwili zjawiała się kucharka. Ona jedna tylko mogła usłyszeć dzwonek, reszta służby zajęta była we frontowej części domu.

— Idź, poproś pannę lizę, a potem jak najprędzej sprowadź doktora — powiedziała półgłosem. — Dziecko

157

jest bardzo chore. Ale sprawuj się cicho, Basiu, nie mów nic nikomu.

— A jak mnie panna Rajmar zapyta, to przecież muszę jej powiedzieć — zauważyła flegmatyczna nieco Basia.

— Nie zapyta, jeżeli sprawisz się sprytnie. Spiesz się tylko, proszę cię.

Przypadek przyszedł z pomocą Basi. Gdy się zbliżała do sali, otworzyły się drzwi tejże — Uza i Nelly, trzymając się pod rękę, wychodziły na korytarz, z twarzami pałającymi, śmiejąc się i rozmawiając wesoło.

Kucharka skinęła na nie tajemniczo.

— Panno lizo — rzekła — niech panienka zaraz idzie do panny Gussow.

— Co się stało, Basiu? — jednocześnie zapytały obie panienki.

— Nic się nie stało, ale dziecko jest słabsze, natychmiast mam sprowadzić doktora. Nikt nie ma o tym wiedzieć, niech panienki nikomu nie mówią. Niech się panienki nie boją — dodała, widząc przestraszone ich twarze — to nie idzie tak prędko z takimi małymi dziećmi. Ale muszę lecieć! — I jak kula zsunęła się ze schodów i wybiegła z domu.

— Ja pójdę z tobą! — zawołała Nelly, lecz liza na to nie pozwoliła.

— Ty, Nelly, musisz wrócić do salonu — stanowczo zdecydowała liza — bo to zwróci uwagę, jak nas nie będzie obydwóch. Ja sama pójdę i niedługo zawiadomię cię, co się dzieje.

Nelly, smutna, ścigała wzrokiem przyjaciółkę i powróciła do jasno oświetlonej sali. Ciężko zrobiło się jej na sercu, gdy popatrzyła dokoła na tych ludzi uszczęśliwionych, wesołych — lzy napełniły jej oczy.

Żeby nikt nie zobaczył jej zasmuconej twarzy, ukryła się niepostrzeżenie za grupą jodeł. Ktoś jednak ją zauważył, był to doktor Althoff. Gdy ujrzał ją wchodzącą z tym

158

wyrazem niezwykłej powagi i zaraz potem ukrywającą się za drzewka, zbliżył się do niej powoli.

— Dlaczego szuka pani samotności, miss Nelly? — zapytał z serdecznym zainteresowaniem. — Czy ma pani jakieś zmartwienie?

— O, panie doktorze, ja się tak boję o dziecko! Basia przyszła po lizę i pobiegła teraz po doktora!

— I jej wesołe zwykle oczy spoglądały z obawą i smutkiem na młodego człowieka.

Doktorowi Althoffowi nigdy nie wydała się tak miła, jak w tej chwili.

Filuterna, wesoła Nelly, w pachnącej jasnyniebieskiej sukni, z wianuszkami stokrotek w złotych włosach, radowała serce jego przez cały wieczór, lecz Nelly smutna, zdradzająca tyle tkliwego uczucia, wprawiła go w zachwyt.

— Uspokój się pani — pocieszał — natychmiast pójdę do chorej i wrócę niebawem zawiadomić panią, jak się tam rzeczy mają.

Zapukał lekko, a gdy drzwi uchylił, oczom jego przedstawił się obraz wzruszający.

liza klęczała przy łóżeczku, głowa jej spoczywała przy główce Lili tak blisko, że brunatne jej

kędziory mieszały się z jasnymi puklami dziecka. Świeża pąsowa róża, jej jedyna ozdoba tego wieczoru, wypadła z włosów i na pół ogołocona z listków, leżała na podłodze. Panna Gussow kładła świeży okład z lodu na rozpaloną główkę dziecka.

Doktor Althoff nie pytał o nic, jedno spojrzenie na małą chorą wyjaśniło mu wszystko. Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami; rozpalone, drżące rączki niespokojnie chwyciły coś w powietrzu. Gdy liza chciała się podnieść, lęklonie uwiesiła się jej na szyi.

— Nie odchodź, zostań! Ty jesteś królowna! — mówiła w oderwanych wyrazach. — Tyś najpiękniejsza! Tańcz ze mną. Chodź!

159

Nowe zmiany zaszły w jej wyobraźni. liza przedstawiała jej się teraz jako gwiazdka.

— Najmilsza gwiazdeczko, masz złotą sukienkę, korona na twojej głowie, a jak się błyszczy!

Będziesz się ze mną bawiła — szeptała dalej z tajemniczym uśmiechem — poczekaj, ja przyjdę tam do ciebie, do kochanych aniołków! Idę, zabierz mnie ze sobą!

Zmęczona wysiłkiem opadła na poduszki.

liza była jakby sparaliżowana ze strachu. Po raz pierwszy w życiu znalazła się przy ciężko chorej, nic zatem dziwnego, że czuła się bezradna, prawie nieprzytomna. Objęła wpół pannę Giissow, pobladłą twarz ukryła na jej piersiach, wargi jej drżały.

— Niech pani wróci do sali — radził doktor Althoff i wziął ją za rękę. — Ja panią zaprowadzę, panno lizo.

Potrząsnęła głową.

— Zostanę tutaj — wyrzekła cicho, lecz stanowczo. — Lili nie opuszczę.

Rozkoszne dźwięki walca Straussa Nad pięknym, modrym Dunajem, poprzez cienie nocy przedzierały się nęcąco

160

do pokoju chorej, liza ani na chwilę jednak nie pomyślała o tym, żeby wrócić do zabawy, do wesołości. Całą jej duszę napełniało cierpienie jej ukochanej pieśniczki.

Chwilę jakąś Lili leżała cicho, z przymkniętymi oczami, lecz trwało to niedługo — zaczęła znów silniej jeszcze majaczyć. Już to wołała lizę, żeby z nią tańczyła, już to chciała się bawić z gwiazdką, w końcu cichutkim, zmęczonym głosem śpiewać zaczęła: „Przeleciał ptaszek”.

Jakie bolesne budził dziś uczucie ten śpiew dziecka, liza musiała się odwrócić, gorące łzy zalewały jej twarz, myślała, że serce jej pęknie z bólu.

— Przewiduję nieszczęście — mówiła panna Gussow głęboko wzruszona. — Gdyby już doktor przyszedł!

Nadszedł niedługo, jakkolwiek czas ten dla oczekujących wiekiem się wydawał. Przeląkł się, rzuciwszy wzrokiem na dziecko. Jak strasznie się zmieniło! Co się stało od wczoraj z tej kwitnącej, pełnej życia istotki! Okrągłe policzki zapadły się, wielkie czarne oczy z wyrazem osłupienia wpatrywały się w próżną przestrzeń. Ujął jej rączkę, wziął za puls, zdawała się tego nie spostrzegać i słabym głosem znów nucić zaczęła: „I nie troszczy się o mnie ani piesek...”

— Aj, aj! — zakrzyczała nagle i chwyciła się za główkę. — Kotek mnie gryzie! Pani, weź go stąd! Oj, boli!

Lekarz rozrobił proszek w szklance wody i jej podał. Nie chciała pić, dopiero na łagodne prośby lizy otworzyła usta. Po wypiciu uspokoiła się i popadła w półsen.

— Gdzie mieszkają rodzice małej? — zwrócił się doktor do panny Gussow. — Radzę zawiadomić ich bezzwłocznie o chorobie. Nie odpowiadam za następstwa. Mamy do czynienia ze złośliwym zapaleniem mózgu.

— Ma tylko matkę — odrzekł doktor Althoff i ofiarował się zawiadomić ją telegraficznie. Podług jego obliczenia mogła już tu przybyć wieczorem dnia następnego.

11 — Przekora

161

Przed wyjściem wrócił jeszcze do sali, ażeby oznajmić przełożonej zdanie lekarza. Nelly, która tańczyła właśnie kontredansa z panem Jerzym Brajtnerem i nie mogła opuścić koła, rzuciła na niego wzrok lęklony, badawczy, oczy ich spotkały się na jedną chwilę; poznała, że nic dobrego nie ma

jej do powiedzenia. Żeby się już raz skończył ten taniec! Mogłaby go zapytać... Ale on nie czekał na to, szybko opuścił salę i zostawił Nelly w przykrej niepewności. Czy się pogorszyło? Spokojne oblicze przełożonej wcale jej nie objaśniło, ten sam, co przedtem, spoczywał na nim uprzejmy uśmiech. Rozmawiała z gośćmi bez żadnego widocznego wzruszenia.

A przecież poruszona była do głębi, tylko że posiadała rzadką sztukę silnego panowania nad sobą. Po cóż przerywać zabawę przestraszonym i smutkiem? Za kwadrans tańce się skończą, dziewczęta pójdą spać, nie wiedząc, co się dzieje z chorą. Młodość potrzebuje snu, rozumowała, szczególnie po przetańczonych połowie nocy. Jeżeliby stan zdrowia Lili miał się pogorszyć, to i tak dosyć wcześnie dowiedzą się o tym jutro rano.

Zniknięcie lizy, które ogólną zwróciło uwagę, Nelly usprawiedliwiała we właściwy sobie sposób, odpowiadając pytającym:

— Ona zaraz wróci, głowa ją tylko trochę rozboleła.

Przełożonej wyznała prawdę w połowie. Tymczasem bal miał się ku końcowi, a liza nie wracała.

Przełożona poleciła dziewczętom, żeby cicho, bez hałasu udały się do swoich pokojów, panna Lead miała tego dopilnować, ale skoro tylko Angielka odeszła do swego pokoju, zbiegły się wszystkie na chwilkę do pokoiku Rózi, znajdującego się na końcu korytarza. Musiały przecież wymienić wzajemne swoje myśli i sądy, młode ich serca zbyt pełne były wrażeń po tak przepysznej zabawie.

162

Melania przyniosła swoje pachnące bukiety, które dostała w kotylionie i rozłożyła je na stole. Z tęskną radością patrzyła na bogaty zbiór.

— Ach — zawołała — jaka szkoda, że wszystko już przeszło!

— Wszystko, co piękne, przemija, pozostaje tylko wspomnienie! — dodała Flora sentencjonalnie.

I, mówiąc to, wpatrywała się w fotografię młodzieńca, którą ostrożnie i zręcznie ukryła w chusteczce do nosa. Była to podobizna Jerzego Brajtnera. On w zamian otrzymał jej obraz.

— Ach, dzieci, jak było cudnie! — wybuchnęła Anne-mia w nagłym natchnieniu. O, ile bym ja wam mogła naopowiadać!

— A ja! A ja! — zabrzmiało zewsząd.

— Zdumiałybyście się, gdybym wam wszystko opowiedziała! — z dumą zawołała Melania i oczy zalotnie wzniosła ku niebu. — Przeżyłam wiele! — W zapale za wysoko podniosła głos.

— Nie tak głośno, Melanio! — upomniała ją Rózia. — Idźmy spać — radziła z powagą Ola — bo jak zaczniecie opowiadać swoje przygody, to siedzieć tu będziemy do białego dnia.

— Jutro niedziela, możemy się wyspać! — wtrąciła Greta, palona ciekawością posłyszania tajemniczych, ważnych historii. — Ale gdzie są liza i Nelly? — przerwała sobie naraz, oglądając się wokoło. — lizy nie widziałam cały wieczór. Czy ją naprawdę boleła głowa? Chodźcie, podsuniemy się do nich cicho i zobaczymy.

Ale projekt ten, który ogólne znalazł uznanie, wykonany nie został. Zaledwie kilka kroków zrobiły na palcach, nagle, jak duch nocny, stanęła przed nimi miss Lead.

— Dokąd idziecie? — zapytała gniewnie. — Czy nie kazałam wam iść spać? Natychmiast kłaść się! A jutro przełożona dowie się o waszym nieposłuszeństwie!

163

Uciszyło się nareszcie w górnych pokojach. Gadatliwe usta zamilkły, powoli oczy zamknęły się do snu przyjemnego, a łaskawy bóg marzeń zaprowadził śpiące z powrotem do sali balowej. Raz jeszcze kazał zabrzmieć muzyce, a wesołe koło młodzieży znów wirowało w tańcu.

O, jak czcza jest rzeczywistość! Tym wykrzyknikiem Melania powitała dzień, przebudziwszy się nazajutrz.

W pokoju chorej nie myślano o śnie, a tym mniej o rozkosznych marzeniach. Smutek tam panował. Lili nie rzuciła się już wprawdzie, leżała jednak nieprzytomna. Gorączka wciąż się wzmagала.

Doktor wyraził przełożonej swoje obawy. liza płakała cicho, nie mogła zapanować nad sobą.

— Idź spać, lizo — rzekła panna Rajmar łagodnie. — Dłużej tu zostać nie możesz.

Lekarz poparł ją energicznie i pomimo błagalnej prośby w oczach dziewczęcia, przełożona nie cofnęła rozkazu.

— Dobre jesteś dziecko — mówiła miękko, a w głosie jej dźwięczały powstrzymywane łzy — ale

nie mogę spełnić twego życzenia. Twoje zdrowie mogłoby na tym ucierpieć. Dziecku także nic nie pomożesz, patrz, nie poznaje cię. Nikogo nie poznaje!

Nim wyszła, liza raz jeszcze cicho i nieśmiało przysunęła się do łóżeczka Lili. Drżąca ujęła maleńką, rozpaloną rączkę, pochyliła się i wycisnęła na niej serdeczny pocałunek.

— Dobranoc, kochanie moje — szepnęła — dobranoc! Przeciąglým wzrokiem żegnała jeszcze ukochaną dziecinę. Czowała to, że ją żegna na zawsze. Potem odeszła szybko,

164

chusteczką przycisnęła usta, żeby nie zakrzyknąć głośno wielkim bólem.

Na dworze, przy drzwiach stała Nelly. Nie spostrzeżona poszła za przełożoną i czekała tu na przyjaciółkę, liza rzuciła jej się na szyję, a Nelly objęła ją wpół i niepocieszoną zaprowadziła na górę. liza padła na łóżko, ukryła twarz w poduszki i płakała głośno.

— Czy taka bardzo chora? — pytała Nelly.

— Ona umiera, Nelly! — załkała liza. — Pieszczotka nasza maleńka, nasza dziecinka umiera!

Nelly zbladła, drżała na całym ciele, słowa wymówić nie mogła. Ona boleści swojej nie objawiała głośnym płaczem, jak gwałtowna liza. Było to zupełnie naturalne, liza dotąd nie spotkała się oko w oko ze smutkiem i cierpieniem. Jej wesołe dziecinne lata podobne były do dnia majowego, niezaciemnionego żadną chmurką na błękitnym niebie. Jakże inaczej było z Nelly. Niejeden cień zachmurzył już jej młode życie. Matki nie znała wcale, opłakała już śmierć ojca, który odumarł ją tak młodo!

Cicho usiadła na brzegu łóżka przyjaciółki i ujęła jej rękę.

— Podnieś się — mówiła głosem niepewnym. — Ty także zachorujesz, jeżeli tak gwałtownie przejmować się będziesz. Choćbyśmy się na śmierć zapłakały, to nie wrócimy zdrowia biednej naszej maleńkiej. Jeżeli Bóg powiedział: „Ja chcę tego aniołka wziąć do siebie!”, cóż my możemy na to poradzić? lizo, to nie strasznie umierać małym dzieckiem! Kto wie, może jaki smutny los czekał naszą Lili? Czyż to nie lepiej umrzeć? Jaka bym ja była szczęśliwa, gdyby Bóg był mnie zabrał do siebie maleńką!

Jakie to smutne były słowa! liza całym uczuciem litości zwróciła się teraz ku jedynej swej przyjaciółce. Nic nie odpowiedziała, ale podniosła się i przycisnęła ją do

165

siebie serdecznie. I obie młode dziewczyny, w swoich pachnących sukniach balowych, które przywdziały do zabawy i uciechy, zawarły w tej poważnej i bolesnej chwili związek przyjaźni na całe życie. Księżyc wysunął się zza ciemnej chmury i bladymi swymi promieniami oświecił miłe, zalane łzami twarzyczki dwóch przyjaciółek, jak skropione rosą dwie róże, które wyrosły na jednej łodydze.

ISmutna była niedziela po balu. Kiedy młode grono, pełne jeszcze wspomnień wesołych, siedziało przy kawie, weszła panna Giissow. Na jej widok zamilkł wesoły gwar; twarz jej blada i oczy zapłakane nie zwiastowały nic dobrego. liza i Nelly w jednej chwili znalazły się przy niej; dotąd stały obie na uboczu — niepodobna im było brać udział w ogólnej wesołości.

— Lepiej? — pytała liza głosem nadziei i obawy. Oczy młodej nauczycielki łzami się napełniły.

— Nie — odrzekła — nie jest lepiej. Choroba się wzmożła i musicie się przygotować na najgorsze. Mówię wam to, dzieci, żebyście nie bardzo się przeraziły, gdy... Nie mogła dokończyć, łzy głos jej zdusiły.

Chwilowo zapanowała cisza. Gdy jednak liza głośno łkać zaczęła, podniósł się ogólny płacz i wyrzekanie. Ani jedno oko nie pozostało suche na myśl, że przyjdzie im utracić na zawsze, ukochaną wszystkich pieszczotkę.

Panna Giissow wyszła, a za nią pospieszyła Uza.

— Pozwól mi pani iść do niej — prosiła, błagalnie wznosząc ręce.

Nie mogła spełnić jej życzenia.

— Nie możesz widzieć jej, lizo — odrzekła stanowczo. — Zmieniła się tak bardzo, że w żywej twojej

166

wyobraźni na długi czas utkwilby ten smutny obraz. To już zaledwie cień owego ślicznego,

wesołego dziecka.

Uściskała niepokieszoną lizę i wróciła do pokoju chorej, u której pozostała panna Rajmar, od północy.

liza powróciła do sali jadalnej. Zastała tu już pannę Lead, wybierającą się do kościoła, z książką do nabożeństwa w ręce. Wołała, żeby się spieszyły, bo już było późno.

— Ja dziś nie mogę pani towarzyszyć, miss Lead — mówiła Ola, którą zmogło uczucie. Pomimo znanego swego, niezwykłego hartu duszy, w tej chwili płakała gwałtownie. — Nie mogę! — powtórzyła.

— Ja także nie! I ja nie! — podniosły się inne głosy. Nawet Rózia, owa zawsze łagodna i zgadzająca się

z przeznaczeniem Rózia, prosiła o pozwolenie pozostania.

— Taka jestem wzruszona — dodała — że nie mogłabym z uwagą słuchać kazania.

— Nie pojmuję was! — zawołała Angielka, patrząc na nie zdumiona. — Czy dom Boży nie jest najodpowiedniejszym miejscem dla serca udęczonego? Czyż nie mówi Pan: „Pójdźcie do mnie wszyscy, którzy udęczeni i obciążeni jesteście, a ja was orzeźwię!” Ja pójdę i modlić się będę za chorą, może mnie Bóg wysłucha.

Poszła, a z nią Angielki. One podzielały w zupełności surowe religijne zapatrywania swojej nauczycielki. Tylko Nelly została. Nie dlatego, żeby była mniej religijna — o nie! Miała ona dziecięcą głęboką wiarę, ale miała także pełne uczucia, gorące serce. Byłoby dla niej niepodobieństwem opuszczać dom, który na czas jakiś stał się jej domem rodzinnym, w chwili, gdy anioł śmierci unosił się nad nim i w każdym momencie zagrażał wtargnięciem.

— Ja również modlić się będę — mówiła cicho, jakby do siebie.

I usunęła się w głąb pokoju, uklękła, złożone ręce położyła na krześle i oparła na nich głowę. W tej pobożnej

167

postawie przetrwała czas długi, z głębi duszy, gorąco wołała do Boga, ażeby ocalił życie dzieciny. Ale inaczej zapisane było w niebie. Pod wieczór przelożona gwałtownym ruchem otworzyła obie połowy okna w pokoju chorej. Lili już nie żyła.

Anioł śmierci złożył łagodny pocałunek na jej czole i uniósł ją w krainę cieni. Leżała jak nieznające troski, uśpione dziecko. Znikł gdzieś wyraz bólu z jej twarzyczki, a na półotwartych ustach uśmiech osiadł spokojny.

Obie nauczycielki stały milczące, z załamanymi rękami nad łóżkiem umarłej i oczu nie mogły odwrócić. Zachodzące słońce różowym blaskiem oświeciło jej postać, a na okrytej już pączkami jabłoni przed oknem szpak wyśpiewywał swoją pieśń wieczorną — tam budzące się życie wiosny, tu młodziuchny pączek ludzki, zerwany, nim rozwinął się w kwiat.

— Tak wcześnie i pośród obcych musiałaś umierać, biedna dziecino! — przerwała panna Gussow uroczystą ciszę.

— Ona czuła się szczęśliwa pośród nas i jakby u siebie — odrzekła panna Rajmar głęboko wzruszona. — Rodzinny jej dom stał jej się zupełnie obcy. Ani razu nie wołała matki. Jak śpi spokojnie, zdaje się, że żyje, oddycha. O, ona szczęśliwa! — Pochyliła się nad umarłą i złożyła pocałunek na zimnym jej czole. — Śpij spokojnie, drogie dziecko! Miła byłaś Bogu i powołał cię do siebie!

Panna Rajmar położyła rękę na ramieniu panny Gussow.

— Nie poddawaj się pani boleści; pozostaje nam ciężkie zadanie oznajmić dzieciom tę bolesną wiadomość. Jak najspokojniej powiedzieć im to musimy, ażeby nie oddziałać zbyt gwałtownie na umysły i tak już wzruszone.

168

Mimo wszystko wrażenie było piorunujące. Szczególnie liza rozpaczała bez granic. Zdawało jej się, że musi umrzeć. Nigdy jeszcze nie czuła się tak nieszczęśliwa, jak pierwszej nocy po śmierci Lili, nawet w owej chwili, kiedy widziała powóz uwożący ukochanego ojca i kiedy sama jedna, obca i opuszczona, stała przed furką tego domu.

Wysoką usypano mogiłą. Lili spała pośród fiołków i pierwiosnków; mała trumienka zasypana

była tymi cudnymi dziećmi wiosny. Wszyscy, którzy znali maleńką, boleli nad jej stratą, a nieobecność matki na pogrzebie tym przykrzejsze budziła uczucie. W dniu śmierci Lilii nadszedł od niej telegram, którym zawiadomiła, że dopiero we wtorek wieczorem może przybyć. Niepodobna przyjechać wcześniej, gdyż w poniedziałek gra główną rolę w nowej sztuce. Kiedy tego samego dnia zawiadomiono ją o śmierci jej dziecka, odpisała odwrotną pocztą, wypełniając list skargami i wyrzekaniem, ale nie przyjechała. Przesłała kosztowne kwiaty i prosiła przełożoną, żeby kazała postawić na grobie dziecka pomnik, przedstawiający klęczącego aniołka, a na podstawie miał być wyryty złotymi literami napis: „Drogie dziecko, módl się za mnie”.

Było zatem wszystko, co potrzebne dla świata, dla oka ludzkiego, brakowało tylko serca.

— Moja mama przyjechałaby, gdyby jej doniesiono, że jestem chora niebezpiecznie — zauważyła Uza, gdy Nelly czytała list od jej matki, pełen serdecznej pociechy.

— O, z pewnością, z końca świata spieszyłaby do ciebie! — żywo przyświadczyła Nelly.

— A przecież nie jest nawet moją prawdziwą matką — mówiła zamyślona liza. — Ach, Nelly, ile ja ją nadęczyłam! Czy sądzisz, że może mi przebaczyć?

169

Serce lizy tak zmiękło, nabrała takiej wrażliwości przez ten ból przebyty! Jakiś duch prawdy, duch poświęcenia przebiegł całą jej istotę. Dotąd nigdy nie przyszły jej podobne myśli, a choćby i przyszły przypadkiem, to nie zostałyby przyjęte. Dziś było inaczej, dziś czuła dziwną potrzebę wypowiedzieć się niejako przed przyjaciółką i oskarżyć.

— O, nie martw się tym, dziecko. Twoja matka ma takie kochające serce — ani w jednym zakątku nie widać tam gniewu na ciebie. Ona ci wszystko przebaczy. W domu byłaś nieznośnym jeszcze, niemądrym dzieciakiem, podczas gdy dziś to zupełnie co innego, dziś jesteś bardzo rozsądną młodą osobą.

— Czy ty serio mówisz, Nelly? — pytała liza z niedowierzaniem i patrzyła na przyjaciółkę swymi wielkimi dziecinnymi oczami.

— Mówię zupełnie serio i dam ci dobrą radę: napisz do matki długi, serdeczny list i proś ją o przebaczenie.

liza namyślała się przez chwilę.

— Masz słuszność, Nelly — odrzekła przekonana. — Muszę do niej napisać, winna jej to jestem.

Zrobię to dziś jeszcze! Żeby mi tylko jak najprędzej odpowiedziała! Niepokoić się będę!

Usiadła przy stoliku, przygotowała papier, pochwyciła pióro, gdy wtem drzwi się otworzyły, weszła Flora promieniejąca.

— Muszę wam przeczytać najnowszą moją poezję! — wołała już od progu. — To najlepszy ze wszystkich moich utworów! Słuchajcie!

I rozłożyła gruby zeszyt, w którym opiewała śmierć Lilii w najprzeróżniejszych formach poetyckich.

Elegia na śmierć pączka róży, złamanego przez burzę!

Zaczęła czytać.

Nelly zasłoniła sobie uszy.

170

— Cicho bądź! Ja nie chcę słuchać twoich głupstw! Proszę cię, nie irytuj mnie!

Tak samo przyjęła ją liza.

— Daj nam spokój, Floro — powiedziała. — Za smutne jesteśmy jeszcze, ażeby się śmiać, a ty wiesz, że wszystkie twoje poezje pobudzają nas do wesołości.

Głęboko dotknięta Flora zamknęła swój zeszyt, na którego okładce z daleka można było przeczytać tytuł, nakreślony dużymi literami: „Flory pienia żaloszne!”

— Wcale nie rozumiecie wzniosłej sztuki poetyckiej! Och, żeby już jak najprędzej nadeszła ta Wielkanoc! Jakżeż serdecznie podziękuję Panu Bogu, że będę mogła już raz wyrwać się z tego domu prozaicznego!

Opuściła niewdzięczne i wyszukała sobie Rózię. Gdy nikt podziwiać nie chciał jej poezji, w niej znajdowała zawsze cierpliwą słuchaczkę.

— Przyznać trzeba, że ona nie jest w stanie zrozumieć tego dokładnie — mówiła Flora z głębokim

westchnieniem.

List do matki został posłany. Tydzień upłynął, a odpowiedzi nie było. liza niepokoiła się i smuciła. Nelly, sama jedna tylko wtajemniczona w tę sprawę, pocieszała ją.

— Przecież wieki jeszcze nie przeszły od czasu, jak napisałaś! — mówiła. — Tobie się to wydaje tak długo, bo wciąż o tym myślisz. Założyłabym się, że dzisiaj dostaniesz łokciowy list. Mam przecucie!

I rzeczywiście, przecucie Nelly (jakkolwiek, naprawdę, wcale go nie miała) ziściło się. Przyszedł list do lizy.

— Chodź, lizo, do mego pokoju, mam ci coś powiedzieć. — Tymi słowami przywitała ją panna Rajmar, gdy właśnie wróciła z kościoła.

Dziewczyna szła za nią z bijącym sercem, łamiąc sobie głowę, co przełożona ma jej do powiedzenia.

— Przed chwilą otrzymałam list od twego ojca, w którym mnie prosi, żebym ci oznajmiła bardzo radosną nowinę. Nie domyślasz się, co to być może?

171

— Nie — odrzekła liza i pytający wzrok wlepili w oblicze przełożonej.

— Przybył ci braciszek. Masz, czytaj sama. Ojciec przysłał oddzielny list dla ciebie.

172

Lecz liza w tej chwili nie była w stanie czytać. Niespodziewana wiadomość niezmiernie ją ucieszyła i wzruszyła. Krew uderzyła jej do twarzy, poskoczyła do panny Rajmar, rzuciła jej się na szyję i pocałowała ją. Musiała podzielić się z kimś swoją szaloną radością.

Oprzytomniawszy, zawstydzona się swojego postępu. Jak mogła zapomnieć o uszanowaniu dla przełożonej i ścisnąć ją tak bez ceremonii.

— Przepraszam panią! — rzekła zmieszana, odstępując parę kroków.

Ale panna Rajmar nie dała jej dokończyć, raz jeszcze wzięła ją w swoje objęcia. Mówiła później do panny Gussow, że ta serdeczna radość lizy dała jej dowód, jak poczciwy w gruncie, jak szlachetny charakter ma to dziewczę. Z początku myślała, że jej dzikość i przekora nie dadzą się nigdy ujarzmić.

List do lizy był krótki i już przed kilkoma dniami napisany przez matkę. Ojciec siebie obwiniął o zwłokę: chciał się dopisać na liście i nie mógł znaleźć na to czasu.

— Przeczytaj naprzód, co ona pisze — mówiła Nelly, do której liza wpadła z krzykiem radosnym — czytaj naprzód, a potem pomówimy o malutkim.

liza czytała:

Moje drogie dziecię!

Ostatni twój list uszczęśliwił mnie niewymownie! Nie mogę się doczekać chwili, w której będzie mi wolno przycisnąć cię do serca i, ucałowawszy serdecznie, powiedzieć, że nigdy nie gniewałam się na ciebie. Dobrze o tym wiedziałam, że moja przekorka natrafi na drogę, która mi ją przywiedzie. Tylko nie martw się o przeszłe twoje drobne grzechy, od dawna już wiatry rozwiały je na wszystkie strony; myśl raczej o bliskiej przyszłości, która znów nas połączy i maluj ją sobie tak różowo, jak tylko starczy ci młoda twoja fantazja. Ja kocham cię bardzo, bardzo, całą moją duszą!

— Najserdeczniejsze uściśnienia przesyła ci

Twoja matka

173

A ojciec wczoraj dopisał naprędce:

Hurra! Mamy tęgiego chłopaka! Jedno tylko pozostaje nam życzenie, żeby go tobie, moja mała, pokazać jak najprędzej. Podobny jest do ciebie, ma takie wesołe, ciemne oczy jak ty! Jutro napiszę ci więcej.

— O! — wykrzykiwała liza, śmiejąc się, chociaż łzy błyszczały w jej oczach — czemu nie mogę tam być w tej chwili! Takie mnie ogarnia pragnienie zobaczyć znów mamę, ojca i malutkiego braciszka!

Całowała przy tym i ścisnęła Nelly, a gdy weszła panna Gussow, rzuciła się jej na szyję.

W szczęściu swoim byłaby chciała uściskać świat cały!

Po południu, kiedy przeszły pierwsze wybuchy radości, myśl lizy wróciła do umarłej Lili.

Wyrzucała sobie, że przez chwilę tak zupełnie mogła o niej zapomnieć!

— Chodź, Nelly — rzekła — zbieramy w ogrodzie fiołków, uplecemy wianuszek na grób Lili.

Panna Gussow pod wieczór poszła z przyjaciółkami na cichy cmentarz. liza przyklękła i złożyła wianek na świeżej mogile. Grób pokryty był jeszcze wieńcami z dnia pogrzebu, ale kwiaty umarły już także, a łagodny wiatr wieczorny igrał długimi wstęgami.

Dnie nadchodziły i przemijały, święta Wielkanocne zbliżały się szybko. Skończyły się już egzaminy, a rozdzielone świadectwa i cenzury budziły radość w jednych sercach, w drugich smutek, stosownie do tego, jak wypadły dla zainteresowanych. liza mogła być zadowolona. Z wyjątkiem paru przedmiotów, znakomite zrobiła postępy. Jej praca i pilność, jej zachowanie się, szczególnie od śmierci Lili, nie pozostawiają nic do życzenia. Tylko Angielka była innego zdania. Nie zmieniła swego pierwotnego o niej sądu, utrzymywała, że wzięcie miała trywialne, bez żadnego wdzięku, ganiła również angielską jej wymowę.

— Nic sobie z tego nie rób, lizo — pocieszała ją Nelly, gdy się znalazły same. — Bardzo już dobrze mówisz po

174

angielsku i wyrażasz się zawsze bardzo przyzwoicie. A patrz no, co mnie tu napisali — i zasmucona, pokazała przyjaciółce swoją cenzurę, a liza przeczytała: Uwaga szczególna: Nelly bardzo słabe robi postępy w języku niemieckim! — Nie jest to niesprawiedliwość? Ja tak usilnie pracuję nad tym waszym trudnym językiem.

Teraz na lizę przyszła kolej pocieszania. Przynęła, że odtąd nie przepuści jej żadnego błędu, Nelly natomiast co dzień całą godzinę miała z przyjaciółką mówić po angielsku.

Flora poruszona była do głębi: doktor Althoff dał jej dwójkę z literatury!

— I to mnie! — wykrzyknęła, skoro się tylko oddalił — mnie, która już od tak dawna pracuje na polu literackim! O, ale zadziwisz się, panie doktorze, zadziwisz się!

Tajemniczy ten wykrzyknik odnosił się do ostatniego jej dzieła. Wczoraj napisała ostatni wyraz i razem z liścikiem, na różowym papierze, podała do oceny nauczycielowi. Dodała na końcu, ze skromną pewnością siebie, że liczy na to, że dramat jej czarodziejski odegrany będzie na urodziny przełożonej. Jeżeliby pan doktor uznał za potrzebne jakieś małe zmiany, ona chętnie pójdzie za jego radą.

Minęło już kilka dni, a jeszcze żadnej nie otrzymała odpowiedzi. Czemu się on ociąga? Podobała mu się niezawodnie „Thea, bogini kwiatów”, o tym nie wątpiła. Całe jej życie skupiło się teraz w owym dramacie czarodziejskim, a wyobrażenia ukazywała wielkie powodzenie tej sztuki. Słyszała grzmiące oklaski widzów — wywoływano autorkę! Powoli ze spuszczonej oczami wystąpiła zza kulis. „Flora!” rozbrzmiewa ze wszystkich stron i pełne podziwu wszystkie oczy na nią się zwracają. Tak, dziwujcie się teraz, wy niewierni, wy, którzy nie poznaliście się na Florze. Teraz przekonała was, że jej geniusz poetycki nie

175

był obłudem! Skromnie, lecz ruchem pełnym godności kłania się na lewo i na prawo — z wciąż spuszczonej oczami. Stała przed zwierciadłem, żeby wystudiować pozę i ukłony. „Boginię kwiatów ja grać będę — marzyła dalej — naturalnie! Któż by wtajemniczył się tak w ducha tej roli, jak ja! Jak cudnie będzie mi w tym kostiumie! Szata z gazy srebrnej, przybrana różami, na głowie złota korona, długa zasłona pachnąca na rozpuszczonych włosach!”

Cała w marzeniach, rozplotła włosy i malowniczo rozrzuciła je na ramionach. Bezwiednie przyszły jej na myśl pierwsze strofy jej utworu i głośno, patetycznie deklamować zaczęła:

Kwiaty, wychodźcie z waszych kielichów. Ja chcę z wami poigrać! Spieszcie się, lube tulipany i goździki, Nie dajcie czekać waszej władczyni! Wychodźcie, wychodźcie!

Głośne stukanie do drzwi i hałaśliwe kołatanie klamką przerwało jej uniesienie. Słyszeć się dał zarazem głos Grety.

— Dlaczego zamykasz się na zasuwę? Otwieraj prędko, coś ci przynoszę!

Spiesznie spięła Flora włosy, odsunęła zasuwę i zapytała gniewnie:

— Czego chcesz?

Greta wskoczyła do pokoju i rozglądała się zdziwiona.

— Mówiłaś przecie głośno, z kim rozmawiałaś? Flora milczała. Zobaczyła swój rękopis w rękach Greta

i porwała go gwałtownie.

— Dawaj! Jakim sposobem masz mój zeszyt?

— Tylko, proszę cię, nie tak porywcz! — odparła Greta. — Co ci znów przyszło do głowy? To jest grzeczność z mojej strony, że ci go odnoszę. Doktor Althoff kazał ci go oddać.

176

— Dlaczego mnie nie kazał poprosić? Pewnieś się sama wkręciła, bo to twój zwyczaj. Zresztą, możesz już odejść, życzę sobie zostać sama!

Ale Greta nie miała chęci wyjść; weszła tajemnicę i musiała ją wprzód wydobyć.

— A ja wcale nie myślę się stąd oddalić! — rzekła, rozsiadając się wygodnie.

— Doprawdy, jesteś nieznośna! — gniewnie wykrzyknęła Flora i odwróciła się do niej plecami.

Nagle wpadła na pomysł. — Skoro koniecznie chcesz tu zostać, to siedź sobie, nic mi to nie szkodzi! — rzekła i szybko zwróciła się do drzwi.

Otworzyła je i wyszła, nim Greta zdążyła się podnieść. Zamknęła drzwi z trzaskiem i klucz przekreśliła i — ciekawa Greta była w więzieniu.

Szybkimi krokami biegła Flora przez ogród, pod drzewo marzeń. Przesunęła się pośród zwieszających się aż do ziemi gałęzi i rzuciła się na ławeczkę. Tu czuła się wolna od podglądania. Przycisnęła ręką bijące serce, drzenie przebiegło całą jej istotę. Jaki wyrok on wydał? Lękliwość ta jednak niedługo trwała, po chwili odzyskała zwykłą pewność siebie. Śmiało, ruchem zwycięzcy otworzyła zeszyt. Przede wszystkim szukała słów napisanych jego ręką. Przerzuciła kartkę po kartce i nic nie znalazła. Podniosła zeszyt w górę i potrząsała nim silnie, lecz oczekiwany list nie wypadł. Była zmieszana. Raz jeszcze z największą starannością przejrzała rękopis — nigdzie najmniejszej nawet notatki, najdrobniejszej uwagi. Chciała już odłożyć zeszyt z niechęcią, gdy spojrzenie jej padło na jeden wyraz, nakreślony ozdobnym, męskim pismem doktora Althoffa. Przeczytała i, jak złamana, pochyliła się w tył.

— To szkaradnie! — wyszeptaly jej drzące usta — niegodnie!

'2— Przekora

177

Oburzenie Flory było bardzo naturalne, bowiem owo słówko obalało ze szczętem przepyszne jej zamki napowietrzne. Brzmiało ono: „Gmatwanina!” Było to przypieczętowanie bezlitosnego wyroku śmierci na jej poemat.

Zacisnęła pięści w bezwładnym gniewie; poczuła nienawiść do człowieka, który był dotąd przedmiotem jej uwielbienia. Dlaczego nie dostrzegł jej geniuszu albo raczej, dlaczego nie mógł go uznać? Chciała biec do niego... natychmiast... niech się wytłumaczy, niech jej wyjaśni ten wyrok! Odrzuciła jednak ten zamiar, gdyż obawiała się, że zemdleje ze wzruszenia. A on nie zobaczy jej słabej... przenigdy! Chciała do niego napisać, i to zaraz!

Wyciągnęła notatnik z kieszeni i zaczęła burzliwy list. Zaledwie jednak nakreśliła kilka wierszy, gdy poprzez zielone gałęzie spostrzegła Gretę, biegnącą pędem prosto na nią. Zanim zdążyła wsunąć notatnik do kieszeni, Greta stała już przed nią.

Flora, zajęta jedynie listem, zapomniała o rękopisie, leżącym obok niej na ławeczce. Greta swoimi ciekawymi oczami odkryła go natychmiast. Jak ptak drapieżny rzuciła się na niego, pochwyciła i uciekła ze swą zdobyczą.

— Gzyg gzyg, panno Floro! — wykrzyknęła tryumfująco. — I tak wykryję twoje tajemnice. Teraz ty jesteś moim więźniem!

— Greta, oddaj! — wołała przestraszona Flora, biegnąc za nią. — Proszę cię, oddaj! Zrobię wszystko, co tylko zechcesz, tylko oddaj mi rękopis!

Greta pozostała głucha na jej błaganie. Śmiejąc się biegła dalej.

— Musisz mi zwrócić moją własność, ja tego żądam! — groźnie zawołała Flora, widząc, że dobrocią nic nie zrobi. — Rozkazuję ci!

Greta wybuchnęła głośnym śmiechem.

178

- Rozkazujesz mi? A to pyszne! — odkrzyknęła. — Doprawdy, straszliwie jesteś naiwna! Dobiegła już do domu, podczas gdy Flora daleko pozostała za nią w tyle. Greta, choć tłusta i niezgrabna, zwaawsza była od ociężałej nieco Flory.

Flora, widząc że jej nie dogoni, stanęła i zaczęła płakać. Wzrokiem prawdziwej rozpaczycy ściagała swoją krzywdzi-cielkę, gdyż teraz była zgubiona, wydana na żarty i szyderstwo koleżanek, przed którymi Greta ją zdradzi.

Stało się jednak inaczej. Greta, wbiegając po schodkach na korytarz, wpadła na doktora Althoffa. Nie widziała go, bo głowę miała zwróconą poza siebie. Potrząsając zeszytem w powietrzu, wołała jeszcze do biednej Flory:

— Teraz wykryję twoje tajemnice!

Jednym rzutem oka nauczyciel poznał, o co chodzi; nie miałby pod tym względem żadnej wątpliwości, choćby nawet Greta mniej przerażonym wzrokiem na niego patrzyła.

— Miała pani ten zeszyt oddać Florze — rzekł z wyrzutem — jakże się to stało, że widzę go jeszcze w twoich rękach?

Nic nie odpowiedziała, zaczerwieniła się tylko po uszy.

— Nigdy już o żadną przysługę prosić pani nie będę — mówił dalej — widzę, że liczyć na panią nie można. Proszę o zeszyt, oddam go sam panie Florze.

Greta podała mu zeszyt.

— Ona sama temu winna! — bąknęła na usprawiedliwienie i wydeła i tak już grube wargi. —

Ona... ona zamknęła mnie na klucz! Za karę złapałam jej zeszyt!

— Za karę! — powtórzył doktor Althoff z pełnym wątpliwości uśmiechem. — I co zamierzała pani z nim zrobić?

— Ach — zdradziła się — z pewnością nie zajrzałam do niego! Wiersze Flory takie przesadzone i nudne!

Młody nauczyciel pogroził palcem.

179

— Panno Greto, gdyby te słowa były mostem, ni© odważyłbym się po nim przejść. W przyszłości nie bądź pani tak niedyskretna i ciekawa. Ciekawość nie przyozdabia młodej panienki.

Odwrócił się od zawstydzonej i podszedł do Flory, która zbliżała się z wolna. Jeszcze łzy drżały w jej oczach, wzniesionych z wyrazem wdzięczności ku wybawicielowi. Gdzie się podziała nienawiść, przed chwilą jeszcze rozpierająca jej piersi? Znikła gdzieś, rozwiała się. Wyparło ją uwielbienie dla doktora Althoffa i całkiem zajęło znów wspaniałomyślne jej serce.

Tak nieskończenie wdzięczna mu była w tej chwili, że ulegając chwilowemu popędowi, pochwyciła jego rękę i pocałowała.

— Dziękuję panu! — szepnęła, pobiegła do swojego zacisza, do swej świątyni muz, odrzuciła list zaczęty i zaczęła pisać sonet zatytułowany: „Do niego!”

Doktor Althoff patrzył za biegnącą, kiwając głową. „Istota egzaltowana, z głową przewróconą — pomyślał — a najgorsze to, że nieuleczalna.”

Urodziny panny Rajmar przypadały w maju; obchodzono je bardzo uroczyście. Uczennice przyjezdne i miejscowe gromadziły się wszystkie. Zabawę urozmaicały popisy muzyczne, przedstawienia teatralne i żywe obrazy. I ten rok nie stanowił wyjątku, jakkolwiek Lili złożyła do ziemi przed czterema dopiero tygodniami.

— Chętnie zgodziłabym się, żeby nie obchodzić w tym roku moich urodzin — mówiła dnia jednego przełożona do panny Gussow i do panny Lead — ale nie mogę tego zrobić przez wzgląd na nasze wychowanki. Śmierć Lili pozostawiła na nich mniejsze lub większe wrażenie, wszystkie są jakieś przybite, posmutniały bardzo. Trzeba koniecznie przygotować im jakąś rozrywkę. Smutek nie powróci nam kochanej naszej dzieciny.

180

Tego samego zdania były i obie nauczycielki i postanowiły niezwłocznie zająć się przygotowaniami. Miss Lead zobowiązała się wyuczyć dziewczynki komedyjki angielskiej, panna

Gussow francuskiej. Pierwsza wybrała sobie artystki spośród przyjezdnych, druga rozdała role tylko miejscowym. Musiała jednak stoczyć utarczkę z dziewczynami, nim każda przyjęła przeznaczoną sobie rolę. Flora, która miała przedstawiać podeszłą w latach damę, żadnym sposobem zgodzić się na to nie chciała, utrzymując, że rola ta nierównie właściwsza dla Rózi. Ale Rózia nie miała ani iskierki dramatycznego talentu i nie odważyłaby się nigdy wystąpić na scenie. Zresztą Rózia nie tak płynnie mówiła po francusku jak Flora.

Panna Gussow niewiele robiła ceremonii.

— Jak chcesz, Floro — powiedziała. — Jeżeli nie podejmiesz się tej roli, w takim razie wybiorę którą z przyjezdnych, a ty należąc będziesz do widzów..

To jeszcze mniej dogadzało Florze. Po długim wzdraganiu się, po zaciętej walce ze sobą, jak utrzymywała, zdecydowała się nareszcie przyjąć rolę „starej”. Iza i Melania przedstawiały jej córki i wybornie były do tego dobrane: Melania, lubiąca się stroić, elegantka, próżna, Iza, stanowiąca zupełne jej przeciwieństwo. Dzika i nieposkromiona, przekorna i uparta, nie dbająca o swoją powierzchowność, wyprawia przeróżne figle, a słaba matka nie może sobie z nią poradzić. Zjawia się młody, daleki krewny, podoba mu się dzikuska i dobrocią i stałością charakteru budzi uspięne w jej duszy zalety i łagodzi przekorną. W końcu zostaje jej narzeczonym.

— Ola, ty możesz wziąć rolę kuzyna — rzekła panna Gussow.

• — Ola? — zapytała Iza zdziwiona. — Przecież ona nie może grać roli mężczyzny!

Prawdziwa burza powstała pośród dziewcząt na tę naiwną uwagę Izy. Zrobiło się gwarno jak w ulu, gdyż

181

każda czuła się w obowiązku oświecić Izę na swój sposób.

— To ty nie wiesz, jaki u nas zwyczaj? — pytała Ola.

— Z panami nie możemy występować na scenie — mówiła Flora szyderczo — oni są na pensji wyklęci!

— Naiwna jesteś, Izo! — wołała Melania. — Przez to właśnie nasza scena jest taka czcza i sztywna, że my musimy grać rolę panów!

— Panów, panów! — powtarzała Annemia, zanosząc się od śmiechu. — Ależ to na śmierć zaśmiać się można!

— Tak, gdyby panowie grali, to ja wzięłabym rolę Izy — przekrzykiwała wszystkie Greta, swoim wrzaskliwym głosem — ale tak...

— Ale tak, weźmiesz rolę chłopaka wiejskiego — przerwała panna Gussow. W ogólnym poruszeniu zapomniały o obecności nauczycielki. — A teraz proszę się uciszyć, wy niegrzeczne dzieci! Panna Rajmar ma słuszne powody, dla których postępuje tak a nie inaczej. Jak możecie buntować się przeciwko jej woli? Że zbyt dziecinne jeszcze jesteście, żeby to rozumieć, to widzę w tej chwili jasno i wyraźnie! Wstydzcie się!... Proszę, żeby każda przepisała swoją rolę, jutro zrobimy próbę czytana.

Z tymi słowami opuściła burzliwe zgromadzenie. Wszystkie zamilkły naraz, jedna tylko Greta mruknęła jeszcze:

— Z tym wszystkim to nudna rzecz grać bez mężczyzn! A roli głupiego chłopca wiejskiego ja nie wezmę!

Przyjęła jednak tę rolę i okazało się, że wybornie się do niej nadawała.

Próby codzienne przyniosły pożądaną rozrywkę. Szczególnie zachwyciła się Iza, gdyż ten rodzaj przyjemności był jej dotąd nieznany. Zrazu przeszkadzała jej nieśmiałość, wkrótce jednak zdołała ją przezwyciężyć i grała swoją rolę ku zadowoleniu panny Gussow, która często nie mogła powstrzymać uśmiechu, widząc jak naturalna

182

była Iza na scenie, jak charakter głównej bohaterki odpowiadał jej usposobieniu.

Na głównej próbie musiały wszystkie wystąpić w kostiumach, żeby się wzajemnie oswoiły ze zmienionym wyglądem. Ostrożność ta okazała się konieczna, bo kiedy pierwszy raz ujrzały się w komicznym przebraniu, wszystkie głośnym wybuchnęły śmiechem.

Florę zaledwie można było poznać w długich angielskich lokach, w czepku koronkowym, z

binoklami na nosie. W bogatej, czarnej, powłóczystej sukni wydawała się daleko wyższa. Pogodziła się zupełnie ze swoją rolą „starej”, a kilkakrotna pochwała panny Gussow zrodziła w niej wyobrażenie, że artyzm dramatyczny był właściwym jej powołaniem. Dzień i noc marzyła teraz o pozycji „poetki — aktorki”. Wielka otwierała się przed nią przyszłość!

Ola w stroju myśliwskim, w zielonym kapelusiku, z fantazją na bok nieco przechylonym, wyglądała prześlicznie, a małe sztuczne wąsiki nadawały jej wygląd dziarskiego chłopca.

— Ola, znakomicie wyglądasz! — unosiła się Melania i z zachwytem przyglądała się jej bucikom ze sztylpami.

— Zawsze powinnaś się tak ubierać — dodała Flora najzupełniej serio. Naturalnie została, wyśmiana.

Greta była przepysznym wiejskim chłopakiem. Ciężka i niezgrabna, śmiała i krzykliwa.

Melania rozplątywała się w niewymownej błogości w kokieteryjnym, eleganckim kostiumie, jaki sobie wybrała. Stała przed zwierciadłem i tu i ówdzie poprawiała jeszcze coś w swoim stroju.

A liza?

Weszła ostatnia, a na jej widok podniósł się taki grzmot śmiechu, że panna Gussow przez długi czas spokoju przywrócić nie mogła.

183

— Jak ty wyglądasz, dziewczyno? — zawołała ze śmiechem. — Chodź tu, niech ci się przyjrę z bliska. Czy naprawdę wystąpisz w tym stroju? Nie, lizo, to niepodobna. Trzeba nieco ugładzić, upiększyć to twoje ubranie. Za mało masz próżności, bo inaczej sama byłabyś -o tym pomyślała.

184

— Niech mnie pani tak zostawi! — prosiła liza. Czowała się szczęśliwa, że mogła przy tej sposobności

wdziać swoją ulubioną bluzę. Wyrosła z niej, bluza była na nią za ciasna i za krótka, co naturalnie podnosiło jeszcze wrażenie komizmu.

— Nie, dziecko, to niemożliwe! Wyglądasz jak że-braczka. Rękaw nie może pozostać rozerwany, ten szkaradny pas trzeba zastąpić nowym, kołnierz marynarski okryje cokolwiek ten okropny stanik, a potworne buty przede wszystkim każesz sobie oczyścić. Tak dopiero ujdzie to wszystko. W niczym nie należy przesadzać — dodała, widząc zachmurzoną nieco twarz lizy — najlepiej zawsze zachować pewien umiar. I te pukle włosów zanadto spadają ci na oczy, nie możesz widzieć przez nie. Nie zapominaj, że jesteś córką baronowej, ubranie twoje może nosić cechę niejakiego zdziczenia, ale nie może być podarte.

— Zaczynamy już — przynagliła panna Lead, która stawiała się także na główną próbę z trupą swoich artystek. Niecierpliwiła się już tym zbyt drobiazgowym przeglądem kostiumów, uważała że panna Gussow zbyt wielką do tego przywiązuje wagę. Rzeczą główną, podług jej mniemania, było opanowanie obcego języka, następnie dokładne wyuczenie się roli, reszta to dodatek. Była zawziętą przeciwniczką mimiki i gestów. Jeżeli która z artystek poważyla się zrobić jakiś ruch naturalny, wpadała w gniew i wołała: — Spokoju, więcej spokoju!

Stało się tak, jak prawie zawsze się dzieje: główna próba wypadła jak najgorzej. Dziewczynom brakowało spokoju i zimnej krwi, pochłaniała je myśl o tak bliskim już dniu uroczystym; miss Lead nie dodawała im otuchy, oświadczyła gwałtownie, że najlepiej byłoby zaniechać przedstawienia.

Uznała, że komedyjka francuska jest okropna, i radziła panie Gussow, żeby jej grać nie pozwoliła.

— Proszę pani — wykrzyknęła — wszak tu mowa o miłości! To przecież największe obudzi zgorzenie!

185

Panna Giissow z uśmiechem przedstawiała Angielce, że przecież to nie dzieci grać będą tę sztukę, lecz dorosłe panienki.

— Historia miłości — dodała — traktowana jest tu pobieżnie, dodatkowo, a główną treść stanowi wyleczenie młodego dziewczęcia z uporu i przekory.

Miss Lead z powątpiewaniem wstrząsała głową, nie dała się przekonać.

— Skoro się pani upiera koniecznie przy swoim zdaniu, niech tak będzie, ale już sama liza wszystko pani popsuje. Jak ona wygląda, jak gra! Niezgrabna, bez przyzwoitego ułożenia. Gdy

chodzi, cała scena się trzęsie, ruchy ma zbyt śmiałe, ordynarne.

Panna Gussow nic nie odrzekła na ten sąd niesprawiedliwy. Od dawna już dała za wygraną. Angielka nie zwykła była zmieniać swego zdania. Iza pozostała dla niej cierniem w oku.

Omyliła się miss Lead. Następnego wieczoru wszystko poszło dobrze nad wszelkie oczekiwanie.

Rzęsiście oświetlony salon, liczne i doborowe zgromadzenie ożywiły młode umysły. Zabawę rozpoczął prolog, napisany wierszem przez jedną z uczennic pierwszej klasy. Czytała go sama autorka, ku wielkiemu ogólnemu uznaniu. Flora tylko, która stała za zasłoną, wzruszała ramionami.

— Żadnego polotu, myśli, ani poezji, ani talentu! — wygłosiła swój pogląd krytyczny.

Komedia angielska wypowiedziana była gładko, ale nudnie, bezdusznie. Widzowie jednak, jakkolwiek tego samego musieli być zdania w głębi duszy, gdy się skończyła (a może dlatego właśnie, że się skończyła), nie szczędzili oklasków. Wszystkie artystki zostały wywołane, a gdy paśowa zasłona uniosła się w górę, a dziewczęta dziękowały ukłonem, miss Lead promieniała dumą i radością.

— Very well! — wołała na cały głos — znakomicie wywiązałyście się ze swego zadania!

186

Po rozmaitych żywych obrazach i popisach muzycznych, na zakończenie dana była komedia francuska.

— Więc istotnie odważa się pani? — mówiła do panny Gussow Angielka tonem dobrodusznym i nieco lekceważącym. — Nie odstrasza pani wielkie powodzenie, jakie myśmy osiągnęły? Usłuchaj mnie pani i cofnij się! Znajdziemy jakąś wymówkę. Francuska lekkość musi upaść wobec głębokich zapatrywań ducha angielskiego!

Wbrew życzeniom i obawom miss Lead rozpoczęła się sztuczka francuska, a Angielka musiała ugiąć się pod przygnębiającym przeświadczeniem, że nierównie lepiej przyjęta została niż angielska. Widzowie bawili się przepysnie i śmieli się bez przestanku. Iza dwa razy wśród gry była wywołana, tak komicznie i naturalnie przedstawiała swoją rolę.

— Elle est charmante, charmante!* — wołał pan Michel z zapalem. — Mogę z niej być dumny! Mówi i gra jak prawdziwa paryżanka!

— Przedstawia samą siebie — odrzekł, śmiejąc się doktor Althoff. — Nie przypuszczałem jednak, żeby tyle wdzięku miała ta dzikuska.

Miss Lead doczekała się wszelako małego tryumfu — przy końcu scena miłości nie udała się lizie. W chwili, gdy Ola miała ją uściskać, nie wytrzymała i wybuchnęła głośnym śmiechem.

— Jaka szkoda! — szepnęła Nelly. — I potrzebny ten śmiech. Grała tak cudownie, a na końcu popsuła wszystko!

Doktor Althoff, przypadkiem stojący w pobliżu Nelly, posłyszał jej wykrzyknik.

— Pomimo to, miss Nelly — rzekł, siadając obok niej na opróżnionym krześle — przyjaciółka pani dzierży palmę zwycięstwa tego wieczoru. Ale dlaczego pani wyłączona z koła artystów, dlaczego pani jest tylko widzkiem? Sądzę, że byłaby z pani dobra artystka.

* Elle est charmante... (fr.) — Jest czarująca...

187

Nelly spuściła oczy.

— O, pan bardzo łaskaw, panie doktorze — odrzekła zmieszana — lecz ja niezdolna jestem do występów scenicznych, nie mam talentu.

— Trzeba było spróbować. Patrz pani na lizę, kto by pomyślał, że ona taką miłuchną może być aktorką!

— Nieprawdaz? — przytwardziła Nelly żywo, serdecznie uradowana. — Jest urocza! Jestem nią zachwycona!

Młody nauczyciel w milczeniu patrzył na nią ze współczuciem. Słowa te płynęły jej prosto z serca, bez cienia zazdrości, oczy błyszczały radością, uniesieniem, gdy mówiła o przyjaciółce. A w porównaniu z Izą jak mało obiecywała jej przyszłość! Tamta dziecko szczęścia, a ta? Biedna istota, która iść miała ciernistą ścieżką nauczycielki!

— Wszak prawda, że zachwycająca? — powtórzyła Nelly, patrząc mu badawczo w oczy.

— Zapewne, zapewne! — odrzekł roztargniony i odskakując nagle od przedmiotu rozmowy,

zapytał: — Skąd pani ma te przepyszne fiołki? Wskazał na bukiet, który trzymała w ręce. — Pachną cudownie! Bardzo lubię fiołki.

Słyszała tylko, że on lubi fiołki, czyż potrzebowała długo się namyślać? Żywy rumieniec oblał jej twarz.

— O, niech je pan weźmie! — rzekła naiwnie. — Proszę, zrobi mi pan wielką przyjemność!

— Nie wszystkie — odrzekł z uśmiechem i wyciągnął kilka kwiatków z bukietu, który mu podawała. — Tak, teraz mam już dosyć. Dziękuję, pani!

Wstał i odszedł. Patrzyła za nim błyszczącymi oczami i zauważyła, że zatknął fiołki w dziurkę od guzika.

— Jaki brak taktu z twojej strony! — przemówiła miss Lead, która tuż za nią siedziała. Swoim ostrym głosem ściągnęła ją z obłoków niebieskich. — Co to za zachowanie się! Słyszałam każdy wyraz. Nie wstydzisz się dawać kwiaty mężczyznom!

188

Krótką radość Nelly zlodowaciała i zwarzyła się, jak pączek na półrozwinęty, który owionął mroźny wiatr północny.

— Czy źle postąpiłam? — spytała bojaźliwie. — O, proszę, niech mi pani powie, czy nie powinnam była tego zrobić? Czy doktor Althoff będzie miał mnie za nieskromną?

Ta myśl dręczyła ją okrutnie. Zrobiło jej się gorąco. Z rzeczywistą obawą czekała na słowo uspokajające i patrzyła w twarz nauczycielki, która nie wyglądała wcale na pobłażliwą.

— W każdym razie uważać cię będzie za niedorzeczną — odrzekła bezlitośnie — jeżeli nie weźmie twój postępek za proste narzucanie się.

— O nie, nie! — mówiła Nelly z przestachem prawie. — On nie będzie tak surowo myślał o swojej uczennicy!

— Tak? Skąd ta pewność? — męczyła ją dalej miss Lead. — Nie jesteś już dzieckiem, któremu się przebacza brak taktu w podobnych okolicznościach. Panna dorosła nie powinna nigdy iść ślepo za swoim uczuciem.

— Poproszę go, żeby mi oddał kwiatki — powiedziała Nelly przejęta do głębi.

— Tego zrobić nie możesz, jeżeli nie chcesz się bardziej jeszcze skompromitować. Pozostaje ci teraz milczeć, a na przyszłość nie zapominać się tak bardzo! Przyszła nauczycielka musi ważyć każde słowo, każde spojrzenie, a osobiście każdy czyn. To sobie zapamiętaj!

Nelly posmutniała bardzo po tej surowej nauce. Przepadł już jej dobry humor, zabawa straciła cały powab. Gorąca łza spłynęła z oka i padła na fiołki, przyczynę jej zmartwienia. Kwiatki paliły teraz jej ręce, byłaby je chciała odrzucić od siebie jak najdalej. Przez cały wieczór pozostała małomówna, milcząca, a gdy dok-

189

1. «■ \$ i

tor Althoff zbliżał się do niej, unikała go bojaźliwie. Było dla niej niepodobieństwem spojrzeć mu w oczy. Miss Lead zabiła miłą jej swobodę.

Gdy po skończonej zabawie przyjaciółki udały się na spoczynek, Nelly wbrew swemu zwyczajowi, czas jakiś siedziała zamyślona.

— Coś ty taka milcząca? — spytała liza. — Co ci jest?

— O nic, nic! — odrzekła Nelly, zrywając się szybko i otrząsając z zadumy. — To nic!

Pierwszy raz nie wypowiedziała się przed ukochaną przyjaciółką, nie mogła jakoś wyznać jej całej prawdy, mówić o swoim zmartwieniu; a jednak było coś, co mimo całego smutku przyspieszało bicie jej serca i przepływało przez jej duszę jak wiosenny powiew.

Il rzekwitły bzy i konwalie; róże zaczynały już roztwie-rać woniejące swoje kielichy. liza i Nelly po kolacji przechadzały się w ogrodzie. Z zarośli doszedł je śpiew słowika, przystanęły więc i słuchały.

— Cudny śpiewak! — zawołała Nelly. — Chodź, usiądziemy na ławce i posłuchamy.

Objęły się i nie przemówiły ani słowa. Uroczy, pełen woni wieczór, księżyc, świecący srebrzystym kołem na wieczornym niebie, melodyjny śpiew słowika, budziły w ich młodych sercach nieokreślone, nieznanne dotąd uczucia, błogość jakąś i nadzieję, i obawę przed niewiadomą przyszłością.

— lizo — uroczystą ciszę przerwała Nelly — wkrótce już pojedziesz i zostawisz mnie samą! Tak mi smutno, gdy o tym pomyślę!

liza również była rozrzewniona, a na myśl, że rozstać się musi z Nelly, oczy jej napęłniły się łzami. Zwalczała

190

jednak odważnie ten smutny nastrój i próbowała pocieszyć przyjaciółkę.

— Daleko jeszcze do tego — mówiła. — Wiesz przecie, że rodzice mój pobyt na pensji przedłużyli do pierwszego września. Jeszcze dwa miesiące będziemy ze sobą, Nelly, to bardzo długo! Pomyśl tylko, całe osiem tygodni!

Nelly smutnie pokiwała głową.

— Przeciwnie, to bardzo krótki czas — odrzekła. — Nawet niecałe osiem tygodni, rachuj porządnie: dziś mamy już siódmy lipca, a więc do pierwszego września pozostaje pięćdziesiąt cztery dni — brakuje zatem dwóch dni do ósmego tygodnia.

liza zaśmiała się, choć nielekką jej było na sercu.

— Najdroższa moja Nelly! — zawołała, całując ją serdecznie — zawsze jesteś taka zabawna, nawet w chwili smutku. Wiesz co? Nie zatruwajmy sobie życia tak przedwczesną myślą o naszym rozłączeniu, przecież nie rozchodzimy się na zawsze! Przyjedziesz do nas niedługo, prawda?

Ale Nelly była melancholijnie usposobiona tego wieczora i pocieszające słowa przyjaciółki nie znalazły drogi do jej serca. Próbowała stłumić łzy, lecz nie było w jej mocy tego dokonać. liza wsparła głowę na jej ramieniu i milczała. W duszy jej walczyły ból i radość. Takie błogie przejmowało ją uczucie na myśl, że znów zobaczy swoich ukochanych a osobliwie małego braciszka, ale radość tę przysłaniała ciemną chmurą przypomnienie, że rozstać się trzeba będzie z Nelly.

— Tu są! Chodźcie tutaj! Siedzą pod krzewem bzu!

Nie kto inny, naturalnie, tylko Greta, głośnym krzykiem przestraszyła zadumane. Niepostrzeżona wychyliła się z bocznej ścieżki i stanęła przed nimi nagle, jakby wyrosła spod ziemi.

191

VA «

к >ч

л ш^ Sas- s-j •* *• г. л j #. i# s^^s. cГ^ Г Г- * п

>^ 2.

A

*тЖ

w. л

liza zerwała się i poszła na spotkanie zbliżających się dziewcząt. Nelly ukradkiem otarła łzy, osuszyła oczy i starała się przybrać pogodny wyraz.

— Szukamy was wszędzie — rzekła Ola — co wy tu robicie?

— Marzyłyście zapewne przy świetle księżycy, dzieci? — wyszeptała Melania. — Macie obie takie smętne oczy, płakałyście?

Greta musiała się o tym przekonać dokładnie, przysunęła się jak najbliżej Nelly i przyglądała jej się ciekawie, badawczo.

— Płakałaś, Nelly, i ty także, lizo — zawyrokowała nieodwołalnie. — Co macie za zmartwienie? Czego płaczecie!

— Tak sobie, dla przyjemności — odparła Nelly, rozgniewana brakiem delikatności Greta.

— Nie płacze się dla przyjemności! — mówiła dalej ciekawska, wcale nie zbity z toru. — Proszę was, powiedzcie, czegoście płakały?

— Nie naprzykrzaj się swoimi natarczywymi pytaniami! — upomniała ją Flora. — A gdyby ci nawet powiedziały: „Srebrzysty księżyc, woniejące róże, uroczy wieczór letni, jakby do miłości i smutku stworzone, wywołały w sercach naszych tęsknotę i łzy” — czyżbyś to zrozumiała? Nigdy! Bo ty nie masz zmysłu do pojęcia sfer wyższych, jesteś zbyt prozaiczna! — Mówiąc to posłała ku

niebu romantyczne spojrzenie swoich bladonie-bieskich oczu.

Wysoki ów polot myśli Flory przywrócił natychmiast ogólną wesołość. Nelly zapomniała o swoim smutku i zawołała, śmiejąc się:

— O, Floro, jaką ty masz czułą duszę! O, dzięki ci, wielka poetko, tyś nas pojęła!

— Dzieci — przerwała Ola — dajcie już spokój tym dowcipom, mam wam coś bardzo ważnego zakomunikować.

192

— Coś bardzo ważnego? — Greta szeroko otworzyła oczy i usta, rozszerzyła nozdrza i pełen oczekiwania wzrok wlepiła w Olę, przysunawszy się do niej jak najbliżej.

— Nie tu! Chodźmy pod lipę!

— Pod lipę? — bojaźliwie zapytała Annemia. — Zostańmy tu, tam już ciemno, pod tym starym, olbrzymim drzewem!

— Tak, a zresztą już późno, trzeba się pospieszyć! — dodała nie mniej bojaźliwa Flora.

— Nie kłopotz się o to, najdroższa Floro — uspokajała ją Ola. — Słuchaj i zdumiewaj się: ponieważ dziś moje imieniny, panna Rajmar, na usilne prośby pozwoliła nam, w drodze łaski, przedłużyć nasz pobyt wieczorny w ogrodzie do godziny dziesiątej!

— Niebiańsko! Straszliwie zachwycająco! Przepysznie! — Takie i tym podobne wykrzykniki zabrzmiały ze wszystkich stron, a Greta nawet podskoczyła, wprawdzie niezbyt wysoko i nie bardzo zgrabnie.

— A zatem pod lipę! — zakomenderowała Ola i stanęła na czele pochodu.

Umilkła opozycja, wyruszyły za nią wszystkie i po paru minutach stanęły już na miejscu. Ola wskoczyła na ławkę przed drzewem, skrzyżowała ręce i z góry spoglądała na towarzyszek, otaczające ją półkolem i wpatrzone w nią z natężoną ciekawością.

— Drogie przyjaciółki... — Wtem zaszumiało coś w gałęziach. Dziewczęta przestraszone odskoczyły od drzewa.

— Co to było? — pytała Annemia. — Boże! Gdyby tak się ktoś ukrył w drzewie!

— Albo gdyby duch nocny znów się nam ukazał! — dodała Melania, a wargi jej drżały.

— Jak tu strasznie! — wyszeptała Greta. — Ja się boję!

— A może to owo widmo z wielkimi ognistymi oczami i rozwianym włosiem! — zauważyła Nelly, nieznacznie trącając lizę. — O, to byłoby straszne!

13 — Przekora

193

Ola stała spokojna, nieustraszona.

— Wstydzcie się! — zawołała ze swej wysokości. — Czyż wy dorosłe jesteście panny? Więc marny nietoperz zmusi was do ucieczki? Uciekajcie, skoro się boicie, ja nie do dzieci zamierzałam przemówić! Wróćcie do rozsądku!

— Mów, mów! — odkrzyknęło kilka głosów niepewnych jeszcze i drżących. Ciekawość wzięła górę nad strachem.

— A więc słuchajcie! Tu, na tym miejscu, pod strażą naszej ukochanej lipy, zawrzyjmy związek, który nas na życie całe złączy węzłem przyjaźni. Wkrótce już opuścimy pensję i los rozproszy nas po całym świecie!

— Po świecie całym! — powtórzyła Flora półgłosem.

— A więc zapytuję was, czy przeznaczenie ma nas rozdzielić na zawsze? Ja mówię: nie! Musimy się spotkać! Łączył nas ścisły związek, przyjaźń nasza nie powinna się rozwiać i przebrzmieć, jak nikły dźwięk w powietrzu.

— Jak nikły dźwięk w powietrzu! — jak echo powtórzyła Flora.

— Cicho! — zakrzyknęły inne. — Daj mówić Oli!

— A więc, zapytuję was, czy w tej uroczystej chwili złożycie mi przysięgę, że od dziś za lat trzy zjedziecie się tutaj? Tu, pod tą lipą, siódmego lipca, o godzinie jedenastej rano znów się połączymy na chwilę. Zgadzaście się na mój projekt?

— Tak! — z zapalem zawołały jednogłośnie. — Przyjedziemy!

Wzniosła w górę trzy palce prawej ręki, a wszystkie inne poszły za jej przykładem. Różia tylko się

zawahała.

— Mogłyby przecież przeszkody jakieś stanąć na drodze naszej podróży — zauważyła swoim spokojnym i łagodnym głosem.

— Przeszkody, rozumie się, bardzo ważne tylko, prawdziwe tylko przeszkody zwalniają z przysięgi! — objaśniła

194

Ola. — W takim wypadku ta, która nie przybędzie, obowiązana jest napisać, wyszczególniając przyczyny zmuszające ją do złamania przysięgi. Zaprzysiężcie także i to! Znow podniosły się ręce, a tym razem Rózia śmiało przyłączyła się do wszystkich.

195

— Teraz związałyśmy się na wieki! — zabrała znow głos Ola. — A każda z nas przysięgi dotrzyma. Żebyśmy jednak wciąż miały ją w pamięci, podaję wam jeszcze jedną propozycję. Na pamiątkę tej uroczystej chwili każemy sobie porobić skromne srebrne pierścionki i nosić je będziemy na małym palcu lewej ręki. Każda otrzyma taki pierścionek i nosić go będzie aż do śmierci.

— Aż do śmierci! — powtórzyła Flora powoli, głosem elegijnym.

Idea pierścionków uznana została za zachwycającą, znakomitą, uroczą i przyjęta z namaszczeniem. Olę, która zeskoczyła z wyniosłej swojej trybuny, otoczyły wszystkie, nie szczędząc pochlebnych oznak uznania. Melania przepowiadała jej wielką przyszłość na polu oratorskim — przemawiała straszliwie zachwycająco! Wszystkie zresztą były w bardzo podniosłym usposobieniu, padały sobie w objęcia, całowały się, ścisnęły i wzajemnie zapewniały o najtkliwszej przyjaźni, która nie miała się skończyć nawet ze śmiercią. W tej chwili, zapewnienia ich i przyrzeczenia pochodziły z serca; ani cień wątpliwości nie zaćmił ich niewinnej wiary. Księżyc, szyderca, poprzez gałęzie drzewa spoglądał jednym okiem na to wzruszające widowisko. Rozumiało go może stare drzewo, może ten szmer w gałęziach na jego szczycie był mu odpowiedzią: Ty, sceptyku, tam w górze, nie szydź z naiwnej wiary dzieci. Alboż ci nie wiadomo, że zawsze tak było i zawsze tak będzie? Marzenia są właściwością młodych dusz, jak rosa kwiatu. Zawód i rozczarowanie i tak przedwcześnie zabijają to kwiecie krótkotrwałej wiosny.

— Olu — rzekła Flora, gdy wolnym krokiem powracały do domu — mnie także jeden projekt przyszedł na myśl. Jeżeli któraś z naszego kółka, związanej ogniwem przyjaźni aż do śmierci, zamierzy wstąpić w święty związek małżeński, to obowiązkiem jej będzie zaprosić na tę uroczystość swoje współtowarzyszki.

Zgodziła się na to Ola.

196

— To dobra myśl, na utwierdzenie jej podajmy sobie ręce.

Stanęły w kółko i podały sobie ręce z największą powagą. Tylko liza nie mogła się wstrzymać od śmiechu, tak komiczną wydawała jej się myśl o małżeństwie i weselu.

— Wprawdzie ja nie wstąpię nigdy w święty związek małżeński, ale przybijam także projekt zaproszenia na wesele — żartowała Nelly.

Nie drwij z rzeczy tak poważnych — oburzyła się Flora. — Nie jesteśmy usposobione do twoich żartów.

— O, ja wcale nie żartuję, ale jakże uboga, brzydka Angielka, z piegami na nosie miałyby dostać męża!

Komiczne to spostrzeżenie związało powagę z młodych twarzy, powróciły żarty i wesołość.

Flora, przed udaniem się na spoczynek, zapisała w swoim dzienniku:

Co za dzień pełen przygód! O, drzę jeszcze, kiedy pomyślę o tym wszystkim! Światło księżyca! Wonny zapach róż! Lipa! Porywająca przemowa Oli! (Pierwsza moja bohaterka nosić będzie imię Ola!) Związek przyjaźni! Przysięga! Zobowiązanie weselne! (To moja cudowna idea!) Podanie sobie rąk! Jakże się nazywa ta wybrana, która dopełni tego najpierwsza? Losie, dozwól mi uchylić zasłonę! Czy są przeczucia? Byłabym nią ja?

Położyła pióro, zamknęła pamiętnik i schowała go na dno komody. Ręka jej drżała, płątały się myśli. Położyła się i usnęła. We śnie widziała się w wieńcu oblubienicy i białej sukni z atlasu.

Przeminęło osiem tygodni, czyli jak utrzymywała Nelly, „czterdzieści i pięćⁿⁱ”. Nadszedł pierwszy wrzesień. Nelly całą noc spać nie mogła, rozstanie z ukochaną

197

przyjaciółką spędziło sen z jej powiek. liza nie lepszy miała spoczynek i w istocie wzruszające było, jak obie dziewczyny usiłowały ukryć przed sobą bezsenność i łzy.

Gdy pierwszy brzask zajrzał do okna, Nelly nie mogła już dłużej wytrzymać. Wstała, zarzuciła na siebie szlafroczek i cichutko podeszła do łóżka lizy.

— Nie śpisz? — powiedziała, ujrawszy jej otwarte oczy. — To ślicznie, mamy jeszcze całą godzinę do pogawędki; wybiła dopiero piąta.

Usiadła na brzegu łóżka, ujęła obie ręce lizy, ale gdy ujrzała lśniące w jej oczach łzy, straciła panowanie nad sobą. Pochyliła się ku przyjaciółce, objęły się i płakały rzewnie.

— O, lizo, jaka ja tu zostanę samotna! Łóżko twoje będzie stać próżne albo jaka inna twarz wyjrzy z niego do mnie. Och, tak mi bardzo smutno.

liza podniosła się i z uczuciem przytuliła do siebie płaczącą. Mówić nie mogła, za bardzo była rozrzewniona.

— Zobaczmy się niedługo — wyrzekła nareszcie głosem drżącym i próbowała pocieszyć Nelly.

— Przyjedziesz do nas do Moosdorfu i zostaniesz na całą zimę.

Nelly potrząsnęła głową niedowierzająco.

— Pewnie to nie nastąpi, nie dadzą mi pozwolenia na tak długo. Kończę kurs nauk na przyszłą Wielkanoc, a potem przyjąć muszę miejsce nauczycielki. Sama jeszcze niewiele umiem, muszę bardzo pracować, panna Rajmar powtarza mi to co dzień.

— Ale wakacje wrześniowe spędzisz u nas. Moi rodzice sami napiszą do panny Rajmar i prosić ją będą o to usilnie, jestem pewna, że im nie odmówi.

— Nie! I to niemożliwe! Muszę się uczyć!

liza patrzyła na przyjaciółkę z żalem i współczuciem.

— Jeżeli naprawdę masz być nauczycielką, Nelly, to przyrzeknij mi, że wszystkie wakacje u nas w Moos-

198

dorfie spędzać będziesz. Mój dom rodzinny będzie i twoim domem.

Nelly przyrzekła.

»

— Jakaś ty dobra, lizo! Nigdy już nikogo tak kochać nie będę jak ciebie. Nie zapomnij o mnie: spoglądaj często na ten pierścionek i myśl o twojej Nelly, która pozostała tu osamotniona..

— Nie będziesz samotna — pocieszała liza. — One wszystkie tak cię kochają.

— A gdy się im usunę z oczu i z myśli, wówczas znów stanę się dla nich obca.

— Nie, Nelly, dla panny Rajmar i dla panny Gussow nigdy nie będziesz obca! — zaprzeczyła liza gorąco. — One ciebie strasznie lubią!

— O tak, wiem o tym, ale one już niemłode i nigdy nie zrozumieją mnie tak jak ty. One już zapomniały o wybrykach młodości! Przypominasz sobie jabłonkę?

Przypomnienie tej wesołej wędrowki osuszyło ich łzy i wywołało uśmiech na ustach. Każdą najmniejszą nawet drobnostkę przeżywały raz jeszcze we wspomnieniach. Historia o duchu. Miss Lead w cudackim stroju. Końce butów, które o mało ich nie zdradziły, a ten strach, który przecierpiał!

— A jednak wszystko to ma jakiś dziwny urok! — wykrzyknęła Nelly. — Chciałabym raz jeszcze wszystko to przechodzić!

— Jak przyjedziesz do Moosdorfu — mówiła liza — to dopiero wdrapywać się będziemy na drzewa! Nauczysz się tego niedługo! Spodoba ci się u nas! Mamy śliczny dom z wieżyczką, wsparty na kolumnach, jak zamek. Twój pokój będzie tuż przy moim, to cudownie, prawda? Co dzień moim konikiem wozić cię będę na spacer, a i psy mamy prześliczne!

Tak opowiadała liza o swym domu rodzinnym i żywo, w ognistych barwach malowała przyjaciółce wszystkie jego

199

wspaniałości. Tym sposobem złagodziła cokolwiek boleść rozstania, uciszona nadzieją prędkiego

zobaczenia się.

W parę godzin potem liza, gotowa już do drogi, zegnała pannę Rajmar. Przełożona przytuliła jej głowę do swej piersi i uściśkała serdecznie.

— Przykro mi, że ojciec twój nie mógł po ciebie przyjechać — mówiła — i że taką daleką drogę odbyć musisz sama. Chętnie pomówiłabym z nim jeszcze raz o tym, o czym listownie tylko zawiadamiać go mogłam. Jaki zdziwiony będzie, gdy cię zobaczy, nie pozna swojej dawnej lizy! A pamiętasz, jak niechętnie zostawałaś u nas?

— Niech mi pani przebaczy — ze łzami prosiła liza — niech mi pani nie pamięta przykrości, jakich nieraz byłam przyczyną!

— O, nie mów o tym! Pokochaliśmy cię tu wszyscy i z zalem rozstajemy się z tobą. Spodziewam się, że od czasu do czasu napiszesz do mnie, lizo kochana, i doniesiesz mi o postępach, jakie robić będziesz w muzyce, a szczególnie w rysunkach. W tym oto liście proszę twego ojca, żeby ci dał jeszcze pomoc w niektórych przedmiotach, a mianowicie, żeby się postarał o dobrego nauczyciela rysunków, bo masz do tego talent.

Panna Gussow przysłała powiedzieć, że powóz już nadjechał; ona i Nelly odwoziły lizę na kolej.

— Żegnam cię, moje dziecko — mówiła przełożona — a gdybyś kiedykolwiek zatęskniła za nami, przyjeżdżaj, powitamy cię zawsze otwartym sercem.

Na dziedzińcu czekały zgromadzone wszystkie przyjaciółki. Otoczyły lizę; każda podawała jej swój bukiet. Żegnały ją i całowały ze łzami.

— Nie zapomnij o nas! Pisz zaraz! Ja ciebie strasznie kochałam! — Podobne wykrzykniki rozlegały się dokoła, a gdy liza siadała już do powozu, Flora jeszcze jej szepnęła:

— Pamiętaj o przysiędze!

200

— W drodze będziesz miała kłopot z kwiatami, lizo — rzekła panna Gussow, która z Nelly siadła już do powozu. — Zostaw je, z każdego bukietu wybierz sobie tylko po parę kwiatków.

Ale które młode dziewczę przyjąłoby tę rozsądną radę? Odjazd bez bukietów zatracą urok swój cały. Naturalnie liza poruszyła głową przecząco i błagalnie patrzyła w oczy panny Gussow.

— Ja bym tak chciała zabrać je wszystkie — prosiła.

Ale jak to zrobić? Trudność tę rozwiązała Rózia. Przyniosła otwarty koszyk i włożyła ostrożnie, cały ogromny zapas kwiatów.

Konie ruszyły. Jeszcze jedno „bądź zdrowa”, ostatnie spojrzenie pożegnalne, powiały białe chusteczki i siedziba, w której przebyła czas niemały z taką korzyścią, pozostała poza nią. liza zwróciła się cała ku szkolnemu gmachowi i głośno płakała.

Właśnie nadjechał pociąg, gdy zbliżały się do peronu. Zatrzymał się piętnaście minut, panna Gussow miała przeto dosyć czasu, żeby wyszukać stosowny wagon dla lizy.

— Gdzie jest przedział damski? — pytała konduktora. — Ta młoda osoba jedzie do M.

— Tutaj! Tutaj! — zawołał głos jakiś z okna wagonu. — Tu jest miejsce dla młodych, pięknych dam.

Panna Gussow zwróciła głowę i ujrzała przed sobą wesołą twarz studenta. Czapeczkę dziarsko przechylił na jedno ucho, wąsiki zaledwie puszczały mu się zaczynały. Poza nim stało kilku jeszcze studentów; śmieli się z dowcipu kolegi. Głośno, bez ceremonii wyrażali swój zachwyt nad panienkami. — Zachwycająca! Urocza! To Fortuna z rogiem obfitości! wołali za oddalającymi się spiesźnie. Panna Gussow wzięła pod rękę rumieniącą się lizę.

— Bezwstydni! — rzekła oburzona. — Jak śmiać tak postępować! lizo, obawiam się o ciebie! — I wzrokiem

201

pełnym niepokoju objęła postać dziewczyny, która w szkockiej podróżnej sukience, w słomkowym kapelusiku z mieniącym się niebieskawym skrzydłem, wyglądała milutko. — Nigdy jeszcze nie podróżowałaś sama, a teraz bez opieki w taką daleką puszczasz się drogę! Czemu też to ojciec nie przyjechał po ciebie!

— Nie mógł żadnym sposobem — tłumaczyła liza. — Musiał zostać w domu, ażeby przyjąć jedyne brata mamy, który przez lat dziesięć podróżował po świecie. Ja sama prosiłam go o to,

kiedy mi napisał, że pomimo to przyjedzie po mnie. Zresztą wcale się nie boję, wszakże to dzień jasny. Ojciec przysłał mi dokładną marszrutę, więc się nie pomylę.

— Jeszcze raz mi ją przeczytaj — mówiła panna Gussow. — Chciałabym ci towarzyszyć myślą. Nelly, przez ten czas włóż do wagonu pakunki lizy.

liza wydobyla list z woreczka podróżnego i czytała:

O jedenastej wyruszysz z miejsca, o drugiej przyjedziesz do M. Tam zatrzymasz się do godziny trzeciej. Potem bez przesiadania się przybędziesz do Lindenhofu. O piątej wysiądziesz tam i spotkasz starego mego przyjaciela, radcę Gontraua i jego małżonkę, którzy czekać na ciebie będą. Zabiorą cię do siebie; proszą, żebyś u nich przenocowała.

Nazajutrz o dwunastej wyruszysz w dalszą drogę; Gontrau obiecał mi, że wszystko ci ułatwi na kolei.

Nie zapomnij trzymać w ręce mojej fotografii; po tym właśnie poznają cię Gontrauowie.

— A masz fotografię? — zapytała panna Gussow.

— Mam w torebce — odrzekła liza. Panna Gussow różne jeszcze dawała jej rady.

— Wiem, że jesteś rozsądna, że będziesz ostrożna, ale doświadczenia brak ci jeszcze, nie znasz świata i ludzi; są ciekawi, sprawy radzi poznać najtajniejsze każdego i w tym celu nadzwyczaj zřeczne zadają pytania; tych unikaj najbardziej i pilnuj się w odpowiedziach swoich. Przede
202

wszystkim nie przyjmuj żadnych przysług, żadnych uprzejmości, które ci się zbyteczne wydawać będą, od mężczyzn młodych czy starych. Radź sobie we wszystkim sama, o ile możesz, nie narzucaj się nikomu i bądź sobą, bądź naturalna, a wszystko pójdzie dobrze.

— Wsiadać! — zawołał konduktor, przerywając pełne miłości rady młodej nauczycielki. liza uściskała ją ze łzami w oczach, a cała jej miłość dla niej i wdzięczność wyraziła się w tych dwóch słowach: — Dzięki, dzięki! — które z trudnością wyjąkała.

— Bywaj zdrowa, ty ukochane moje dziecko! — Serdecznym pocałunkiem panna Gussow zakończyła scenę pożegnania.

A Nelly? Rozstanie z nią było dla lizy najcięższą chwilą.

— Pamiętaj o mnie! Kochaj mnie zawsze! — prosiła ledwie słyszalnym głosem, a postać jej miała wyraz takiego znękania, jakby szczęście opuszczało ją na życie całe.

liza objęła ją i przyciskała do siebie, i słowa jednego wydobyć nie mogła. Wreszcie gwałtem oderwała się od niej i szybko wskoczyła do wagonu.

W ostatniej chwili do tego samego przedziału wsiadła kobieta podeszła w latach, z białymi lokami. Biegła z takim pośpiechem, że tchu jej zabrakło — wydawała się lękliwa i niezaradna. Panna Gussow pomogła jej przy wsiadaniu, i podczas gdy konduktor przecinał jej bilet, dowiedziała się, że jedzie w tą samą stronę co liza. Poleciała więc serdecznie lizę jej opiece. Dama przyrzekła jej to z całą uprzejmością.

Pociąg ruszył. liza wychyliła się przez okno i, powiewając białą chusteczką, zegnała pozostałe.

Wzrokiem pełnym głębokiej żalności panna Gussow przeprowadzała pociąg, zdawało jej się, że unosi on z sobą część jej serca! Nigdy jeszcze z taką miłością i oddaniem nie zajęła się żadną uczennicą i nigdy jeszcze nie była wynagrodzona tak

203

szczęśliwym skutkiem. Teraz musi się z nią rozstać, a któż powie, czy ujrzy ją kiedy jeszcze?

— Chodź — zwróciła się do szlochającej na głos Nelly — musimy wracać!

Wzięła ją pod rękę i pocieszała, także zasmucona do głębi serca.

Pędem unosił pociąg lizę z miejsca, które powitała niegdyś niechętnie, a teraz zegnała z taką rozpaczą. Łzy jej płynęły obficie. Chusteczkę przycisnęła do oczu, a urocza okolica, przez którą przejeżdżała, góry, które stały się dobrymi jej znajomymi, nie odebrały od niej ani jednego pożegnalnego spojrzenia. Promień słońca przekradł się do wagonu, ozłocił brunatne zwoje jej włosów, ale pociechy w smutku dać jej nie mógł.

Białowłosa towarzyszka podróży patrzyła ze współczuciem na płaczącą, ale nie przerywała jej bólu. Dopiero spostrzegłszy, że liza się uspokaja, nawiązała z nią rozmowę.

— Pojmuję twój smutek, dziecko — mówiła serdecznie — czuję, co się dzieje w twoim sercu. Boli

takie ostateczne pożegnanie z pensją, rozstanie z przyjaciółkami, które się pokochało, ale, dziecko, nie bierz tego tak głęboko do serca. Rozłączenie to przecież nie na wieki, przyjaciółki przyjadą zapewne do ciebie. A ładnie u was w domu?

Pytanie to padło we właściwą chwilę. Dziecinne oczy lizy śmiały się już spoza łez. Coraz bardziej ożywiła się, malując krajobraz rodzinny, myśli jej wróciły do domu ojcowskiego i po raz pierwszy od dłuższego już czasu myślała o nim z niezakłóconą tęsknotą.

— Jakie będzie radosne to ponowne widzenie się z rodzicami — mówiła dalej siwa pani, której liza dziwnie się podobała.

204

— O, jakie radosne! — odrzekła liza. — A ten malutki braciszek, którego jeszcze nie znam wcale! Mam jego fotografię, czy mogę ją pani pokazać?

Zdjęła z góry woreczek skórzany, otworzyła i wyjęła z niego album.

205

— Oto on! — rzekła, z dumą pokazując małego, tłustego chłopca, sfotografowanego w koszulce.

— Śliczne dzieciątko! — podziwiała pani. — A to mama twoja, która trzyma na kolanach malutkiego?

— Tak — odrzekła liza. — A to mój ojciec. — I wyjęła fotografię z małego woreczka. Przy tej sposobności opowiedziała, że po tej fotografii poznać ją mają państwo Gontrau, którzy będą na nią czekać.

— Gontrau? — pytała pani. — Radca Gontrau? To moi dobrzy znajomi. Mój mąż, radca sanitarny Lange, od wielu już lat jest ich lekarzem! Mieszkamy w L., najbliższej stacji za Lindenhofem. Jak to się składa osobliwie! Możesz teraz swobodnie schować fotografię ojca, już nam niepotrzebna; teraz ja cię oddam moim przyjaciołom! Pociąg wprawdzie krótko się tam zatrzymuje, ale na to starczy mi czasu.

liza cieszyła się bardzo tym szczególnym trafem; na pogawędce z niezmiernie miłą, bardzo wykształconą panią radczynią czas jej przeszedł z szybkością wiatru. Zdziwiła się bardzo, gdy konduktor otworzył drzwiczki i zawołał:

— Stacja M.! Proszę wysiadać!

— Już? — zawołała liza i sięgnęła po swoje rzeczy.

Pani radczyni wstała również i szukała swoich pakunków. Robiła to z pełnym lekkością pośpiechem, ręce jej drżały nerwowo. Woreczek skórzany, który zdejmowała z górnej półki, wypadł jej z ręki, zamek się otworzył i rozmaite drobne przedmioty potoczyły się po podłodze.

— Ach, Boże! — zawołała przestraszona. — Co ja zrobiłam! — Schylając się, upuściła znów pudełko.

— Pani pozwoli, ja to wszystko załatwię — uspokajała ją liza.

Szybko pozbierała drobiazgi i włożyła do woreczka. Portmonetkę, która również wypadła, wpakowała najgłębiej, zamknęła woreczek i podała go przestraszonej staruszce.

— Niech pani to trzyma — rzekła — a o innych pakunkach ja pomyślę.

206

Złożyła wszystkie paczki na ławce, następnie wyskoczyła z wagonu, poszukała tragarza, któremu wszystko to oddała, i w końcu pomogła pani radczyni wysiąść.

— Dziękuję ci, dziękuję, kochane dziecko. Jak praktycznie, jak przezornie umiesz sobie radzić! Nie spodziewałabym się tego po tak młodym stworzeniu.

liza dziwiła się temu sama, ale kto wie, czy jej samodzielność byłaby się rozwinęła tak nagle, gdyby jej nie wywołała niezaradność towarzyski podróży. Dumnie podniosła głowę na tę pochwałę i pomyślała sobie: Gdyby tak panna Giissow słyszeć to mogła! Tak się o nią troszczyła, a tymczasem ona jest opiekunką, zamiast potrzebować opieki! Ta myśl niezmiernie ją podniosła we własnych oczach, niestety złudzenie to rozwiało się wkrótce.

Gdy z panią radczynią szły wolno do stacji, posłyszła naraz głośne wołanie z jednego z przedziałów stojącego jeszcze pociągu. Rzuciła wzrokiem w tę stronę i od razu poznała studentów. Bojaźliwie pochwyciła rękę swej towarzyski i przytuliła się do niej; w tej chwili znikła cała jej pewność siebie, poczuła potrzebę opieki.

— Żegnaj mi, żegnaj, cudna dziewico! Jedno tylko spojrzenie na pożegnanie, czarująca główko w lokach! — wołali zuchwalcy, a gdy pociąg ruszał dalej, jeden z nich rzucił przepyszną różę, która padła u jej stóp.

liza odwróciła się. Zawstydzona i zmieszana nie wiedziała, gdzie zwrócić oczy.

— Czy znałaś tych młodych panów? — zapytała radczyni.

liza opowiedziała, że ujrzała ich po raz pierwszy w chwili odjazdu.

— Tak, to jeszcze pełnia życia! — mówiła pani radczyni. — Do nich należy świat, przebaczyć im trzeba, że na więcej sobie pozwalają niż inni ludzie. Nie podniesiesz tej róży, dziecko?

liza byłaby to chętnie zrobiła, ale wstrząsnęła głową.

207

— Nie mogę! — odrzekła i słowa panny Gussow: „żadnej od mężczyzn nie przyjmuj grzeczności”, brzmiały ostrzegająco w jej duszy. Ten, który rzucił kwiat, wprawdzie już odjechał i nie dowiedziałby się nigdy, czy ona podniosła różę, czy nie, pomimo to nie zachwiała się.

Radczyni zrozumiała zachowanie lizy i bardzo się ucieszyła jej taktem.

— Masz słuszość, moje dziecko, i zawstydzasz mnie nawet. Prawda, że w pierwszej chwili nie pomyślałam o tym, kto rzucił kwiat, żal mi tylko było prześlicznej róży, walającej się w pył.

Po godzinnym wyczekiwaniu obie panie pojechały dalej. liza użyła tego czasu na napisanie karty do panny Gussow. Gdy pisała, powrócił znów ból pożegnania i kilka łez spadło na kreślone wyrazy; z tym wszystkim donosiła, że podróż przeszła jej bardzo prędko i że pani radczyni jest zachwycającą kobietą.

Radczyni myślała to samo o swojej młodej towarzysze podróży. W tym krótkim czasie powzięła dla niej serdeczną sympatię. liza była jakaś zupełnie inna aniżeli wszystkie znajome jej dotąd młode panienki. Porównywała ją ze źródłem, którego przezroczyście wody pozwalają przejrzeć całą głębię aż do dna. Szczera, otwarta, a przecież niegadatliwa, naturalna, a do tego taka ładna! Pani radczyni z prawdziwą przyjemnością patrzyła na różową twarzyczkę lizy, na ciemne, połyskujące oczy, wierne odbicie jej duszy; widziała je pełne łez i smutku, rzucające spojrzenia wesołe i figlarne, i przysłonięte długimi ciemnymi rzęsami, gdy swawolni studenci składali hołd jej powabom.

— Za parę minut będziemy już w Lindenhofie i musimy się rozstać — powiedziała. — Sprawia mi to prawdziwą przykrość, tak cię pokochałam w tym krótkim czasie! Przynajmniej mi, że mnie odwiedzisz, jeżeli przypadkiem znajdziesz się w pobliżu L.

208

liza przyrzekła chętnie i przyznała się, że i dla niej smutne będzie to pożegnanie. Pani radczyni tak „niebiańsko” umiała ją pocieszyć.

— Stanęliśmy już na miejscu! — zawołała radczyni i wychyliła się przez okno, szukając państwa Gontrau. Nie było ich widać. Pod wystawą stało tylko kilka wieśniaczek z koszami na plecach; czekały na pociąg. liza wyjrzała także i strach ją ogarnął, gdy zobaczyła, że po nią nie ma nikogo.

— Ach — westchnęła — i co ja teraz zrobię? Taka tu jestem opuszczona! Niech mi pani pozwoli jechać ze sobą dalej, proszę panią, bardzo proszę, niech mnie pani weźmie na tę noc do siebie!

— Moje drogie dziecko, z jakąż zrobiłabym to radością, ale nie zgadzałoby się to z wolą twoich rodziców. Gontrauowie nadjadą jeszcze, jestem tego pewna! Coś tylko spowodowało ich opóźnienie, wierz mi. Co by powiedzieli, w jakim znaleźliby się kłopoty, gdyby panna liza ulotniła się stąd?

liza westchnęła ciężko, ale wysiadła. Pakunki swoje i kwiaty, które pomimo częstego skrapiania świeżą wodą smutnie pospuszczały główki, wydobyła z wagonu — i stała teraz z tym wszystkim, bezradnie oglądając się dokoła.

— Nie przerażaj się tak, dziecko drogie — uspokajała ją radczyni — nie rób takiej smutnej minki. Gdyby nawet Gontrauowie nie przybyli wskutek jakiegoś nieporozumienia, jeszcze nie byłoby to wielkim nieszczęściem. W takim razie najmiej sobie wózek na stacji i jedź do Lindenhofu. W godzinę staniesz na miejscu, a że cię tam przyjmą z otwartymi rękami, to mogę ci zaręczyć.

— Nie, nie! Tego nie zrobię! Na to bym się nie ośmieliła! — zawołała liza. — Alboż ja wiem, czy oni życzą sobie mojego przyjazdu? Nie mogę się przecież narzucać nieznanym ludziom!

Zabłysło jakby coś z dawnej przekory w jej oczach, a górna warga podniosła się groźnie. Pani radczyni uśmiechnęła się na tę dumę młodzieńczą.

— Chcą cię mieć u siebie i nie są dla ciebie obcy, mała złośniczko — rzekła żartobliwie. — Radca jest starym druhem twego ojca.

Słowa te nie uspokoiły lizy, czuła się nawet bardziej jeszcze przygnębiona.

Radczyni spojrzała na zegarek, już tylko pięć minut miały być razem. I ona teraz niespokojnym okiem rzuciła dokoła.

— Wybiegnij za stację, stamtąd widoczna znaczna część drogi, może zobaczysz powóz.

liza usłuchała. Biegając otworzyła woreczek i wyjęła fotografię ojca. „Zapewne to na próżno — myślała sobie — ale na wszelki wypadek wolę ją mieć w ręce.”

Zaledwie się oddaliła, ledwie znikła za budowlą, gdy z przeciwnej strony tejże, krokiem przyspieszonym, elastycznym, wyszedł młody człowiek, wysoki, wysmukły. Okiem badawczym przebiegł cały peron, następnie podszedł do pociągu i zaglądał do każdego przedziału, posuwając się wzdłuż. Radczyni spostrzegła go natychmiast i twarz się jej rozjaśniła — młodzieńcem tym był nie kto inny, tylko syn radcy Gontraua.

— Leonie! Leonie! — zawołała. — Chodź, prędko! Gdzie twoi rodzice? Ty jej szukasz, nieprawdaż? Ja z nią jechałam, urocze młode dziewczątko! Świeża jak kwiat leśny, powiadam ci. Tam poszła, za dom!

— O jakim kwiatku leśnym mówisz, ciotko? — zapytał zdziwiony młodzieniec i szeroko otwartymi, rozumnymi oczami patrzył na mówiącą, której słowom towarzyszyła żywa gestykulacja.

— O kim mówisz, cioteczko?

— O niej, o niej! — odkrzyknęła. — O lizie, której oczekujecie! — chciała właściwie powiedzieć, ale w tej chwili imienia tego żadnym sposobem przypomnieć sobie

210

nie mogła. Ogłuszający dźwięk dzwonka, oznajmiający odjazd, zdenerwował ją i zmieszał, do czego przyczyniło się jeszcze i to, że młody człowiek słuchał jej nieuważnie, z pewną nawet niecierpliwością, na pół tylko do niej zwrócony; spieszno mu było iść dalej.

— Daruj, ciociu, ale muszę cię opuścić; szukam dziewczynki, która tym pociągiem nadjechała...

— To ona właśnie! To ona! — wołała żywo, ale on słów jej już nie słyszał, przebiegał znów od jednego przedziału do drugiego.

— Czy nie widział pan małej dziewczynki, podróżującej samotnie? Czy nie wysiadła tutaj?

— Nie! — krótko odrzekł konduktor, wdrapując się na wysokie swoje miejsce, gdyż pociąg wprawiony już był w ruch.

Mijając młodzieńca radczyni coś jeszcze do niego mówiła, niestety, na próżno, nie zrozumiał jej. Asesor Gontrau stał zamyślony; sam nie wiedział, co robić. Pan Macket prosił jego ojca, żeby po przybyciu lizy telegrafował do niego, czy szczęśliwie przyjechała? Co ma teraz zrobić? Nie pozostaje mu nic innego, jak wysłać depezę: „Nie przybyła!”

Zwrócił się do biura telegraficznego, gdy wzrok jego padł na list jakiś, tuż przy nim leżący na ziemi. Podniósł go i przeczytał adres na otwartej kopercie: „Panna liza Macket.” Rzecz dziwna! Ani konduktor, ani nikt z miejscowych nie widzieli, żeby dziecko jakie wysiadało, a jednak musiała przyjechać!

— Nie wiadomo pani, kto mógł zgubić ten list? — zapytał owocarki, siedzącej nieopodal ze swoim towarem.

— Na pewno wiedzieć tego nie mogę — odrzekła — ale prawdopodobnie wyciągnęła go z woreczka ta panienska w lokach. Widziałam, że coś wyjmowała. Ta oto — przerwała sobie nagle, pokazując lizę, która obiegła

211

dom dokoła i ukazała się właśnie z przeciwnej strony, gdy pociąg odchodził.

Stara jej przyjaciółka żegnała ją jeszcze z okna przedziału, dawała jej jakieś znaki, pokazując w stronę, gdzie stał Leon — liza nic z tego nie rozumiała.

Czuła się bardzo nieszczęśliwa! Stała, ścigając wzrokiem pociąg, uwożący jedyną jej tutejszą

znajomą. „Otóż jestem opuszczona!” mówiła w duszy. „Co ja pocznę?” Przed chwilą taka była odważna, taka pewna siebie, a teraz gdzieś to wszystko znikło. Jak słusznie kłopotowała się panna Giissow! Na podobny wypadek wcale nie była przygotowana. Co tu robić? Byłaby płakała, ale wstydziła się młodego, o jasnych włosach, urzędnika pocztowego, który wychyliwszy się z parterowego okna, przyglądał się jej ciekawie.

Z tego przykrego położenia wyrwały ją nagle przyspieszone kroki i zapytanie:

— Łaskawa pani, czy mogę prosić o jedno słówko? liza odwróciła głowę, a gdy oko jej padło na wysmukłą

postać młodego człowieka, przejął ją strach niewymowny. Czego on chce od niej? Po co do niej mówi? Myśli jej się mieszały, jedno tylko wciąż miała w pamięci: „Nie powinnaś go słuchać!” Jakby nic nie słyszała, poszła dalej, a czując, że jest ścigana, przyspieszyła kroku. Serce biło jej gwałtownie ze strachu i wzruszenia.

— Pani coś zgubiła — rzekł młody człowiek, zbliżając się powtórnie.

Przystanąła, ale nie śmiała zwrócić się do niego. Skorzystał z tej chwili i stanął przed nią. Z lekkim, szyderczym nieco uśmiechem patrzył na podlotka, z takim strachem przed nim uciekającego. Miał już na ustach jakąś ironiczną uwagę, nie wypowiedział jej jednak, gdy spojrzał w miluchną, różową twarzyczkę. Stała przed nim ze spuszczonej oczami, zakłopotana. „Jak kwiatek leśny”, powiedziała mu ciotka radczyni, teraz wiedział, o kim była mowa.

212

— Znalazłem ten list, czy on należy do pani? Dostrzegła, że trzymał w ręce list jej ojca.

— Tak — odrzekła, zawstydzona swoją niemądrą ucieczką — to mój list. — Wzięła papier, nie podniósłszy wzroku na młodzieńca. — Dziękuję panu — dodała i ukłoniwszy się niezbyt zgrabnie, chciała się oddalić.

— Czy to pani adres na kopercie? — pytał dalej. liza przystanąła, zawahała się.

Lecz nie czekając na odpowiedź, młody człowiek zawołał nagle, śmiejąc się uradowany:

— Ależ to pani, to pani jest panną lizą Macket! Widzę fotografię w pani ręce! Toż to przewyborny żart!

liza patrzyła na niego zdumiona i po raz pierwszy dopiero zwróciła uwagę na ładną, opaloną trochę twarz Gontraua.

— Niech mi pani przebaczy mój śmiech — tłumaczył się — ale pani to zrozumie, kiedy wyjaśnię rzecz całą. — Pozwoli pani przede wszystkim przedstawić się sobie: jestem Gontrau. — Uchylił miękkiego filcowego kapelusza i złożył jej uprzejmy, pełen uszanowania ukłon.

— Gontrau! — zawołała liza, a twarz jej się rozpromieniła. — Naprawdę, Gontrau? Ale przecież pan nie jest... nie jest...

— Radcą? — dokończył jej pytanie. — Nie, radcą nie jestem, tylko jego synem.

— Jaka ja byłam niemądra, że tak uciekałam przed panem — mówiła, rumieniąc się — ale nie wiedziałam, kim pan jest; miałam pana za jakiegoś obcego mężczyznę, który chce mnie wypytywać o wszystko. Ach, nie uwierzy pan, jak się bałam, kiedy zostałam tu taka sama! Wydawałam się sama sobie zbłąkanym dzieckiem, które nie wie skąd wyszło i dokąd ma iść. Teraz jestem rada, strasznie rada! A gdzie pańscy rodzice? Proszę, zaprowadź mnie pan do nich.

213

— Niestety, nie mogli sobie zrobić tej przyjemności, żeby panią tutaj powitać — odrzekł Leon zachwycony jej naiwną paplaniną. — Ojcu mojemu przytrafił się wypadek. Wsiadając do powozu, zwichnął nogę i naturalnie musiał zostać. Matka, ku wielkiemu swemu zmartwieniu, także nie mogła odjechać, trzeba było ratować ojca. Wypadek ten był również przyczyną mego opóźnienia, nad czym z całego serca ubolewam, ubolewam podwójnie, skoro to pani sprowadziło tyle zmartwienia i kłopotu. Mama tak się cieszyła, że „małą” przyjmie. Tak, tak, „małą” — powtórzył, bawiąc się jej zdziwioną miną. — Na ojcu pani spoczywa wina pomyłki, jakąśmy popełnili. W listach mówił wciąż o „swojej małej” albo o „swoim dziecku”, które samo, bez opieki na taką daleką podróż narażać musi, lęka się, żeby „małej dziewczynki”, wracającej z pensji nie spotkał jaki wypadek. Naturalnie, my też oczekiwaliśmy dziecka, tak, na pół dorosłej dziewczynki, dwunasto, najwyżej trzynastoletniej.

— Ach, ten ojciec! — zawołała liza i zaśmiała się, ale nie swoim zwykłym swobodnym, serdecznym śmiechem; dźwięczał w nim pewien przymus. Niezupełnie przypadło jej do smaku, że ojciec traktował ją jeszcze zawsze jak dziecko. — Ojciec jest zabawny! Nie wyobraża mi się inaczej, tylko jako taką na pół dorosłą lizę! Dopiero się zdziwi, jak mnie zobaczy! Nie jest się już dzieckiem, jak się ma lat siedemnaście, ani nawet podlotkiem!

— Niech Bóg zachowa! Panna siedemnastoletnia jest skończoną damą!

Wyglądało to na żarcik, ale mówił z taką powagą, że liza z dumą uwierzyła w „skończoną damę”. Wszystkie paczki znajdowały się już w powozie; stangret zaniósł także i koszyk z kwiatami.

— Co za mnóstwo bukietów! — zauważył Leon Gon-trau i tym razem uśmiechnął się naprawdę.

— Ten kosz był zapewne uciążliwy dla pani?

— O, nie, nie! — żywo zaprzeczyła liza. — To wszystko bukiety pożegnalne od moich przyjaciółek!

— Tyle przyjaciółek! — I zjrzał do koszyka.

— Jest siedem bukietów — objaśniła liza, sądząc że chce je policzyć.

— Piękne były — zauważył — teraz już cokolwiek zwiędły. Tylko ten pęk róż, otoczonych niezapominajkami, jeszcze świeży.

liza pochwyciła bukiet i twarz swoją ku niemu pochyliła. Wzruszenie malowało się w całej jej postaci.

— To od mojej najukochańszej przyjaciółki! — rzekła drżącym głosem. — Od Nelly Grey.

— Nelly Grey? — zapytał. — Zapewne Angielka? Czy ładna i miła? — dodał żartobliwie.

— Zachwycająca! — zawołała liza i wpadła w zapał, opowiadając o przyjaciółce.

Słuchał w milczeniu. Bawiło go uniesienie, z jakim ją wychwalała, a szczególnie przesadne wyrażenia, jakie się jej

od czasu do czasu wrywały. Bezwiednie przywłaszczyła sobie sposób mówienia Melanii i takie wykrzykniki, jak: strasznie urocze! niebiańsko! zachwycająco! słodko!, stały się dla niej zwyczajne, równie jak dla Melanii i innych podlotków.

— Czy nie chciałaby się pani czym posilić w restauracji dworcowej? — zapytał Leon, podając jej ramię, żeby ją tam zaprowadzić.

Odmówiła, jakkolwiek bardzo chętnie byłaby przyjęła tę propozycję. Czuliła się głodna i z przyjemnością byłaby zjadła coś posilnego, ale „skończona dama” nie powinna się przyznawać do tego, że jest głodna, to by wyglądało bardzo dziecinnie.

— Chłodno jest — zauważył, pomógłszy jej wejść do powozu — a ja mam rozporządzenie: Otul dziecko dobrze, żeby się nie zaziębiło w otwartym powozie. — Wziął ciepłą chustę, którą przywiózł ze sobą, okrył nią lizę i nogi jej owinał dywanikiem.

Nie protestowała przeciwko temu, bo zimny wiatr jesienny świszczał po pustych polach; śmiała się nawet z jego troskliwości; lecz po chwili przyszła wątpliwość. Dobrze to, że mu się pozwalała tak otulać? Czy nie zbyt mu zaufała? Czy panna Gussow uważałaby jej postępowanie za właściwe? Czy Nelly tak byłaby zrobiła jak ona, czy też raczej byłaby wdziała swój płaszczyk? I ona mogła była to zrobić, bo płaszczyk spięty rzemieniami, leżał tuż przy niej.

Zagłębiając w tych męczących wątpliwościach i troskach, naraz posłyszała serdeczny śmiech swego towarzysza. Naturalnie, przypisała go zaraz swoim myślom.

— Czy pan śmieje się ze mnie? — zapytała prawie bojaźliwie.

— Nie, ależ nie! — odpowiedział. — Jak pani może mi zadawać podobne pytanie? Czyżbym ja powążył się kiedy śmiać z młodej damy? Ta oto gruszka wywołała moją

wesołość. W tej właśnie chwili z kieszeni powozowej wypadła mi na rękę i przypomniała ostatnie polecenie mamy, kiedy już odjeżdżałem.

— Co powiedziała? — zapytała liza, patrząc na niego ciekawie.

— Nie zapomnij, Leonie, dać gruszki dziecku. Mała będzie pewnie głodna. Zdaje mi się, że mówiła także i o cieście. — Wsunął rękę w boczną kieszeń powozu. — Nie inaczej! — zawołał,

śmiejąc się i wydobywając pokie-cik, owinięty papierem. — Jest i to! Czy mogę pani ofiarować gruszki i ciasto?

Pokusa była zbyt silna, nie mogła jej się oprzeć.

— Czemu nie? — odrzekła ze swobodną naiwnością, zabierając się do przysmaków. — Owoce są moją jedyną namiętnością, a i ciasto strasznie lubię! Na pensji widywałyśmy to rzadko, panna Rajmar utrzymywała, że ciasta użyte w dużej ilości, psują żołądek. Czy to nie jest strasznie bezzasadne zapatrywanie?

— Tak, to strasznie bezzasadne zapatrywanie! — powtórzył zupełnie serio. — Nie pojmuję, jak panie mogłyście wyżyć bez ciastek!

— Niekiedy — opowiadała — kazałyśmy sobie trochę przynieść, po południu, gdy przełożona spała.

— Taak! Taak! A to ładna historia!

— Toteż rzadko się to zdarzało! — usprawiedliwiała się liza. Kiedy niekiedy, jak już bardzo się nam ciasta zachciało. Czy pan ma to nam za złe?

— Żeście panie ciasto jadły, tego wcale nie mam za złe — drażnił się z nią — ale, żeście potajemnie przynosić je kazały, nie podoba mi się wcale. Dlaczego nie prosiłyście przełożonej o pozwolenie?

— Naiwny pan jesteś! — wykrzyknęła liza. — Byłaby nam nie pozwoliła! Cóż było w tym złego z naszej strony? Taka niewinna przyjemność! Pannie Rajmar nic to przecież nie szkodziło, czyśmy jadły ciasto czy nie!

217

— Wyszukuje pani kruczki i wykręty — śmiał się młody człowiek. — Nie o to idzie, czy panna Rajmar szkodę jaką poniosła z tego powodu. Przełożona miała swoje racje, dla których wzbraniała paniom spożywania ciastek. A więc, primo, postępowałyście panie wbrew jej woli — co zasługuje na karę; secundo, dokonywałyście tego tajemnie — co pogarsza przestępstwo!

Śmiała się serdecznie.

— Wielki Boże, jaki z pana pedant!

— Jestem prawnikiem, łaskawa pani, badam przeto rzeczy gruntownie.

— Prawnikiem! — powtórzyła liza i popatrzyła niedowierzająco na swego sąsiada. — Nie wierzę temu! Nie wygląda pan na prawnika!

— Dlaczego? Czy prawnicy różnią się wyglądem od innych ludzi?

Zakłopotalo ją to pytanie. Nie umiałyby mu dać na to innej odpowiedzi jak tylko, że wszyscy juryści, którzy często przebywali w Moosdorfie, wyglądali zupełnie inaczej. Byli to panowie weseli, lubili pić wino, ale młodych i pięknych nie widziała pośród nich. Popatrzyła na niego i pokręciła głową niedowierzająco.

— Pan nie jest prawnikiem — zawyrokowała stanowczo.

— Ciekawy jestem bardzo, jakie stanowisko mi pani naznacza? — pytał niezmiernie rozbawiony.

— Ma pani sposobność złożyć teraz próbę swojej znajomości ludzi!

— Pan jest artystą, może muzykiem albo malarzem! Zaśmiał się na cały głos.

— Muzyk! — zawołał — ja muzyk! Nie ma pani nawet pojęcia, jak grubą popełnia pani omyłkę! Nie rozumiem ani jednej nuty, jestem tak niemuzyczny jak pień. Żałuję, że takie pochlebne dla mnie wyobrażenie zburzyć muszę, ale nic na to nie poradzę! Niestety, muszę się pani przedstawić jako człowiek bardzo zwyczajny, ani muzyk,

218

ani malarz. Pomimo niedowierzania pani, jestem jurystą, a od miesiąca asesorem. Przekonałem panią?

— A więc nie artysta, ach, jaka szkoda! — wykrzyknęła liza z żalem. — To muszą być zachwycający ludzie!

„Nie zawsze" chciał powiedzieć, ale się powstrzymał. Po co niszczyć jej naiwne wyobrażenia? Była jeszcze taka młoda, tyle miała wiary.

— Widzi pani tam wierzchołek wieży kościelnej? — nadał inny zwrot rozmowie. — Chorągiewka na niej połyskuje w świetle księżyca, to nasz kościół. Za dziesięć minut będziemy w Lindenhofie.

Gdy powóz zatrzymał się przed gankiem, pani Gontrau wyszła przyjąć swego małego gościa. Tymczasem wysiadła dorosła panienka, Leon sprostował pomyłkę. Pani Gontrau uściskała ją, śmiejąc się.

— Duża czy mała — mówiła serdecznie — zawsze równie miłym jesteś mi gościem.

Wprowadziła lizę do jadalni, gdzie przebywał radca. Siedział na sofie w postawie półleżącej i obie ręce wyciągnął do lizy.

— To cudowna niespodzianka! Zamiast dziecka przybywa młoda dama! Czy przyjaciel Macket zwiódł nas umyślnie?

liza śmiała się, pokazując białe ząbki.

— Jakże pani podobna do ojca! — mówił dalej żywo. — Te same usta, ten sam układ twarzy! Zadziwiająco podobna! — Posunął ku niej lampę, żeby ją lepiej widzieć. — Włosy odziedziczyłaś po matce, i ciemne oczy, ale kolor tylko i oprawę. W twoich więcej jest życia, nie ma tego wyrazu łagodnej gołąbeczki, jaki miała nieboszczka matka twoja. Czy umie pani spojrzeć gniewnie? — zapytał wesoło.

— Ależ mężu kochany — przerwała, śmiejąc się pani Gontrau — naprzód odbywasz drobiazgowy przegląd powierzchowności naszego miłego gościa, teraz przecho-

219

dzisz do badania charakteru! Chodź, lube dziecko, ja cię wybawię. Zaprowadzę cię do twego pokoju, żebyś się mogła odświeżyć trochę po długiej podróży. Umieściłam cię obok mojej sypialni. Pokoje gościnne są na piętrze, myślałam więc, że dziewczynka będzie się bała spać sama.

— Ach, to ślicznie! — zawołała liza uradowana i zdradziła się, że na punkcie bojaźni jest jeszcze prawdziwym dzieckiem.

— Leonie — zagadnął radca syna, gdy panie wyszły z pokoju — czy to nie zachwycające dziecko? Leon zdawał się zatopiony w gazecie, którą czytał, ojciec dwa razy musiał powtórzyć pytanie, zanim otrzymał odpowiedź.

— Tak — odrzekł obojętnie — miluchny podłotek.

— Miluchny podłotek! Czy to ocena takiej ślicznej istoty? Czy oczu nie masz? A ja ci powiadam, że w tym „podłotku” jest temperament, o jakim nawet nie marzysz! Dla mnie dosyć jednego spojrzenia! Mój chłopcze, nie znasz się na tym, co piękne i dobre, twój ojciec przewyższa cię pod tym względem.

Leon nic nie odpowiedział, czytał dalej z wielkim zajęciem.

Wieczór przeszedł wesoło. liza rozmawiała z całą swobodą- W domu tych zacnych ludzi czuła się jak u siebie. Radca lubił żarciki, a ona umiała się na nich poznać.

— Zostań pani z nami parę dni — namawiał ją — tak mało mamy czasu do jutra do południa!

Zatelegrafujemy do rodziców, żeśmy tu panią zatrzymali; gniewać się nie będą.

Leon rzucił na lizę wzrokiem, w którym malowała się jakby prośba. Ofiarował się, że jutro raniutko pojedzie na stację i wyśle telegram. Pani Gontrau bardzo gorąco popierała prośbę męża.

— Dla nas — mówiła — byłoby to wielką radością, gdybyś została; w naszym domu brak młodego żywiołu.

220

Ty, dziecko, posiadasz szczęśliwy dar szerzenia naokoło siebie życia i wesela!

— Proszę, proszę bardzo, nie męczcie mnie! — mówiła liza, błagalnie składając ręce. — Zostać nie mogę! Nie mogę, jakkolwiek podoba mi się tu tak bardzo! Czekają na mnie rodzice, a i mnie za nimi tęskno niezmiernie! Strasznie także cieszę się na myśl, że poznam małego braciszka! On nie wie jeszcze, że ma taką dużą siostrę!

Nie było co na to odpowiedzieć. Słowa lizy takie były dziecinne, naturalne.

Pani Gontrau pogładziła jej włosy i lekko poklepała po twarzy.

— Dobrze robisz, moja mała, że nie chcesz zmienić postanowienia. Nie będziemy cię już męczyć prośbami. Przyjedź kiedy do nas na dłużej; Leon opuszcza nas za parę tygodni, a wówczas nasz duży dom taki będzie osamotniony!

— Z tego nic nie będzie — rzekł radca. — Próżne nadzieje! Znam ja przyjaciela mego Macketa i wiem, że córeczkę swoją nie tak prędko puści od siebie. Czekaście, przychodzi mi dobra myśl! W

ostatnim liście ojciec zaprasza nas na dożynki, które wyprawia za miesiąc. Przyjmuję zaproszenie, stawimy się wszyscy, ale pod warunkiem, że pozwoli nam potem panią zabrać na jakiś czas.

liza skakała z radości.
— Ach, to byłoby niebiańsko! — wykrzyknęła. — Ale pan musi słowa dotrzymać, ręka! Radca, śmiejąc się, ujął jej rękę i tym sposobem przypieczętował swoją obietnicę.

— Podanie ręki stanowiło u nas na pensji najwyższą przysięgę — objaśniła z minką poważnie dziecinną — kto nie dotrzymuje tak przybitej obietnicy, jest krzy-woprzysięzcą. Pan także przyjedzie? — zwróciła się do Leona.

221

— Naturalnie — odrzekł z radością. — Uroczysta przysięga obejmuje i mnie. Może również przypieczętujemy ją złączeniem dłoni?

— O, nie! — odrzekła zarumieniona. — Ja wierzę panu na słowo.

Zegar wybił jedenastą. Pani Gontrau zachęcała do spoczynku.

— Jesteś zmęczona i wyczerpana podróżą i licznymi wrażeniami, lizo kochana.

— Żadnego nie czuję zmęczenia — odrzekła. — Mogłabym jeszcze siedzieć nie wiem jak długo! I byłaby to zrobiła, gdyby tylko znalazła w swoim pokoju pióro, papier i atrament! Z jaką przyjemnością, tak na świeżo, byłaby opowiedziała ukochanej Nelly liczne przygody swojej podróży.

Nazajutrz, po drugim śniadaniu, liza zbierać się zaczęła do drogi. Właśnie wyszła przed drzwi z koszykiem kwiatów, żeby je raz jeszcze zrosić wodą.

— Czy pani naprawdę zabiera ze sobą te zwiedłe bukiety? — zapytał asesor Gontrau.

liza patrzyła na koszyk, stała niezdecydowana. — Prawda — rzekła zmartwiona — smutno wyglądają te moje ukochane, piękne kwiaty! Zwiedły wszystkie!

— Wie pani co, panno lizo — radził asesor — urządzimy autodafe* i spalimy je wszystkie!

Następnie zbierzemy popioły, a pani przechowa je w kosztownej urnie, na której umieścimy napis: Ta urna kryje popioły bukietów moich ukochanych siedmiu przyjaciółek z pensji. Jak pani znajduje tę ideę?

— Szkaradny pan jest! — zawołała. — Żartuje pan sobie ze mnie! A jednak — dodała po chwili bardzo

* Autodafe — wprowadzone przez inkwizycję publiczne wykonywanie wyroków na skazanych, zwłaszcza wyroków śmierci przez spalenie na stosie, także palenie ksiąg heretyckich.

222

logicznie — podoba mi się ta myśl całopalenia. Prędko ułóż pan stos, tyle czasu będę miała jeszcze przed odjazdem, chcę widzieć te moje kwiaty niknące w płomieniu! Ale popiołów zbierać nie będziemy!

Leon spiesznie przyniósł suchego chrustu, który ułożył na płaskim kamieniu przed domem, a w parę sekund błyskał już wesoły płomień.

Jeden bukiet po drugim szedł na śmierć w ogniu, lecz gdy przyszła kolej na róże Nelly, liza pochwyciła Leona za rękę.

— Wstrzymaj się pan! — zawołała — ten nie pójdzie na ofiarę! Kwiaty mojej ukochanej Nelly zachowam aż do śmierci!

— Zabiorę ze sobą do grobu! — dodał zartobliwie. Pani Gontrau, która z synem miała lizę odwiedzić na

kolej, gotowa już ukazała się we drzwiach i wzywała młodych do pośpiechu.

liza weszła do domu pożegnać się z radcą. Tak chętnie byłby ją odwiózł, ale z powodu chorej nogi musiał pozostać w domu. Była to dla niego prawdziwa próba cierpliwości. Raz jeszcze z naciskiem przypomniała mu jego przysięgę.

— Musicie państwo przyjechać! — brzmiały jej ostatnie słowa.

— Przyjedziemy! — wołał jeszcze za nią. — Przysięga jest ważna!

Gdy wsiadła już do powozu, Leon podał jej przepyszny bukiet róż.

— Kwiaty powstały z popiołów! — powiedział. — Nie odrzuci ich pani? — dodał, gdy zdumiona i wzruszona niespodzianką, nie wyciągnęła po nie ręki.

— O, jakże to cudownie! Jaki pan strasznie dobry! Nie uwierzy pan, jak ja się cieszę! — Zarumieniona podała mu rękę. — Dziękuję panu tysiącrotnie! Ja tak lubię róże, a takich cudnych jak te nie widziałam jeszcze nigdy! Jaka wielką, jaką straszną sprawił mi pan uciechę! — I wzroku

nie mogła oderwać od wspaniałych kwiatów, i powtórzyła jeszcze razy parę: Ach, jakże się cieszę! Leon uśmiechnął się do matki, a matka go zrozumiała. I ona była zachwycona tą dziecinną radością, tym wdziękiem, z jakim liza umiała dziękować.

Godziny przemijają szybko, a osobiwie godziny szczęśliwe. Droga do kolei przemknęła się, liza nie wiedziała, jak i kiedy. Teraz siedziała w wagonie i jechała do domu. Myśli jej tłoczyły się i mieszały, wylatywały naprzód, marzyła o ujrzeniu ukochanych, i cofały się na powrót, i wiodły ją znów do Lindenhofu. Podobało jej się tam niebiańsko! Prawie trudno było się rozstać. Leon pocałował ją w rękę, a ona pozwoliła na to. Czy to dobrze? Toż musiałyby mu chyba wyrwać rękę! — Ach, westchnęła głośno (na szczęście sama była w wagonie) — ach, to nieprzyjemnie, kiedy się nie wie, jak sobie poczynać! A może on w tej chwili drwi sobie ze mnie? — Zarumieniła się na to straszne przypuszczenie. Wzrok jej padł na pęk róż, i gdy wdychała woń ich rozkoszną, postać jego nagle przed nią stanęła. Przejęło ją dziwne jakieś uczucie, coś dotąd nieznanego! Przelęknęła się. Położyła bukiet jak najdalej od siebie i wstała. Postanowiła nie myśleć o nim — nie chciała tego! Żeby się rozerwać, zaczęła wyglądać przez okno; tylko puste pola, rżyskiem sterczące, rozkładały się przed nią. Było to dosyć nudne.

Usiadła i wzięła swój woreczek podróży. Zapuściła w głąb rękę; szukając nie wiedząc czego, natrafiła na jakąś książkę, podarunek od Nelly na drogę. Były to poezje Chamissa*. Nie pomyślała o nich dotąd, teraz pochwyliła je skwapliwie. Gdy już miała otworzyć książkę, przyszła jej myśl.

— Poczekaj — rzekła sama do siebie — poradzę się

* Adelbert von Chamisso (1781 — 1838) — niemiecki poeta, przyrodnik i podróżnik; w swej liryce kontynuował tradycje poetyckie wielkich romantyków.

224

wyroczeni, tak jak to nas uczyła Flora. — Trzy razy przeżegnała książkę i oczy wzniosła ku niebu i przeczytała pierwszy wiersz, na który padło jej oko:

Pomóżcie mi, siostry, wić wieńce.

— Niedorzeczność! Nie wierzę temu! — zawołała. — Jeszcze raz!

Zamknęła znów książkę, ścisnęła ją mocno, potem znów trzy znaki krzyża nad nią uczyniła, znów rozkładała ją z wolna i z namaszczeniem — i, o cudo, odpowiedziały jej znów te same słowa.

„Dziwnie! Straszliwie dziwnie!” myślała i zadumała się, i miała chwilę pokusy, żeby uwierzyć w ten głos proroczy, ale zwyciężył jej zdrowy rozsądek.

„Ależ to traf po prostu, a cała ta historia to głupstwo!”

Dała spokój wróżbom i umysł jej pogrążył się cały w poezjach Chamissa. Kilka razy znalazła się wprawdzie na drodze do Lindenhofu, a spośród wierszy wyjrzała jeszcze nieraz postać Leona, ale bronila się dzielnie przed tymi marzeniami. Znikały same stopniowo, w miarę jak się zbliżała do domu rodzicielskiego. Odłożyła książkę i wychyliła się z okna. Rozpoznawała już rozmaite miejscowości w pobliżu Moosdorfu, już widniał dworzec. Serce jej biło oczekiwaniem i radością, wzrok wybiegał naprzód — zobaczyła wreszcie rodziców; stali na peronie gotowi do jej przyjęcia. Jakie radosne, jakie błogie uczucie przejmuje serce dziecka, gdy po dłuższej rozłące wraca znów do ukochanych rodziców, tego się nie da opisać, to można tylko odczuć. liza padła w objęcia ojca i o niczym nie myślała w tej chwili, tylko o szczęściu, że znów jest przy nim.

— Jakże wyrosłaś! — wołał ojciec, przyglądając jej się z radością i dumą. — Ja bym cię nie poznał! Wyjechałaś od nas półdziekiem, a wracasz jako dorosła panna.

Trzymał ją wciąż jeszcze w swoich objęciach i nie mógł się jej dosyć napatrzeć. Łagodnie oderwała się od niego,

15 — Przekora

225

wszak nie powitała jeszcze matki, która stała obok i ze łzami wyciągnęła do niej rękę. liza rzuciła jej się na szyję i ścisnęła serdecznie.

— Moja droga mateczka! — Nic więcej nie zdołała

226

powiedzieć. Rozumiała ją pani Macket, całowała twarz i oczy swego dziecka ukochanego, wiedziała, że pozyskała teraz jej serce na zawsze.

— Jest tu jeszcze ktoś, kto by cię chciał przywitać, mała — przerwał pan Macket wzruszającą scenę, która jego samego całkiem już rozstroiła. — Wuj Karol, sławny malarz, podróżnik afrykański chciałby także zawrzeć z tobą znajomość!

liza podała mu rękę. Miała więc przed sobą prawdziwego mistrza. Czy też go znalazła „zachwycającym”? Podniosła na niego oczy. Był średniego wzrostu, krępy; ubranie jego bardziej wygodne było niż eleganckie, kapelusz o szerokim rondzie osłaniał twarz opaloną. Bezwiednie przed oczami jej duszy stanęła druga postać; porównywała ich. „Prawnicy bardziej mi się podobają niż artyści”, pomyślała.

Teraz przyszła kolej na Jana. Dla większej jeszcze niespodzianki przywiózł on ze sobą Boba, który z wrzaskliwą radością witał swoją panią. Jan przez to zapomniał mowy powitalnej, z niemałym trudem ułożonej. Zakłopotany obracał w rękach czapkę i śmiał się swoim grubym, głośnym śmiechem.

— Jest oto i pies, panno Ilzeczeko — wybąkał nareszcie. — Głupi zwierzak zaraz panienkę poznał. Ja też panienkę poznałem, chociaż panienka wyrosła taka piękna, okazała jak nie przymierzając kirasjer.

Porównania tego Jan zwykł był używać w szczególnych tylko okolicznościach, oznaczało ono najwyższą doskonałość.

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, a Uza podała rękę przyjacielowi swych lat dziecięcych.

— Dobrze, dobrze, Janie — zawołał pan Macket — piękną wypowiedziałeś mowę. Teraz siadaj i ruszaj; za pół godziny musimy stanąć w Moosdorfie.

Dom cały przystrojony był uroczyście. Kwiaty, wieńce, chorągwie, nawet brama tryumfalna z napisem wielkimi

227

literami: „Witamy!” — wszystko to pozdrawiało powracającą córę. Pobieżnie spojrzała tylko na te wspaniałości, szybko wbiegła do domu, musiała przecież poznać braciszka.

Pani Anna, która ją wyprzedziła, szła już na jej spotkanie, z dzieckiem na rękę.

— Ty śliczne, śliczne dzieciątko! — wołała liza w najwyższym zachwycie, a chłopczyk, wydając również jakieś okrzyki radości, wyciągał do niej rączki.

— Chce iść do mnie, mogę go wziąć, mammo?

Z uśmiechem szczęścia matka podała jej małego; liza tańczyła z nim po pokoju i całowała i ścisnęła, aż się rozplakał.

Matka wzięła na powrót małego krzykacza.

— Za dzika byłam, prawda, mammo? — z zalem pytała liza. — Nie gniewaj się o to na mnie! Ja tak strasznie się nim cieszę! Jakie on ma tłuste, grube rączki! — mówiła dalej, pieszcząc i całując malca. — Ach, a te kochane, śliczne oczęta pływają we łzach! To twoja zła, niegodziwa siostra temu winna, mój ty serdeńko!

Czuła się tak szczęśliwa, jak dziecko w wieczór gwiazdkowy, gdy wita nową lalkę. Ani myślała odejść od braciszka, aż wreszcie matka oddała go niańce.

— Dostyc już, dziecko — rzekła pani Anna z uśmiechem — zepsujesz mi chłopca i, co gorsze, dla niego zapominasz o nas wszystkich. Patrz, ojciec i wuj czekają, żebyś ich zaprowadziła do jadalni. Albo wolisz może zajrzeć naprzód do swego pokoju?

Wzięła ją pod rękę i prowadziła na górę, obydwaj panowie szli za nimi, liza śmiała się, nie domyślała się, w jakim celu im towarzyszą.

Wielka niespodzianka czekała ją na górze. Wszedłszy do swego pokoju, oniemiała i stanęła jak wryta. Nie byłaby go poznała. Gabinet i sypialnię urządzili rodzice w stylu staroniemieckim. O

niczym nie zapomniano. Zobaczyła

228

biurko ze wszystkimi przyrządami do pisania, a nawet małą gotownię. Przy oknie spostrzegła sztalugi.

Radość lizy była nieopisana. Rodzicie prześcignęli najśmielsze jej marzenia. Zmieszana trochę patrzyła na sztalugi i stolik założony przyrządami do malowania.

— Ojczulku — rzekła nieśmiało — to za wiele dla mnie, ja nie umiem jeszcze malować!

— Podziękuj wujowi, to on cię obdarzył. Ofiarował się być twoim nauczycielem, naturalnie dotąd, dopóki ten ptak wędrowny będzie mógł u nas usiedzieć.

Po obiedzie liza wysunęła się na podwórze, a zrobić to musiała cichaczem, bo ojciec dzisiaj nie odstępował jej prawie. Jan od dawna już wyczekiwał na tę chwilę i stał w pogotowiu, żeby panienkę wprowadzić.

Naprzód musiała iść z nim do stajni, a gdy obeszła wszystkie inne budynki gospodarskie, gdy już przywitała krowy, psy i konie, chciał jej jeszcze pokazać nowy chlew, ale tę wizytę liza odłożyła już na inny czas.

— Szkoda, szkoda! — ubolewał Jan i miał minę bardzo zmartwioną. — A tak chciałem pokazać panience nowy chlew! Tak tam, że tak powiem, pięknie, że nawet i człowiek mógłby w nim mieszkać.

— Jutro, Janie, jutro; dziś nie mam już na to czasu, muszę wracać do rodziców!

Stangret patrzył za nią, kiwając głową.

— Dawniej — mówił sam do siebie — nie byłaby tak powiedziała! — I dodał z namysłem: — Czyżby zhardziała?

Gdy po skończonym dniu liza zabierała się do spoczynku, zajrzała jeszcze do swego serca. Dzień dzisiejszy tak był pełen przeróżnych radosnych wrażeń! Czy naprawdę dziś rano dopiero wyjechała z Lindenhofu? Czy to dopiero wczorajszego poranka opuściła pensję? Zdawało się jej, że to już tak dawno, jak żegnała się tam ze wszystkimi!

Tak przyjemnie było marzyć jeszcze z otwartymi oczami! Sen wcale jakoś nie przychodził.

Spojrzenie jej padło

229

na otwarty podróżny kuferek, chęć ją wzięła wypakować go. Wydobyła z niego niektóre rzeczy i zaczęła je układać w przepysznej rzeźbionej komodzie. Czynność ta przywiodła jej na pamięć Nelly; przypomniała sobie, jak ona jej pomagała, czyli raczej jak sama wszystko za nią zrobiła pierwszego dnia przybycia jej na pensję. Dobra, cierpliwa Nelly! Gdyby w tej chwili była przy niej! Wyjęła z kufereka dziennik i przez chwilę zadumana trzymała go w ręce. Wszystkie kartki były w nim jeszcze czyste, dotąd nie czuła porzeby powierzania im swoich myśli. Nieświadomie, jak gdyby w półśnie otworzyła go i położyła na biurku. Sięgnęła po pióro, umaczała je i nagle — jakby pchnięta siłą jakąś wewnętrzną, nakreśliła słowa: Od chwili, gdy go ujrzała.

I nic więcej. Odrzuciła pióro i obydwoma rękami zakryła płonąca twarz. Pierś jej ścisnęła się wstydem jakimś. Co ona napisała? Czyj obraz podyktował jej te słowa?

Zdawało jej się w tej chwili, że bardzo gorszący popelniła uczynek; zamknęła pamiętnik i schowała go w najtajniejszą skrytkę swego nowego biurka. Precz, myśli szalone, które napelniały ją tylko niepokojem! To pieśni Chamissa winne temu wszystkiemu! Nigdy ich czytać nie będzie, o, nigdy! Trzy tygodnie bawiła już liza w domu rodziców i tak się czuła szczęśliwa, tak dobrze jej było, jak nigdy dawniej. Zaraz w pierwszych dniach podzieliła sobie czas bardzo praktycznie. Na własne życzenie proboszcz udzielał jej jeszcze niektórych nauk. Zdziwiony był postępami, jakie zrobiła dawna jego uczennica, ale najbardziej radował go poważny jej pogląd na życie i wytrwałość w nauce. Nie omylił się, nazywając pensję błogosławieństwem dla lizy.

Pani Anna również błogosławiła zakład wychowawczy, który z dzikiego dziecka zrobił miłą, myślącą panienkę. Własnym oczom ledwie mogła wierzyć, że taka zmiana jest

230

możliwa w ciągu jednego roku. O dobrym sercu lizy nie wątpiła nigdy, ale jej cierpliwość i miłość dla małego braciszka była dla niej niespodzianką. Tylko pan Macket nie mógł jakoś dojść do ładu z

tak zmienionym swoim dzieckiem. Niekiedy z boku przypatrywał się jej badawczo, jakby się pytał sam siebie: „Ona to czy nie ona?”

— Nie wiem — mówił któregoś dnia do swojej żony — ale liza jakaś mi za łagodna, za spokojna. Trudno mi to zrozumieć, jednak dzika moja dziewczynka w rozdartej sukience bardziej mi przypadała do gustu, aniżeli ta młoda osoba w modnym stroju.

— Ależ liza jest już naprawdę młodą osobą, kochany Ryszardzie — zaśmiała się pani Anna — to już nie dziecko, z tą myślą musisz się oswoić. Zresztą jest równie wesoła i swobodna jak dawniej, tylko nauczyła się powściągać swawolę. Taka jaka jest, podoba mi się bardzo, niezmiernie dumna jestem z mojej córeczki.

— Może ty masz słuszność — odpowiedział z powątpiewaniem pan Macket. — Z czasem i ja się pewnie przyzwyczaję do widzenia w niej dorosłej dziewczyny, ale nim to nastąpi, dużo wody jeszcze upłynie.

— Kto wie! Kto wie! Prędzej może, niż sądzisz, sama liza odbierze ci to złudzenie i da ci dowód, że wyszła już z dzieciństwa.

— Nie rozumiem cię, droga Anno — odparł, patrząc na żonę badawczym wzrokiem. — Mówisz tak tajemniczo! Zaciekawiasz mnie.

— Zauważyłam coś i sądzę, że się nie mylę: młody Gontrau nie jest lizie obojętny.

Pan Macket zaniemówił ze zdziwienia. Nie był w stanie tego pojąć, coś takiego nie przyszło mu jeszcze do głowy.

— Mylisz się, Anno — wyrzekł w końcu — to są rzeczy niemożliwe! A może — dodał zakłopotany — może ona ci się z czym zwierzyła?

231

— Boże zachowaj! — zaprzeczyła pani Anna. — Co też ty sobie wyobrażasz! Ona sama jeszcze nic nie wie o swoich uczuciach, nie zdaje sobie z nich sprawy; w dziecinnej naiwności zdradziła mi swą tajemnicę. Często i chętnie mówi o Gontrauach, a już z widoczną przyjemnością o ich synu; zajmuje ją każda dotycząca go drobnostka, każde jego słowo żywo pozostało jej w pamięci. Trzeba ci słyszeć, jak opowiada scenę zawarcia znajomości na kolei w Lindenhofie, trzeba widzieć, jak oczy jej promienieją.

— No tak! — przerwał. — Bo też to była przygoda romantyczna! Takaś mądra kobieta, Aneczko, a nie wiesz, że wszystkim podlotkom właściwe jest marzycielstwo?

— Słuchaj dalej, Ryszardzie. Niedawno, ni stąd, ni zowąd zadała mi pytanie, czy podoba mi się imię Leon i czy prawnicy są ludźmi rozumnymi? Schowała starannie bukiet róż, który jej ofiarował na odjeździe; rozgniewała się prawie, kiedy służąca chciała go wyrzucić. Wzięła z jej ręki zeschnięte kwiaty i włożyła je w klosz, i do dziś jeszcze stoją na jej biurku.

— Czy to już wszystko? Więcej nic nie wiesz? — roześmiał się pan Macket zadowolony; doznał pewnej ulgi. — Pozwól sobie powiedzieć, moje dziecko, że twoje spostrzeżenia stoją na bardzo niepewnych nogach. Ja lepiej znam moją dzikuskę i wiem, że jest bardzo daleka od wszelkich sentymentalizmów. Uza zakochana! Cha, cha, cha! Daruj, zoneczko, że śmieję się z ciebie, ale nie mogę się powstrzymać!

Nie chciała upierać się przy swoim i skierowała rozmowę na inny przedmiot. „Stanie się, co się ma stać, a kto zdoła powiedzieć kiedy?” pomyślała w duszy.

W kilka dni po tej rozmowie przypadły dożynki. Rano dnia tego, pani Anna z lizą znajdowały się w dużej sali ogrodowej. Kończyły przybierać wielki, już nakryty stół, przystrojony uroczyście i gotowy na przyjęcie licznych gości. liza robiła i ustawiała bukiety. Taka się

232

czuła szczęśliwa i wesoła! Śpiewając i nucąc, krzątała się ochoczo.

— Mamo — przerwała sobie nagle — czy wiesz, że ja dziś właściwie smutna jestem?

— Nie — odrzekła z uśmiechem pani Anna — jakoś tego nie widzę. I czegoż byś smutna być miała?

— Bo nie odebrałam listu od Nelly. Tak serdecznie zapraszałam ją do nas na dożynki, a ona mi nawet nie odpowiedziała. Dziś szósty już dzień jak do niej pisałam.

— Zapewne nie dostała pozwolenia. Zapomniałaś dziecko, że sama o tym wątpiłaś? Nieprzyjemnie

jej komunikować ci odmowną odpowiedź przełożonej. A może pragnie ci zrobić dzisiaj niespodziankę?

— To byłoby znakomicie, niebiańsko! Gontrauowie i Nelly, spełnione byłyby wszystkie moje życzenia! Ale nie ma co o tym myśleć, panna Rajmar żadną miarą na to nie pozwoli. Nelly wciąż musi się uczyć i uczyć! Ach, mamó, to straszne być guwernantką! Czy nieprawda?

Pani Anna próbowała przekonywać lizę, lecz na próżno. Pozostała przy tym, że guwernantkami mogą być tylko stare panny i że jej Nelly wcale do tego nie pasuje.

Gawędząc i nucąc na przemian, liza ponapełniała wszystkie klosze kwiatowe i poustawiała je na stole. Stała i zatopiła się w podziw nad swoim dziełem, gdy matka przypomniała jej, że trzeba się ubierać.

— Czas już, lizo, musimy się pospieszyć, za godzinę ojciec powróci z Gontrauami.

liza, jakby na skrzydłach, wbiegła na schody do swego pokoju. Zaledwie zaczęła się ubierać, służąca przyniosła jej list, który w tej chwili przyniósł listonosz. Było to pismo Nelly. Otworzyła go natychmiast i czytała. Pierwsze już słowa żywo ją poruszyły, z trudnością mogła czytać dalej. Jednym tchem przebiegła list, a gdy skończyła, pobiegła z nim do matki. Czuła nieodwołalną potrzebę podzielenia się ważną, cudowną nowiną, którą otrzymała.

233

— Mamó! — wykrzyknęła zadyszana. — List od Nelly! Muszę ci go przeczytać! — I czytała: Najmilsza moja Ilzeczko!

Jestem narzeczoną! O! I nad wszelki wyraz szczęśliwą narzeczoną! A zgadniesz czyją? Co? Zgadniesz? O, lizo, doktor Althoff jest moim lubym, najukochańszym! Jakżebym chciała widzieć twoją kochaną buzię w chwili, gdy dowiadujesz się o tym wielkim fakcie, widzę, jak wstrząsas ciemną swoją główką, słyszę, jak wykrzykujesz: „Nelly chce mnie zwieść!” Ale nie, Nelly cię nie zwodzi, wszystko, co piszę dzisiaj, jest najrzetelniejszą prawdą. Dowiedz się o wszystkim, serdeczna moja, opowiem ci, jak się to stało. Ciężkie to będzie dla mnie zadanie, w głowie mi huczy i koziółki coś przewraca, a jeszcze z tym niemieckim językiem nie wiem, jak sobie poradzę. Bądź wyrozumiała dla twojej nie bardzo mądrej Nelly. Wiesz, lizo, wstydzę się, gdy pomyślę, jaka ja strasznie głupia! To zagadka dla mnie, jak Alfred mógł mnie pokochać. Ale nie mów tego nikomu. — Słuchaj dalej.

Jednocześnie z twoim listem, w którym zapraszasz mnie na dożynki, przyszedł drugi Ust do panny Rajmar. Zabierałam się właśnie zejść do przełożonej, żeby ją prosić o pozwolenie, gdy nagle — ona do mnie weszła. Zerwałam się zdumiona bo, wiesz o tym, że ona nigdy nas nie wizytuje, zwykle wzywa do siebie, jeżeli ma do której interes. Możesz sobie wyobrazić, jak się złąłam i zaczerwieniłam.

— Nelly — powiada, trzymając w ręce otwarty list — proszą mnie o młodą Angielkę, która by zaraz mogła objąć obowiązek. Niemieckiego nie wymagają, ma uczyć troje dzieci po angielsku. Ja chcę cię przedstawić, Nelly, zgadzasz się na to?

Musiałam mieć bardzo smutną minę, nie mogłam wyrzec słowa. Twój list trzymałam w ręce, ale nie miałam odwagi prosić o pozwolenie, czułam to, że mi panna Rajmar odmówi.

— Nie masz, widzę, chęci? — zapytała, gdy milczałam wciąż jeszcze.

„O, żadnej, najmniejszej chęci!” pomyślałam sobie, ale nie mogłam powiedzieć, jak straszna była dla mnie myśl, że mam uczyć i pilnować ćwierć tuzina dzieci. Zawsze być okropnie mądrą i przyzwoitą, zawsze przyświecać dobrym przykładem, nie, dla mnie to wcale nierozkoszne!

234

— Niech pani mną rozporządza — rzekłam — zrobię tak, jak pani każe. Czy tylko dosyć jestem uzdolniona do tak poważnego zadania?

— Troskę tę zostaw mojej głowie — odrzekła panna Rajmar stanowczo. — Nie polecałabym cię, gdybym wiedziała, że nie jesteś dostatecznie przygotowana do tej pracy.

Wyszła, a mnie w duszy zrobiło się ciemno i smutno.

Robiono przygotowania do mego wyjazdu — miałam dużo do roboty, i dużo do słuchania.

Miss Lead prawiała mi długie, surowe kazania, przygotowywała mnie na godną guwernantkę; panna Rajmar przypominała mi co dzień, żebym się przyuczała do zachowywania powagi. Tylko panna

Gtissow rzucała na mnie często smutne, przeciągle spojrzenie, które mówiło mi wyraźnie: „Jakże mi cię żal, niebogo, że musisz iść służyć u obcych!”

Nadszedł dzień pożegnania. Było to dwudziestego ósmego września, o jedenastej rano, na godzinę przed odjazdem. Siedziałam w moim pokoju na podróżnym kuferku i płakałam. Byłam tak śmiertelnie smutna, serce ciążyło mi w piersi jak kamień młyński. Czy możesz to sobie wyobrazić? Nie, Rzeczko, ty tego ani pojąć, ani odczuć nie możesz. Gdy od nas odjeżdżałaś, płakałaś także i także bardzo byłaś smutna, ale ty wracałaś do miłego domu ojcowskiego, wiedziałaś, że rodzice łyzy twoje osuszą — a kto osuszy moje? Nikt. Szłam pomiędzy obcych i „ani kotek, ani piesek nie troszczył się o mnie”. Wolałabym umrzeć i leżeć w grobie, jak śliczna Lili nasza.

Gdy tak czując się zupełnie osamotniona, boleję i płacząc głośno, doktor Althoff, mój doktor Althoff nagle staje przede mną. Nie słyszałam, jak pukał i drzwi otworzył. Łatwo sobie wyobrazisz mój przestrah! Zerwałam się, twarz chustką zasłoniłam, wstydziłam się okropnie, a płakać przestać nie mogłam.

Lekko usunął chustkę i zapytał mnie swoim dźwięcznym, głębokim głosem:

— Czego pani płacze, miss Nelly? Żal pani żegnać się z pensją? Chciałabyś tu zostać?

Nie odpowiedziałam nic; głośne łkania mówić mi nie pozwoliły.

— Spójrzysz pani na mnie, miss Nelly — prosił — chciałbym patrzeć w twoje oczy przy tym, co ci mam powiedzieć!

235

Próbowałam spojrzeć na niego, ale musiałam spuścić oczy, taki dziwny jakiś miał wzrok! Tak nigdy jeszcze na mnie nie patrzył. Jakiś strach mnie ogarnął, krew uderzyła do twarzy. Pochwycił moją rękę i trzymał ją silnie i — nie wiem, jak się to stało — raptem objął mnie i zapytał:

— Kochasz mnie, Nelly?

lizo, pomyśl tylko, co się ze mną działo, gdy usłyszałam to pytanie! To tak, jakby niebo nagle otworzyło się przede mną i zsypało na głowę moją wszystkie błogosławieństwa. We śnie i na jawie słowa te wciąż brzmią w moich uszach, i myślę niekiedy, że to wszystko złuda tylko! Ale słuchaj dalej. Ty jesteś moją najlepszą przyjaciółką, o wszystkim wiedzieć powinnaś.

— Kochasz mnie? — zapytał raz jeszcze. — Chcesz być moją żoną?

— O tak, chcę z całego serca — odrzekłam. Nie wiem, czy to przyzwocie było z mej strony, że tak od razu, bez żadnego namysłu dałam mu słowo, ale nie mogłam zrobić inaczej, wszakże ja w głębi serca od dawna już kochałam mego Alfreda.

Pocałował mnie w czoło i nazwał swoją narzeczoną. Bez granic było moje szczęście! Nie byłam już opuszczoną sierotą, cudem prawdziwym otworzyły mi się nagle podwoje rozkosznego ogniska domowego. Kiedy się już zaręczyliśmy, gdy zamieniliśmy pierścionki, zeszliśmy do panny Rajmar i Alfred przedstawił mnie jako swoją narzeczoną. lizo, szkoda że nie widziałaś tych zdziwionych twarzy! Jakie to było zabawne. Najmniej uwidoczniło się to na pannie Rajmar, ona tak potrafi zawsze twarz ułożyć, że nigdy wiedzieć nie można, co jej radość sprawia, a co smutek. Zdaje mi się, że tym razem ucieszyła się, bo wzięła mnie w swoje objęcia i szczerze ucałowała. Do Alfreda rzekła:

— Jak się to stało tak prędko, panie doktorze? Nigdy nie dostrzegłam tej pana skłonności.

— Ja sam dopiero przejrzałem jasno, gdy przyszło mi utracić Nelly — odrzekł Alfred i prosił pannę Rajmar, żeby mnie przyjęła pod swoją macierzyńską opiekę, dopóki się nie pobierzemy. Przyrzekła mu. Tak więc pozostałam tutaj i wypakowałam na powrót moje rzeczy.

Miss Lead winszowała mi również, ale jakkolwiek to moja współziomka, zimna była jak żaba.

Zdaje mi się, że ona jest

236

bardzo zazdrosna. Ale ja nic sobie z tego nie robię i promienieję radością. Panna Gtissow strasznie się cieszy moim szczęściem, toteż kocham ją jak siostrę i co dzień proszę Boga, żeby ją wyzwolił z tego ciężkiego jej jarzma; ona za dobra na to, ażeby wiecznie być surową nauczycielką.

Przyjaciółki nasze były zachwycająco miłe i serdeczne, to jest nie wszystkie, bo Greta i Melania odjechały wcześniej z powodu choroby ich matki i nic dotąd nie wiedzą. Ola dała mi kosztowną bransoletkę na pamiątkę i jako oznakę radości z powodu naszych zaręczyn. Mała synogarliczka

mówić nie mogła, tak się śmiała; Rózia „grzecznie”, jak zawsze, powiedziała słów parę, a Flora? Twarz jej się wydłużyła, popatrzyła na Alfreda sentymentalnie i w milczeniu uściśnęła nam ręce. Wczoraj uszczęśliwiła mnie długą elegią „do narzeczonej”. Elegia piękna bardzo, jak wszystkie poezje Flory.

Dziś rano mój Alfred odjechał do swojej matki; ciężko nam przyszło się żegnać! Zmiękliśmy oboje, ale nie pospuszczaliśmy głów. Ja odważnie połknęłam łzy, nie chciałam, żeby mnie panna Rajmar widziała słabą. Alfred zresztą wróci niedługo, wyjeżdża tylko na tydzień.

Bywaj mi zdrowa, najdroższa Ilzeczko. Taki długi list do ciebie napisałam, odpowiedz mi zaraz, proszę cię bardzo; strasznie cieszę się nadzieją twego listu! Przyjedziesz na moje wesele. Ślub w Nowy Rok. Całuję cię stokrotnie, dziecię mojego serca. Ukłony dla twoich kochanych rodziców i maleńkiego braciszka od

Twojej najszczęśliwszej Nelly

— Nelly narzeczoną doktora Althoffa! — wykrzykiwała radośnie liza. — Mamo, nie będzie już guwernantką!

— Nie. Znalazła najlepsze ognisko domowe! — odrzekła pani Macket, która już to śmiała się z komicznych wyrażen Nelly, już to wzruszenia i łez stłumić nie mogła. — Z całego serca cieszę się losem samotnej sieroty. Musi to być miła, dowcipna istota, widać to z jej listu.

liza, skoro raz zaczęła o tym mówić, była niewyczerpana. Pani Anna serio musiała ją upomnieć, żeby się poszła ubierać.

237

— Zaraz, mamo, zaraz! Ja prędko się z tym załatwię! — Ale już we drzwiach odwróciła się raz jeszcze i rzuciła pytanie: dlaczego doktor Althoff właśnie się zakochał w Nelly? Nie czekając odpowiedzi, wbiegła na schody, i przeskakując po dwa stopnie naraz, w jednej chwili stanęła w swoim pokoju.

„Nelly narzeczoną!” Nie mogła myśli od tego odwrócić. Przeżywała z przyjaciółką od początku do końca to ważne zdarzenie i tak daleka była od chwili obecnej, że coraz to śmieszoną jakąś popełniała omyłkę.

Zamiast białej batystowej sukienki, wdziała na siebie ranny szlafroczek i spostrzegła to dopiero wtenczas, gdy opasywać się zaczęła bladą różową szarfą. Spieszenie to naprawiła. Nie skończyła się jeszcze ubierać, gdy opanowała ją gwałtowna ochota raz jeszcze odczytać list Nelly. „Kochasz mnie?” „Czy chcesz zostać moją żoną?” To taki cudownie piękny ustęp! Musiała go przeczytać ponownie. Rękę z listem opuściła na kolana i zadumała się, zamarzyła, a usta jej bezwiednie powtarzały: „Kochasz mnie?”

Głos matki, która pukała do zamkniętych drzwi, wyrwał ją spośród marzeń i wróciła do rzeczywistości. Tam leżała szarfa, tu kwiaty — zapomniała o wszystkim.

— Zaraz przyjdę, mamo! — zawołała, zrywając się szybko.

Ale pani Anna nie dała się usunąć, niełatwa była z nią sprawa. Odkrzyknęła jej spoza drzwi, że chce ją widzieć ubraną.

— Niegotowa jeszcze! — zawołała zgorziona, wchodząc do pokoju. — Ach, ty niegodziwa lizo! Co ty robiłaś? Czemu nie zawołałaś Zofii, skoro sama nie mogłaś sobie dać rady! Prędszej, prędszej! Pozostaje nam zaledwie kilka minut!

238

Ze zręcznych jej rąk liza niedługo wyszła gotowa. Pani Anna przyglądała jej się wzrokiem pełnym zachwytu; nie widziała jeszcze swojej córki tak uroczej. Czy sprawił to powiewny, śliczny strój? A może oczy jaśniały takim niezwykłym blaskiem?

Nie upłynęło dziesięć minut, a goście zajechali już przed dwór. Radca wysiadł pierwszy. Bez ceremonii pochwycił lizę, stojącą obok matki, w swoje objęcia i pocałował w oba policzki. Leon powitał panie pocałowaniem ręki. liza wiedziała już teraz, jak się ma zachować w wypadku tak krytycznym: nie cofnęła ręki — wszak i matka tego nie zrobiła.

Rodzice zaprowadzili panią i pana Gontrau do pokoi gościnnych, Leon pozostał jeszcze na werandzie. Podszedł do lizy, stojącej w jakimś od niego oddaleniu. Wsparła się o słup i bardzo gorliwie obrywała liście winorośli.

Wzrok jego spoczywał z upodobaniem na zachwycającej dziewczeczce, która wyrosła, zdawało mu się, i wypiękniała przez te kilka tygodni.

— Taka pani cicha i poważna — przemówił do niej — nie tak jak w Lindenhofie. Co się stało z pani swobodą i wesołością? Czyżby jakieś zmartwienie dotknąć panią miało?

— Zmartwienia? O, nie! — I oczy jej zaśmiały się do niego wesoło, jak dawniej. — Przeciwnie, spotkała mnie wielka, bardzo wielka radość! — I oznajmiła mu o zaręczynach Nelly.

Dziwiło ją, że on tak jakoś nic na to nie odpowiadał. Nawet twarz jego nie przybrała wyrazu radości lub zdziwienia na tę ważną wiadomość. Patrzył na nią wprawdzie, lecz zdawało się, że myśli jego są gdzieś bardzo daleko.

239

— Czy jest bardzo szczęśliwa? — zapytał roztargniony.

— Szczęśliwa? — liza zdziwiona powtórzyła jego pytanie. — Ależ ona jest w siódmym niebie!

Gdyby pan list jej przeczytał!

— Niech mi go pani przeczyta — poprosił. — Jesteśmy sami, nikt nam nie przeszkodzi.

— Nie można! Nie, tego zrobić nie mogę! — zawołała jakby z bojaźnią. Nagle przestraszyła ją myśl: „Jak możesz wyjawiać przed nim najtajemniejsze uczucia Nelly?” Ale czy jedynie ta myśl tak ją bardzo onieśmieliła? Czy z tego źródła również pochodziła dziwna jakaś trwoga, że została z nim sama?

— A jeżeli bardzo prosić panią będę, czy i wtenczas pani tego nie zrobi?

Już na pół zwrócona była do ucieczki, gdy ta prośba natarczywa uderzyła jej ucho.

— Nie mogę! Mam jeszcze dużo zajęcia w domu! Później! — zawołała zmieszana. Przefrunęła przez werandę, w kilku skokach przebiegła pokój jadalny i wpadła w otwarte drzwi pokoju matki. Patrzył za nią, dopóki nie znikła mu z oczu biała sukienka. Na twarzy jego rozmaite malowały się uczucia: zwątpienia, nadziei, zachwyty.

liza z rumieńcami na twarzy, bez tchu prawie wskoczyła do pokoju i o mało nie obaliła z krzesłem siedzącego tam wuja. Nowy postrach!

— No, no, podloteczku, co ci się znów przytrafiło? — zapytał z uśmiechem, odkładając na bok książkę.

— O nic, nic, wcale nie! — odrzekła z pośpiechem. — Tak mi gorąco tylko i tak mi strasznie serce bije!

Żeby go nie dopuścić do pytania, jaka jest przyczyna tego wzruszenia, mówiła dalej szybko:

— Strasznie interesująca nowina, wuju Karolu! Nelly jest narzeczoną!

240

Kim była Nelly, wiedział o tym od dawna, bo przy lekcjach malarstwa, które liza uprawiała z wielkim zamiłowaniem, często mu o niej opowiadała, ale jak wyglądała, nie miał jasnego pojęcia, dziś dopiero mogła mu pokazać jej fotografię. Dziś właśnie nadszedł album, który jej panna Rajmar obiecała przy odjeździe, a w nim fotografie nauczycielek i koleżanek.

— A więc zaręczyny Nelly sprowadziły ci bicie serca? — spytał wujaszek z uśmiechem trochę wąpiącym. — Tak, tak! Powiedz no mi rybeńko, czy Gontrauowie już przyjechali?

liza nie dosłyszała tego pytania.

— Oto Nelly! — przerwała wujowi i podała mu album. — Powiedz, wuju, czy ona nie zachwycająca?

— Zachwycająca? Tego nie znajduję — odrzekł nieco z namysłem, przyglądając się jej okiem znawcy. — Powabna, wdzięczna jest zapewne, usta ładne, ale oczy i nos...

— Ach, wuju! — przerwała liza. — Nie patrz na nią wzrokiem surowego krytyka! Nelly jest zachwycająca, wierz mi! Fotografia też nie jest dokładna, w rzeczywistości ona jest daleko ładniejsza!

Przekładał dalej kartki albumu, zwracając uwagę na tę i ową. Nagle zapytał poruszony:

— Jak się nazywa ta oto pani?

— To moja najukochańsza nauczycielka, panna Gus-sow. Wszystkieśmy ją bardzo kochały, uwielbiały! Znasz ją, wuju? — Uderzyło ją, że tak się wpatrywał w fotografię.

— Nie, nie znam jej. Ale znałem dziewczę bardzo podobne do tego portretu. Dawne to już dzieje.

W jakim ona wieku?

— Już niemłoda, ma lat dwadzieścia siedem — odrzekła liza.

— Tak, to już stara panna — potwierdził żartobliwie

16 — Przekora

241

wujaszek, a jego oczy, wpatrzone w miłe rysy, miały wyraz powagi i jakiegoś bólu.

Gdyby liza nie była tak młoda i nie tak bardzo zajęta w tej chwili swoją osobką, byłaby zauważyła, z jakim uwielbieniem i jak długo wpatrywał się w portret jej nauczycielki.

— Podoba ci się, wuju? Ładna jest, nieprawdaż? — pytała dobrodusznie.

— Jak się nazywa? Giissow? — Teraz on nie dosłyszał jej pytania. — A jakie jej imię chrzestne?

— Szarlotta.

— Lotta! — Kiwnął głową z uśmiechem. — Piękne imię!

Zamknął album i znów wziął książkę. Zapomniał, zdawało się, że liza jest przy nim.

Znała go już jako pewnego rodzaju dziwaka i dlatego nie zwróciła żadnej uwagi na jego sposób zachowania się w tej chwili.

— Chodź ze mną, wujaszku, na werandę — prosiła. — Gontrauowie przyjechali. — Ostatnie wyrazy wymówiła z odwróconą twarzą.

— Dobrze, dobrze, przyjdę! — odrzekł roztargniony. — Przyjdę tam niedługo.

Ze strachem, na palcach przeszła jadalnię. Kilka razy zatrzymywała się, nasłuchując. Gdy dosięgła otwartych' drzwi, ostrożnie wychyliła głowę i rzuciła przelotne spojrzenie w jedną i drugą stronę; widząc, że nikogo nie ma na werandzie, odważyła się wyjść. Stół nakryty już stał do śniadania, zakrzętała się koło niego, nasłuchując, czy nie nadchodzą rodzice. Tak długo ich nie widać! Gdzie oni tam siedzą? Gdyby wiedziała, że wszyscy znajdowali się w pokoju dziecka, gdyż koniecznie chcieli złożyć czolobitność swoją malcowi, jakże chętnie byłaby tam pospieszyła.

Nareszcie rozległy się czyjeś kroki. Byłżeby to wuj?

To nie jego chód, a zresztą nie szedłby z sieni, po cóż

242

miałby obchodzić dom dokoła, żeby wejść na werandę. Rzuciła okiem poprzez liście i z przestrachem zobaczyła — Leona.

Krew uderzyła jej do twarzy, oddech zatrzymał się w piersi. Co ona zrobi? Nie będzie w stanie słowa do niego przemówić! A jeżeli stać tak będzie przed nim jak niemowa, jak idiotka, co on sobie o niej pomyśli?

Ucieczka! To jedyne, co ją z tego przykrego położenia wybawić mogło. Było jednak za późno, już ją dojrzał i właśnie gdy rozpoczęła spieszny odwrót, gdy do połowy już przebiegła salon, dogonił ją.

— Teraz musi pani zostać — mówił z uśmiechem. — Nie puszczę pani! Na pociechę zostawiła mi pani wyraz „później”, teraz jest już „później” i teraz podda się pani łaskawie konieczności i przeczyta mi list Nelly. Jest pani już kobietą, a kobieta dotrzymuje słowa.

Była więc złapana. Wyrwać mu się i uciec nie mogła, to byłoby za dziecinnie. Mocno przycisnęła ręką bijące serce i zwróciła się do niego. Bojaźliwie, jak gołąbka dzika, złapana w sidła, podniosła na niego swoje ciemne oczy.

Nie uszło jego uwadze to zmieszanie, lecz delikatnością, lekkim żarcikiem przywrócił jej równowagę; ochłoneła cokolwiek i oprzytomniała. Podał jej ramię i zaprowadził do żelaznego stolika, przy którym stały dwa krzesła. Słońce październikowe przekradało się przez czerwonawe liście winogrodu i drażniło dziewczynę. Błyszczące promienie raziły jej wzrok tak, że musiała zamknąć oczy.

— To słońce oślepia! — zauważyła, rada że jakieś zdanie przyszło jej wreszcie do głowy. — Tak tu gorąco — dodała jeszcze i podniosła się.

— Niedobre słońce! Zejdziemy mu z drogi! — I przeprowadził ją w przeciwną stronę.

Tu było cienisto i chłodno, liza nie miała powodu do

243

odejścia. Powoli, powoli opanowała swoją nieśmiałość, a kiedy on raz jeszcze przypomniał list,

wróciła nawet jej dawna swobodna wesołość.

— Straszny z pana dręczyciel — powiedziała. — Dlaczego to pana obchodzi, co i jak pisze do mnie Nelly! Chce pan z nas żartować, a tego panu nie wolno!

— Jak pani może podejrzewać mnie o takie nikczemne zamiary! — bronił się. — Odmalowała mi pani swoją przyjaciółkę w barwach tak świetnych, że ciekaw jestem jak brzmi jej własne wyznanie szczęścia.

Liza patrzyła na niego jeszcze trochę niedowierzająco, lecz gdy nie dostrzegła na jego ustach wyrazu szyderstwa, uwierzyła mu zupełnie i wyciągnęła list z kieszeni. Rozłożyła i czytała po cichu.

— A więc? — zapytał.

— Cierpliwości, panie asesorze! Naprzód wyszukać muszę ustępy, które panu wolno będzie słyszeć! Całość nie jest przeznaczona dla pana uszu!

— To byłoby okrutne! — protestował. — To byłoby tak, jak gdyby pani pokazywała dziecku kawałek cukru, mówiąc mu: chodź, poliz a tymczasem cukier włożyłaby pani we własne usta. Śmiała się z tego porównania. Powrócił jej dawny, wesoły, naiwny humor.

— A więc, proszę słuchać, ale nie szydzić! — Pogroziła mu palcem.

Wdzięczny obrazek tworzyło tych dwoje młodych. Siedzieli przy sobie; ona czytała, on słuchał jej uważnie. Siedział wsparty ręką o stół i patrzył na pochyloną cokolwiek główkę lizy. Nagle umilkła.

— Niech pani dalej czyta, proszę! Dlaczego pani przestała? Proszę nie zapominać o kawałku cukru!

Milczała, jakby rachując się sama z sobą.

Czemu właściwie zamierzała opuścić to, co najpiękniej-

244

sze było w liście? Nelly opisała swoje zaręczyny w sposób tak naiwny, jej tylko właściwy, że była w tym malowidle cała jej charakterystyka. Na ponowną prośbę Leona czytała dalej. Zrazu szło jej to niezupełnie gładko, po chwili jednak czytała śmiało, płynnie, bez zająknięcia, aż do końca.

Dlaczego siedział taki niemy? Raziło ją to jego milczenie. Taka pewna była, że głośnym okrzykiem wyjawí swój zachwyt! A on siedzi i nic nie mówi. Spojrzała na niego z wyrzutem prawie, ale co prędzej spuściła oczy. We wzroku jego było coś tak dziwnego. Mimowolnie przyszło jej na myśl „dziwne” spojrzenie doktora Althoffa.

— Przyjaciółka pani ma gorące, pełne uczucia serce — zauważył w końcu. Lecz w jego słowach słyszeć się dał jakby przymus. On sam to czuł i dlatego przerwał.

— Panno lizo — zapytał po krótkiej pauzie, bez żadnych przygotowań — co by pani powiedziała, gdyby — gdyby ktoś panią zapytał: Kochasz mnie?

Zadrżała, przeraziła się tym jego pytaniem, jakby piorun spadł na nią z jasnego, błękitnego nieba. Gorąca jej krew zakipiała na myśl, że on sobie może z niej żartuje.

Gniewna prawie zerwała się.

— Odpowiedziałabym: Nie! — wybuchnęła — ja nie kocham nikogo! Nikogo! — powtórzyła raz jeszcze z pewnym rodzajem tryumfu.

Gdyby szalona dziewczyna raz jeden była rzuciła okiem na niego, od razu byłaby go zrozumiała!

Oczy jego spoczywały na niej z zachwytem. Opór, oburzenie dodawały jej twarzy nowego wdzięku.

— lizo! — wyszeptał z uczuciem i pochwycił jej rękę. — A gdybym to ja panią zapytał: Czy kochasz

245

mnie? Czy chcesz być moją żoną? Mówiłabyś tak i wtenczas?

Gwałtownie wyrwała mu rękę i zasłoniła twarz.

— Czy kochasz mnie, lizo? — Dźwięk jego głosu był taki miękki i tkliwy, trafiał tak prosto do jej serca — ale usta jej nie mogły wymówić „tak”. Nie dopuściła do tego nieśmiałość, a może też obudził się w niej znów stary duch przekory?

— Nie! Nigdy! — wykrzyknęła i odwróciła się gwałtownie.

— Nie? Nigdy? — powtórzył i patrzył na nią w bolesnym wzruszeniu. — O, lizo! Cofnij to słowo! Od niego zależy szczęście mego życia! Za prędko zadałem to pytanie, wszak prawda?

Przestraszyłem panią! Nie dawaj mi pani teraz odpowiedzi, uspokój się naprzód i wtenczas...

Padł na krzesło i oczy ręką przysłonił.

liza stała wciąż jeszcze odwrócona do niego; walczyły w niej najsprzeczniejsze uczucia. Serce ciągnęło ją do niego, ale nie mogła znaleźć mostu prowadzącego przez szeroki strumień, który ją dzielił jeszcze od młodzieńca. Nagle stanęła przed nią postać Lucyny, zdawało jej się, że słyszy głos ostrzegający: „Chcesz go utracić na zawsze? Pomyśl o moim losie!”

— Leonie — wyszeptała nieśmiało i posunęła się o krok ku niemu, lecz przerażona swoim zuchwalstwem, stanęła zarumieniona, ze spuszczonej oczami.

Imię jego wyszło z jej ust cichutko, jak oddech, on je przecież posłyszał. Zerwał się z okrzykiem radości, a oczy jego, spoglądające przed chwilą tak smutno, rozpaczliwie, zajaśniały teraz radością.

— Jesteś więc moją, lizo! — zawołał i chciał ją porwać w objęcia, lecz wywinęła mu się zręcznie. Raz jeszcze ożyła dawna, przekorna liza.

246

- Na to nie pozwolę! — rzekła zarumieniona jak młoda wisienka.

— Ale ręce ucałować wolno? — prosił, śmiejąc się. W tej chwili obie pary rodziców ukazały się na

werandzie. Wszyscy odgadli od razu, co się stało, jeden tylko pan Macket stał jak skamieniały.

Radca i żona jego pierwsi złożyli życzenia narzeczonemu, uszczęśliwieni kolejno przyciskali lizę do serca, jak swoją córeczkę. Pan Macket nie poruszył się jeszcze z miejsca.

Przybliżyła się do niego pani Anna i położyła rękę na jego ramieniu.

— Widzisz, Ryszardzie, dziecko zmieniło się w dorosłą dziewczynę. Czy teraz wierzysz?

— lizo! Moja mała lizo! — wymówił wreszcie z trudnością, a pierś jego podnosiła się i opadała gwałtownie. — Prawda to? Chcesz mnie opuścić?

Poskoczyła ku niemu, obiema rękami objęła go za szyję i całowała gwałtownie, płacząc i śmiejąc się zarazem.

— Mój malutki, mój jedyny ojczusiu, ja kocham go tak bardzo!

-Prawdziwą niespodzianką dla wszystkich były te nagłe, raptowne zaręczyny lizy z Leonem, ale był to widać czas samych niespodzianek, bo nie mniejszą urządził im także wujaszek Karol, który tego samego dnia znikł gdzieś bez śladu. Podczas gdy wszyscy siedzieli przy stole, zabawiając się i rozmawiając wesoło, kazał się Janowi cichutko, potajemnie zawieźć na dworzec.

Pani Macket nie bardzo dziwiła się jego ucieczce, znała swego brata, wiedziała, że to duch niespokojny, który zjawia się i znika wedle swojej fantazji i upodobania. Sześć

247

tygodni przeszło nie dał o sobie żadnego znaku życia, w końcu przyszedł od niego list z

Monachium. Treść listu znowu wprawiła wszystkich w Moosdorfie w niewymowne zdumienie, a liza nie posiadała się z radości. Klaskała w ręce, tańczyła, jak szalona biegała, skakała po pokoju, wykrzykując radośnie:

— To ja przyczyniłam się do ich szczęścia, przeze mnie odnaleźli się! Co Leon na to powie? Och, jakże się cieszę!

Wuj Karol pisał między innymi:

Odbywamy podróż poślubną. Lotta i ja mamy zamiar spędzić zimę we Włoszech. Dziwicie się, nieprawdaż? Nie ma się czemu dziwić. Lotta i ja od wieków już byliśmy narzeczonymi, tylko nic o tym nie Wspominaliśmy. Z wiosną powrócimy, a wówczas przedstawię wam moją młodą żonę. Rybeńce głęboki i osobny ukłon — ona wie za co. Niech w dalszym ciągu pilnie przykłada się do malarstwa, jeżeli jako narzeczona, czas na to znaleźć potrafi.

A więc jestem twoją ciotką, dziecko moje drogie! Kto by to przewidział? pisała żona wuja Karola, dawniejsza panna Gussow. Pragnęłam bardzo opowiedzieć ci całą tę cudowną historię, ale nie było mi wolno. Wuj Karol uplanował sobie, nie wiem dlaczego, że dopiero po ślubie da mi na to pozwolenie. I dziś kilka wierszy zaledwie mogę do ciebie nakreślić; mój mąż stoi za mną i każe się śpieszyć.

Pamiętasz historię Lucyny? Owej Lucynie na imię było Lotta i to ja nią byłam, a ów malarz?

Odgadłaś już, nie potrzebuję go wymieniać.

Gdy powrócimy, ty będziesz także już może młodą mężatką? Jakże się cieszę twoim szczęściem, najmilsza moja! Oby niebo zachowało ci je na zawsze!

r r MA

1 ;

V

>

•

tu

A oto kolejna książka z SERII Z RÓŻOWĄ KAMIE-LTĄ, do której z pewnością przyzwyczailiście się już miocie Czytelniczki, i której czytając radość zdołałyście poczuć i docenić, tak jak cer się piękne stare Koronki, cieniutką porcelanę prababki, sędziwe srebrne cienie, kryształowe samczki, przechowywane z większą dbałością drobiazgi. Tym razem spośród

Wydawnictwo „Edmioróg” prezentuje Wam książkę o miłości z dawnych lat: „Pierwsza” pióra austriackiej pisarki Emmy von Rhoden. Stareńka to

książka, bo jej pierwsze, Dolskie wydanie ukazało się

w 1919 roku. Jest więc przedmiotem do zadumy: tylko lat minęło,

świat zmienił się tak bardzo, a Wy czytacie teraz powieść

Emmy von Rhoden odnajdziecie w tej sprawie, które

pozostały wam do dziś. Afdziutka bohaterka i książki, przekorna, samowolna i za przeżycia rodzinne i nieporozumienia, głębokie rozterki, prawdziwą przyjaźń i pierwszą miłość.

Czy odczujecie wszystko im więcej niż współczesni dzisiejsi smętni i przygnębieni? Myślę, że porównanie własnych reakcji z uczuciami lizy będzie dla Was dodatkową atrakcją przy czytaniu „Przekory”. Cieszę się, że Wydawnictwo „Sied-

Edmioróg” zwróciło się do mnie z prośbą o polecenie Wam i, pamiętam ją tak dobrze z własnego

dzie-

cin

ej książki

nr

aft

m

m

V

J

III